TYLKO U NAS:
SZEF MON MARIUSZ BŁASZCZAK
O KULISACH KONTRAKTU NA F-35

BERNARD MARGUERITTE:
NIE WOLNO DOPUŚCIĆ DO TEGO,
ABY POLSKA PRZESTAŁA BYĆ POLSKĄ!

STRASZENIE DZIECI
ZAGŁADĄ PLANETY WPYCHA JE
W RĘCE PSYCHIATRÓW

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 6 (375) 2020
3–9 lutego 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

SZEF CBA ERNEST BEJDA:

ŹLI LUDZIE ZNÓW SIĘ NAS BOJĄ

MAREK PYZA I MARCIN WIKŁO PYTAJĄ
O KASĘ CBA, „AGENTA TOMKA" I „WILLĘ KWAŚNIEWSKICH",
ŚLEDZTWO W SPRAWIE MARSZAŁKA GRODZKIEGO,
KORUPCJĘ WŚRÓD ELIT, LOKALNE SITWY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

OGLĄDAJ NA ŻYWO

Telewizja W POLSCE PL

ŚRODA 5 LUTEGO
GODZ. 19.00

Człowiek Wolności 2019
tygodnika SIECI

GALA Z UDZIAŁEM
LAUREATA

PREMIERA
MATEUSZA MORAWIECKIEGO

eprasa.pl 05b6a45e9a

Gra na panikę

Nie jest przypadkiem, że liderem Platformy Obywatelskiej, głównej siły opozycyjnej, został polityk, którego najmocniejszą stroną są emocjonalne, gorączkowe, choć pozbawione głębszej treści przemówienia. Aktyw platformerski, choć bardzo go ubyło, w tym właśnie stylu upatruje szansy na powrót do władzy. Starcie nie na programy, lecz na emocje. Nie rzeczowa debata o reformach, ale kłamstwa rozpowiadane w Brukseli. Nie uczciwa kampania wyborcza, ale użycie medialnej dominacji i promocja SokuzBuraka, internetowego rozsiewacza całkowicie wymyślonych wulgarnych bzdur.

W efekcie próba wyrwania się z postkomunistycznej niemożności przedstawiana jest jako zamach na wartości demokratyczne, oczekiwana przez Polaków reforma niesprawiedliwego sądownictwa jako element zaprowadzania rzekomego reżimu, a prawdziwy wreszcie pluralizm medialny jako kneblowanie opozycji. Skala tych kłamstw jest tak duża, że można mówić o swego rodzaju wojnie psychologicznej z demokratycznym wyborem Polaków.

Autorzy tej kampanii, zdaje się, doszli do wniosku, że skoro nie można Polaków zmusić do zmiany poglądów na miejscu, skoro przedłużyli mandat obozu Jarosława Kaczyńskiego na kolejne cztery lata, to konieczne są środki ostrzejsze. A także, że skoro Polacy, oceniając rozumowo, uznają, że za tej władzy żyje im się lepiej, to trzeba uderzyć w nich inaczej. Stąd inicjowane przez obóz III RP kampanie medialne, wyciąganie rzekomo „skruszonych" (tu największy złodziej zyska uznanie), zorganizowane budowanie skoków napięcia, straszenie uczciwych ludzi więzieniem – to elementy tego planu. Finałem ma być panika moralna, wywołanie przekonania, że to „koniec PiS", zniechęcenie, odebranie poczucia wspólnoty i sparaliżowanie woli działania.

Nie wymyślono tego w Polsce: w taki sam sposób atakuje się w USA prezydenta Donalda Trumpa, a na całym Zachodzie straszy dzieci i młodzież wizją końca świata. Ciekawie opisuje to w tym numerze Aleksandra Rybińska (strony 70–72). Jej ustalenia są niepokojące: „Dzieci i młodzi dorośli nie radzą sobie z proroctwami zagłady płynącymi ze strony klimatologów i ekologów. Coraz częściej wymagają leczenia lekami psychotropowymi".

Wracając do spraw polskich. Te próby przywrócenia nad Wisłą „porządku" musimy widzieć w szerszym kontekście.

Z polskiej (propolskiej) perspektywy ostatnie pięć lat to wieczna szarpanina, by zyskać chwilę oddechu i móc wykonać jakiś krok do przodu. Jakakolwiek próba reform, podniesienia spraw polskich na wyższy poziom spotyka się z potężnym oporem. Jakbyśmy szli w glinie, w bagnie. Frustrujące to, bo wiemy, dokąd moglibyśmy dojść, gdyby nam uwolniono nogi i ręce, gdyby całe zastępy nie próbowały ściągnąć nas w dół.

Ale gdy wyjedziemy z Polski, gdy spojrzymy na samych siebie z oddali, dostrzeżemy nieco inny obraz. To Polska, która jednak idzie do przodu, która wyrywa się konsekwentnie z postkomunistycznego bagna, która odrzuca przypisany jej los peryferyjnego kraju niemieckiego imperium, która wybija się na podmiotowość.

Zaczęła od zatrzymania złodziejstwa na granicach (m.in. paliwa) i w systemie finansowym (mafie vatowskie). Odzyskała kontrolę nad systemem bankowym, minimum suwerenności informacyjnej, odbudowała potęgę gospodarczych kół zamachowych, takich jak Orlen, LOT, Grupa PZU. Nawet niemożność żeglugi po Zalewie Wiślanym postanowiła Polska bezczelnie przełamać i zaczęła przekopywać Mierzeję Wiślaną.

No i wojsko – śmichy-chichy, ale w Niemczech już podnoszą się głosy, że za chwilę Wojsko Polskie będzie silniejsze od Bundeswehry (polecam wywiad z ministrem obrony narodowej Mariuszem Błaszczakiem na stronach 34–38). Mamy już znaczącą i coraz większą obecność amerykańską. Na wojnę z nikim nie idziemy, oby nigdy jej nie było, ale to ma znaczenie.

Żeby było jasne: tu trzeba mieć chłodną głowę. To nie żadne sny o potędze, ale racjonalne użycie zasobów, wykorzystanie szans, konsekwentna praca. Ta rosnąca polska moc w naturalny sposób wywołuje kontrakcję.

Zbliżamy się do przesilenia. Albo obronimy szansę wybicia się Polski ku wielkości, albo nas złamią na kilka dekad i poważnie zredukują. Wyzwanie wielkie, jednak w porównaniu z warunkami, w jakich musiały walczyć poprzednie pokolenia, absolutnie do podjęcia.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 05b6a45e9a

SIECI

spis treści

30 *Plan Budki*
Stanisław Janecki

42 O koronawirusie z prof. Andrzejem Horbanem
rozmawia Aleksandra Jakubowska

67 O Donaldzie Trumpie z prof. Zbigniewem Lewickim
rozmawia Dorota Łosiewicz

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **BORYSŁAWA CHWAŁA**
Krzysztof Feusette

9 **MATRIX NASZ POWSZEDNI**
Dorota Łosiewicz

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **TUSKIZACJA W NATARCIU!**
Jan Pietrzak

15 **O NIEZAWISŁOŚCI SĘDZIOWSKIEJ**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **ULICZNA GALERIA MITORAJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **WALIZKA MAGDALENY OGÓREK**
Michał Korsun

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **Z ERNESTEM BEJDĄ**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

KRAJ

30 **PLAN BUDKI**
Stanisław Janecki

34 **Z MARIUSZEM BŁASZCZAKIEM**
rozmawia Jacek Karnowski

40 **TACY SAMI, A ŚCIANA MIĘDZY NAMI**
Marcin Fijołek

42 **Z PROF. ANDRZEJEM HORBANEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

46 **WYROKI SĄDÓW JUŻ SIĘ KOMENTUJE**
Jakub Augustyn Maciejewski

48 **Z MARCINEM WARCHOŁEM**
rozmawia Marcin Fijołek

SIECI KULTURY

51 **GWIAZDA NA OPAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

53 **EASTWOOD KONTRA SYSTEM**
Łukasz Adamski

56 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

58 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

60 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

62 **ŻYCZĄC POLSCE WSPANIAŁEGO ROKU 2020**
Bernard Margueritte

64 **P JAK PROJEKT PO**
Hanna Karp

66 **SYMETRIA – CO DO MILIMETRA**
Maciej Pawlicki

ŚWIAT

67 **Z PROF. ZBIGNIEWEM LEWICKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

70 **PATRZEĆ, JAK ŚWIAT PŁONIE**
Aleksandra Rybińska

73 **BUŁGARIA POD PRESJĄ ROSYJSKICH SZPIEGÓW**
Marek Budzisz

76 **KŁÓTNIA LITWINÓW O POLSKIEGO MINISTRA**
Jan Rokita

78 **ANI SŁOWA O NIEPODLEGŁOŚCI**
Piotr Plebaniak

GOSPODARKA

81 **Z RAFAŁEM MILCZARSKIM**
rozmawia Marcin Wikło

84 **LEKOWA REPOLONIZACJA**
Piotr Filipczyk

KUCHNIA

88 **MOJE SZLAKI: GRZEGORZ ZAWIERUCHA**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **ŁAGRY I LAGRY**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **MIĘSO**
Aleksander Nalaskowski

93 **NOSTRA CULPA**
Wiktor Świetlik

94 **PRZESZŁOŚĆ WYJAŚNIA TERAŹNIEJSZOŚĆ**
Alina Czerniakowska

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **WYŚMIAĆ KOREAŃCZYKA**
Ryszard Makowski

97 **ŚLICZNOŚCI DO PRZYPOMNIENIA**
Leszek Długosz

98 **ZŁA SYMBIOZA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 26/0120/F

eprasa.pl 05b6a45e9a

eprasa.pl 05b6a45e9a

Sygnalista nadaje

Prof. Ryszard Legutko opisał swoje doświadczenia z komisarz Věrą Jourovą: „Znam ją, rozmawiałem z nią kilka razy. Ma raczej słabą osobowość. Jest nominatem premiera Babiša, który nie jest rycerzem bez skazy, jeżeli chodzi o sprawy korupcyjne i przejrzystość działalności. Jeżeli rozmawia się z nią, ona zwykle wycofuje się ze swoich słów. Brak jej argumentów i odpowiedniego przygotowania". Idealny kandydat na komisarza z Europy Środkowo-Wschodniej. Może zajść naprawdę daleko!

Dlaczego ***komisarz Jourová*** atakuje tak ostro Polskę, skoro jest nominatem rzekomego przyjaciela obecnego rządu, premiera Czech Andreja Babiša? Źródła bliskie czeskiemu rządowi twierdzą, że pani komisarz „zerwała się" i nie słucha próśb. Według innej wersji Babiš wskazał osobę podsuniętą mu przez Brukselę w zamian za spokój na innych frontach. Tak czy siak wydaje się, że polska polityka regionalna wymaga przemyślenia. Stopa zwrotu jest rażąco niska, nawet przy uwzględnieniu, że to inwestycja długofalowa.

Podczas spotkania z komisarz Jourovą ***Zbigniew Ziobro*** zaproponował kompromis. Jak wyjaśnił, chodzi o „przeniesienie wprost rozwiązań znanych bardzo dobrze w systemie europejskim, funkcjonujących Niemczech", bo „tam sędziów wybierają wyłącznie politycy". Dowcip całkiem udany, ale pani Jourová nawet się nie uśmiechnęła. Fakt, żarty z Niemiec niejedną unijną karierę już utraciły, więc nie ma co ryzykować.

W sprawie sądownictwa odezwał się Szymon Hołownia. „Polska miała być tygrysem Europy, została jej Frankensteinem". Po chwili dodał: „Frankensteinem, bo – jak słusznie zauważyła Rada Europy w swoim dzisiejszym raporcie – doszło w naszym kraju do »frankensteinizacji prawa«". Znów warto polecić lustro. Ten kandydat to przecież produkt, i wszystko, ale to wszystko jest tam pozszywaną kreacją, tak jak w powieści Mary Shelley.

Cytat z wypowiedzi Very Lengsfeld, w czasach NRD działającej w opozycji, a po zjednoczeniu Niemiec posłanki CDU. „Kiedy działałam w opozycji w NRD, byłam przekonana, że po zjednoczeniu będziemy żyć w kraju, gdzie panuje wolność słowa i praworządność. 30 lat po zjednoczeniu nie mamy już w Niemczech wolności słowa, a praworządność jest traktowana przez polityków instrumentalnie. Jest respektowana tylko wtedy, kiedy jest to na rękę polityce. A jeśli nie – to nie". To także dlatego Polska z jej żywą wolnością tak drażni.

Podczas pożegnalnej konferencji prasowej w Parlamencie Europejskim Nigel Farage został zapytany o to, kto jego zdaniem pójdzie w ślady Wielkiej Brytanii i opuści Unię. „Ojciec" brexitu wskazał Danię, Włochy i Polskę. „Sposób, w jaki Polacy są upominani i obrażani, to dla nich trochę za dużo, niż są w stanie znieść" – ocenił. Niestety po komunizmie i transformacji to już trochę inny naród, ale i tak trzymamy się w tym wszystkim dość dzielnie.

A presja rośnie. Obóz IV RP zaatakowano nawet w Auschwitz. Były więzień Marian Turski właściwie nie ukrywał, że mówiąc o „Auschwitz, które nie spadło z nieba", mówi o konkretnym rządzie. Teza była jasna: reforma wymiaru sprawiedliwości doprowadzi do uruchomienia krematoriów. Ale najlepsza była puenta: „Nie bądźcie obojętni, kiedy jakakolwiek władza narusza przyjęte umowy społeczne, już istniejące". Wniosek z tego taki, że kto urodził się w brudnym postkomunizmie, musi w nim umrzeć. Nie, nie, nie.

Premier Morawiecki hołd ofiarom ludobójstwa złożył w Berlinie, mówiąc, że „Auschwitz-Birkenau nie było jedynym piekłem na ziemi", a „drugie z piekieł miało na imię Gułag". Co ciekawe,

eprasa.pl 05b6a45e9a

zdaniem niemieckiego dziennika „Süddeutsche Zeitung" polski premier zakwestionował w ten sposób „wyjątkowość ludobójstwa na europejskich Żydach, która jest i musi być w centrum niemieckiej pamięci". Szkoda, że „w centrum niemieckiej pamięci" jest tak mało miejsca na pamięć o zbrodniach dokonanych na Polakach. I szkoda, że 30 mln ofiar Gułagu wciąż jest spychane na margines historii.

Nie milkną echa dziwnego zachowania polityków Konfederacji po ataku Putina na Polskę. „To, że politycy Lewicy, partii, która wywodzi się z PZPR-u, mówią, że Polska zawdzięcza Armii Czerwonej wyzwolenie, to nie jest wielkie zaskoczenie. Ale proszę zobaczyć, jak dziwnie zamilkli politycy Konfederacji. To potwierdza ich związki z Rosją. To prawda, która została obnażona" – ocenił premier Morawiecki w TVP. Tak, ten moment wielu ludziom otworzył oczy.

Na słowa premiera zareagował Grzegorz Braun. Podczas konferencji prasowej zadzwonił do ABW. „Szczęść Boże, panie oficerze dyżurny. Konfederacja prosi o zapewnienie należytej kontroli kontrwywiadowczej posłom na Sejm RP, ze szczególnym uwzględnieniem koła Konfederacja. Sprawa wydaje się pilna, ponieważ jeśli osłona kontrwywiadowcza nie szwankuje w naszym przypadku, to musi szwankować osłona [dezinformowanego] pana premiera" – argumentował. Cóż, ten telefon z pewnością uprości procedurę.

Tomasz Sekielski wziął teraz na cel telewizję publiczną. „TVP PiS to czysta propaganda, kłamstwa i oszukiwanie widzów. Namawiam was, abyście przekonywali swoich znajomych i rodzinę, aby wyłączyli TVP. Proponujcie osobom, które uważają, że TVP jest dobra, aby przeżyli bez niej tydzień, może dwa. Na próbę. Może im się uda" – wzywa. Wniosek jest jeden: są przekonani, że gdyby nie TVP, już byłoby posprzątane. Dobrze myślą.

Sekielski wzywa do działania. „Zorganizujmy jakąś akcję. Bombardujmy wszystkich wokół informacjami o tym, aby wyłączyli TVP. To jest metoda walki z propagandą" – apeluje. I snuje marzenia: „A teraz, drogie misie, wyobraźcie sobie świat bez tego parszywego, lewackiego TVN-u...; ze szczujnią z TVP; z robiącym łaskę Polsatem; z „Krzysztofem Suwartem" z Wirtualnej Polski itd." Czyż nie piękne marzenia?

Kandydat lewicy na prezydenta ***Robert Biedroń*** przyznaje: „Po kolejnych przegranych wyborach w elektoracie opozycji panuje duża frustracja. Wyborcy mają poczucie, że opozycja nie ogarnia rzeczywistości. Trzeba pokazać siłę i chęć wygrania". I dodaje: „Ja tę siłę mam i jestem gotowy. To nie pierwszy raz, gdy podejmuję się trudnego zadania". To prawda, ale wcześniej wyborcy opozycji nie wiedzieli prawdziwych intencji. A teraz już widzą.

Z kolei Bronisław Komorowski uważa, że Małgorzata Kidawa-Błońska ma „ogromne szanse na pokonanie Dudy" w drugiej turze wyborów. Dlaczego? „Andrzej Duda tzw. gadane to ma. Ale jest jeszcze pytanie: co mówi i jak mówi? To jego pokrzykiwanie i radykalne zachowania wynikają już z poczucia braku pewności siebie. A jak ktoś jej nie ma, to jest kandydatem na klęskę" – ocenia były prezydent. Brzmi logicznie, ale jak wobec tego wytłumaczyć, że tak pewny siebie człowiek jak Komorowski przegrał w 2015 r.?

Tomasz Lis snuje historyczne analogie. „Doświadczamy czegoś niezwykłego. Po ponad dwóch stuleciach od rozbiorów możemy zobaczyć na własne oczy, jak upadała Polska" – stwierdza, powielając faktycznie głupią tezę, według której I Rzeczypospolitej najbardziej zaszkodziła próba reform. Ale dalej jest jeszcze ciekawiej: „Sytuacja, z jaką mamy do czynienia, jest oczywiście diametralnie inna. Polska nie jest dziś otoczona przez trzech wrogów, którzy dybią na jej życie". Cóż, z taką bazą nie da się powiedzieć wiele mądrego.

„Nieoficjalnie mówi się o tak ogromnych kwotach, jakie zamierzają przeznaczyć na hejt wobec ***Andrzeja Dudy*** w sieci, że wszystkie farmy Brejzy, SilniRazem czy Sokzburaka, to będzie tylko przedsmak szamba, które nas czeka w kampanii prezydenckiej. Także sztabie PAD, szykujcie się" – alarmuje dziennikarz TVP Samuel Pereira. Słusznie. Ludzie, którzy byli mili przez ostatnie ponad cztery lata, teraz przestaną być mili.

W obliczu kłopotów agent Tomek pobiegł do TVN, licząc zapewne, że uratuje go to przed wyrokiem za udział w głośnym przekręcie. Głosi to, co wszyscy, którzy przeszli na drugą stronę, oskarża CBA o „polowanie na Kwaśniewskich". Odpowiedział mu Maciej Wąsik, zastępca Mariusza Kamińskiego: „Agent Tomek to człowiek małej wiary. Nie uwierzył, kiedy mówiliśmy, że nie ma świętych krów". Wyjątkowo celne.

Agent Tomek, zgodnie z wymaganym rytuałem, złożył także samokrytykę. „Przepraszam Beatę Sawicką, Weronikę Marczuk i inne osoby, z którymi się zetknąłem podczas mojej pracy operacyjnej", i dalej: „Wiem, że szczególnie w sprawie państwa Kwaśniewskich zostałem instrumentalnie wykorzystany". Pytany, czy ma kaca, odpowiedział: „Tak i to ogromnego". A to dopiero początek, bo przecież smak zdrady dociera do człowieka dopiero po latach.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 05b6a45e9a

Borysława chwała

KRZYSZTOF FEUSETTE

– ***Halo, dzień dobry, wstało już nasze słoneczko?***
– A kto mówi?
– ***A co to, nasze szczęście dzisiaj nie w humorku? Nie poznaje już koleżanek swoich najlepszych? Swojej myszki, która...***
– Kamilka?
– ***Jaka znowu Kamilka? Co to, już nasz dzióbeczek roześmiany zapomniał, kto jest jego myszką prawdziwą? Kto się szykuje do majowego zwycięstwa? No, Borysku, pobudeczka, kampanijkę trzeba ruszyć z kopytka, bo się ciocia Gosia zaczęła pakować, a poparcie nie skacze za bardzo...***
– Przepraszam, a do kogo wy macie pretensje? Albo program gubicie, albo dukacie tak, że nawet Nitras by usnął, albo Rada Europy myli się wam z Unią Europejską... Czy wyście to w ogóle uzgadniali ze sztabem?
– ***Ależ oczywiście. Przecież ja się z tobą zgadzam w całej rozciągłości. I powiem ci więcej: mnie się bardzo podoba sposób, w jakim ty prowadzisz naszą partię. To jest coś... coś takiego... że aż chce się kandydować.***
– Właśnie o tym chciałem z wami porozmawiać...
– ***Poczekaj, ja sobie to zapiszę, żeby mi coś nie umknęło. Widzisz, z tobą jest zupełnie inna rozmowa niż z Grzesiem. Ty potrafisz w kilku słowach uchwycić wszystko to, co jest najważniejsze dla naszego wyborcy.***
– I nie ogarniecie tego bez notatek?
– ***Nie, no tak. Oczywiście, że ogarniemy, to znaczy ogarnę. Ale tu nie chodzi o sens, bo sens to ja mniej więcej znam, te wszystkie „dokąd idziemy" czy tam „zmierzamy". Mi brakuje czasem jednego dobrego słowa. A ty mówisz tak pięknie, tak bogato, i w ogóle nie widać tego pokrewieństwa z Gomułką...***
– Jak ma być widać, skoro nigdy go nie było?! Skąd wy czerpiecie inspirację do takich wypowiedzi, co? Powiem krótko: nie będę dłużej ukrywał przed wami celu tej rozmowy...
– ***Przecież to ja dzwonię, Borysławku...***
–...i informuję was, że decyzją nowego przewodniczącego Platformy Obywatelskiej Koalicji Obywatelskiej...
– ***Halo, coś mi przerywa... To pa, pa!***
– Żadnego „pa, pa". Ja wam odbieram nominację!
– ***A za co?***
– Za całokształt!
– ***Pierwsze słyszę. Ja nawet nie wiedziałam, że jestem nominowana! Zresztą, i tak nie mam, kiedy odebrać. Ty mi lepiej, Borysku, odpowiedz na kluczowe pytanie: czy mi jest lepiej w zielonym czy w granatowym? Jak ty to widzisz?***
– Wcale nie widzę. Primo, czyli po pierwsze: wyście dostali od partii mandat zaufania i wyście ten mandat na naszych oczach podarli. Bo słupki nie stoją, tylko maleją. Sekundę, czyli po drugie: Grzesio miał swoją koncepcję, a ja mam swoją. I to jest koncepcja identyczna, jednak różnią nas kwestie personalne...
– ***Borysław, zanim cokolwiek powiesz lub zrobisz, chcę ci tylko powiedzieć jeszcze jedno: ty jesteś od Grzesia dużo wyższy. Powiesz: „Gosi odbiło", ale ja naprawdę tak uważam! A widziałeś tę jego fryzurkę przerzedzoną? Cztery włosy na krzyż. To znaczy, nie o to chodzi, że on łysieje... Ja akurat łysych uwielbiam. Przecież ja nawet plakaty z Kojakiem miałam!***
– Serio? No, dobra. Dam wam ostatnią szansę. Będziecie chodzić po telewizjach i opowiadać, jak wielkie nadzieje wiążecie ze zmianą na stanowisku lidera partii. Oraz pochwalicie bez szemrania moją decyzję, by na szefa klubu zgłosić kolegę Nitrasa. Macie z nim współpracować.
– ***W tym klubie?***
– Owszem.
– ***Tylko czy to wypada, żeby kandydatka na głowę państwa bywała w klubie o takiej porze? Przecież Sławek przed godz. 22 na pewno nie będzie otwierał...***
– Powtarzam: mnie nie obchodzi wasz wynik wyborczy. Najważniejszy jest teraz wizerunek całej formacji. Nowy wizerunek, ma się rozumieć. Notujecie?
– ***Oczywiście. No-tu-je-cie...***
– A jeśli się nie dostosujecie albo będziecie kidawać, przepraszam, udawać ostatnią nadzieję opozycji, to się na tym przejedziecie tak, że wam rodzinne korzenie nie pomogą. Wódz jest tylko jeden.
– ***Rozumiem, jeden wódz...***
– Macie coś jeszcze, czy mogę wreszcie oddać się obmyślaniu strategii wyborczej? Jak widzicie, jestem piekielnie skuteczny. Być współodpowiedzialnym za odpływ ludzi od Platformy, a jednocześnie zebrać głosy sześciu tysięcy członków, to trzeba mieć w sobie to coś, prawda?
– ***Oczywiście. Tylko co?***
– Jajco! Od dziś nie odzywacie się do mnie bez pytania! I pamiętajcie, że na wasze miejsce jest wielu chętnych...
– ***Halo? Znowu coś przerywa... Chyba jestem w pociągu... To zdzwońmy się w maju, Borysku, bo ja mam teraz urwanie głowy z kampanią. A tym Gomułką w ogóle się nie przejmuj. W końcu rodziny się nie wybiera, co nie? Pa, pa!***

eprasa.pl 05b6a45e9a

Matrix nasz powszedni

I tylko się zastanawiam, co ludzie, którzy większość czasu spędzają na platformach filmowych lub w społecznościówkach, będą wspominać na starość?

Dziś wybór jest szeroki: Netflix lub HBO Go, a jak komuś mało, to jeszcze Amazon Prime czy Rakuten. A na każdej z platform streamingowych tyle kategorii filmów, ile dusza zapragnie. Dla każdego coś miłego: niemal od niemowlaka po emeryta. Można się śmiać, płakać i bać – bez granic. Nie tylko na filmach, lecz i przy okazji oglądania seriali. Wreszcie udało się zerwać z tym irytującym dawkowaniem losów ulubionych bohaterów po odcinku, gdy treść sączyła się z wolna z tygodnia na tydzień niczym kroplówka na SOR-ze. Dziś seriale można z platform czerpać garściami, całymi sezonami. Koniec z niecierpliwym oczekiwaniem na rozstrzygnięcie, kto zabił lub kogo wybierze główna bohaterka. Wszystkiego można się dowiedzieć w jedną noc, ryzykując co najwyżej konieczność podłączenia się następnego dnia pod kroplówkę z kawą lub konieczność wzięcia urlopu na żądanie. Dziś każdy w dowolnej chwili może się poczuć wampirem, gangsterem, milionerem, księżniczką, psychopatycznym zabójcą czy papieżem – bez ograniczeń i w dodatku każdego dnia kim innym.

Wypożyczalnie filmów na różnych nośnikach splajtowały już dawno. Komu chciałoby się ruszać z domu, skoro wszystko jest w zasięgu pilota w niskiej – biorąc pod uwagę skalę oferowanej produkcji – cenie. Aż dziw bierze, że jakoś przędą jeszcze kina. Tam nie zawsze widz może znaleźć to, na co ma ochotę, musi się zadowolić tym, co akurat mu puszczą. Do tego bilety są drogie, a jak jeszcze komuś zamarzy się chrupnąć popcorn czy nachosy i zapić colą, to może się okazać, że przekracza to kwotę miesięcznego abonamentu za jedną ze streamingowych platform, na której przecież wszystko można mieć bez ograniczeń. W dodatku do kina trzeba dojechać, może nawet z kimś się tam umówić, a przecież nie zawsze łatwo zsynchronizować kalendarz. Kto wie, może nawet osoba, z którą się umówimy, zechce z nami rozmawiać, a to może zakłócić odbiór filmu. A nałogowy oglądacz w ogóle nie musi nigdzie wychodzić. No może do toalety po piątym odcinku „Breaking Bad".

Podobnie jest z mediami społecznościowymi. Nie trzeba się ruszać, by wszystkich znajomych mieć w zasięgu kciuka. Z kilkunastoma, kilkudziesięcioma, a może nawet kilkuset osobami – wszystko zależy od umiejętności – można rozmawiać w tym samym czasie. Można jednocześnie śmiać się, kłócić czy omawiać trendy w make-upie. Nie trzeba nosa wyściubiać z domu czy ruszać się z kanapy, by mieć poczucie udziału w imprezie, stałej wymiany myśli z facebookowymi „przyjaciółmi". Gdy ma się problem – wszyscy w mgnieniu oka pospieszą z radą, wirtualnie pomogą, doradzą, pochwalą fryzurę czy ubiór. Czasem skrytykują. I wszystko o wszystkich wie się natychmiast. Jaki sens ma kawa z przyjaciółką po urlopie, skoro jej wypoczynek śledzi się na bieżąco? Nie trzeba do nikogo dzwonić i pytać: „Co słychać?", bo przecież wszystko wiadomo z Facebooka, Instagrama czy Twittera.

I czasem tylko się zastanawiam, co ludzie, którzy większość czasu spędzają na platformach lub w społecznościówkach, będą wspominać na starość? Przecież nie sceny z ulubionych seriali, które z czasem i tak zleją się w jedno. A co z zapachem plaży na pierwszej randce? Co z gorącymi łzami rozstania czy euforią powitania? Co z wiatrem we włosach i słońcem na twarzy podczas wiosennego spaceru? Co z radością spełnienia i goryczą porażki? Czy ktoś z facebookowych przyjaciół naprawdę chętnie ruszy na ratunek, gdy będziemy tonąć? Dlaczego tak chętnie tak wiele osób rezygnuje dziś z prawdziwych emocji, dając się uwieść iluzji? Dlaczego tak wiele osób wybiera niebieską tabletkę, wybierając tkwienie w Matriksie zamiast po prostu życia? Zamiast tańczyć, chodzić boso w deszczu, płakać i śmiać się z tego, co wydarzyło się naprawdę, wolimy oglądać to, co przeżywają inni. Może warto się obudzić, nim odkryjemy, że nasze życie przeszło obok?

Dorota Łosiewicz

Fot. East News/JOHN THYS / AFP

eprasa.pl 05b6a45e9a

Brexit stał się faktem

Po 47 latach członkostwa (Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej zostało członkiem Wspólnot Europejskich 1 stycznia 1973 r.) Londyn opuszcza Unię. Europosłowie formalnie zatwierdzili w minioną środę na sesji w Brukseli umowę brexitową. Dzień później w ich ślad poszli dyplomaci państw członkowskich UE.

Brytyjscy europosłowie żegnali się z Brukselą, intonując na sali plenarnej znaną szkocką pieśń pożegnalną „Auld Lang Syne". Część z nich trzymała się za ręce, a niektórzy mieli nawet łzy w oczach. Obiecywali, że „jeszcze tu wrócą".

Tymczasem rozpoczęły się już negocjacje w sprawie nowej umowy handlowej między Londynem a Brukselą. To od niej zależeć będą przyszłe relacje Wielkiej Brytanii z Unią. Na negocjacje pozostało niewiele czasu – do końca tego roku, gdy skończy się także tzw. okres przejściowy, w którym obowiązywać będą jeszcze dotychczasowe regulacje, a premier Boris Johnson kategorycznie wykluczył jego przedłużenie.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podziękowała Brytyjczykom za wkład wniesiony w budowę europejskiej wspólnoty, a główny negocjator UE ds. brexitu Michel Barnier mówił o „smutnym dniu".

Zwolennicy brexitu z Nigelem Farage'em na czele nie kryli jednak swojej radości. „Gdy raz wyjdziemy, już nigdy nie wrócimy" – mówił szef Brexit Party, wyrażając przy tym nadzieję, że to początek końca unijnego projektu. Wśród krajów, które niebawem także mogą jego zdaniem opuścić UE, wymienił Danię, Włochy oraz Polskę. „30 lat temu rządzili komuniści, a obecnie w Brukseli jest system, który przypomina Polakom o tamtych czasach" – przekonywał. Według niego brexit to „zwycięstwo zwykłych ludzi nad establishmentem".

Brytyjczycy hucznie świętowali wyjście z UE. Downing Street zorganizował pokaz świateł, a kilka metrów dalej przed pałacem westminsterskim bawili się brexitowcy na imprezie organizowanej przez Farage'a. Świętowano także w Brukseli, choć raczej na smutno. Brytyjski europoseł Zielonych Magid Magid wyprawił imprezę pod tytułem: „Brexit to g…, ale bawmy się mimo tego".

Aleksandra Rybińska

rasa.pl 05b6a45e9a

Izrael

Plan stulecia na wybory

Premier Izraela Beniamin Netanjahu określił ogłoszony przez prezydenta Trumpa „plan stulecia" mianem „zadziwiającego osiągnięcia" oraz wezwał państwa arabskie do poważnego potraktowania tej propozycji. Netanjahu komplementował też amerykańskiego prezydenta, nazywając go „największym przyjacielem Izraela, jaki kiedykolwiek zasiadał w Białym Domu". W ogłoszonym we wtorek planie pokojowym Trump proponuje powstanie okrojonego zdemilitaryzowanego państwa palestyńskiego.

Izraelska prasa wypowiada się na temat propozycji Trumpa w dość sceptycznym tonie. Anshel Pfeffer, komentator dziennika „Haaretz", określił plan mianem przedsięwzięcia „skazanego na porażkę", które „nigdy nie wystartuje". Zresztą w jego opinii nie takie były założenia amerykańskiego planu. Jego istotę upatruje on właśnie w tym, że został tak sformułowany, aby Palestyńczycy go odrzucili, co w dłuższej perspektywie doprowadzi do przekształcenia ich ruchu narodowego z przedsięwzięcia mającego szanse na uzyskanie niepodległości w to przypominające współczesnych Kurdów czy Tybetańczyków, bez realnych widoków na osiągnięcie takiego celu.

„Israel Hayom", najpopularniejszy izraelski tabloid, wspierający w przeszłości Likud i premiera Netanjahu, zauważa, że ogłoszenie planu w praktyce ułatwia aneksję przez Izrael kolejnych terenów na Zachodnim Brzegu. Ariel Kahana podkreśla w artykule, że „plan nie przewiduje zamrożenia osadnictwa ani tym bardziej jego likwidacji". O perspektywie szybkiej aneksji przez Izrael części palestyńskich terytoriów mówił też uczestniczący w negocjacjach izraelski minister turystyki Yariv Levin, który przyznał, że „istnieje pokusa, aby rozpocząć proces możliwie szybko".

David Horowitz z „The Times of Israel" zauważa z kolei, że jakkolwiek plan Trumpa nie osiągnie zakładanego celu, jakim jest pokój palestyńsko-izraelski, to z pewnością jest sukcesem premiera Netanjahu, któremu udało się przeciągnąć na swoją stronę prezydenta Stanów Zjednoczonych, jeszcze na początku kadencji twierdzącego, iż forsowanie osadnictwa żydowskiego na terytoriach palestyńskich „nie jest dobrym pomysłem na osiągnięcie pokoju". Inni komentatorzy porównują propozycję Trumpa do próby zbudowania palestyńskiego bantustanu czy wręcz państwa apartheidu. W izraelskich mediach przeważa sceptycyzm co do możliwości realizacji amerykańskiego „planu stulecia", zwłaszcza że już dwukrotnie, w latach 2000 i 2008, Palestyńczycy odrzucili lepsze dla nich propozycje. Nie brakuje też opinii, że w istocie Trump kieruje swoje propozycje do konserwatywnych monarchii Zatoki Perskiej po to, aby wywarły one presję na władze Autonomii Palestyńskiej, aby te „wzięły to, co się im oferuje, bo lepszej propozycji nie będzie". Inni publicyści są zdania, że mamy do czynienia z planem, którego głównym skutkiem będzie przysłonięcie oskarżeń o korupcję premiera Netanjahu i odegranie roli w nadchodzącej kampanii wyborczej. Nie ma tylko pewności, czy chodzi o zbliżające się wybory w Izraelu, czy o te w Stanach Zjednoczonych.

Marek Budzisz

Włochy

Futbol i eutanazja

10 czerwca 1968 r. na Stadionie Olimpijskim w Rzymie piłkarska reprezentacja Włoch zdobyła mistrzostwo Europy, pokonując w meczu finałowym drużynę Jugosławii 2:0. Drugiego gola przypieczętowującego zwycięstwo Italii strzelił wówczas pochodzący z Sycylii 20-letni napastnik Pietro Anastasi, który w tamtym sezonie stał się zawodnikiem Juventusu Turyn. W lidze włoskiej błyszczał jeszcze przez kilkanaście lat, zdobywając w niej 108 bramek. Komentując jego karierę, pisarz Alessandro Baricco zauważał: „Pietro Anastasi stał się żywym symbolem całej klasy społecznej: tych, którzy niechętnie opuścili Południe, aby wyjechać i zarabiać na życie w fabrykach Północy".

Niedawno 71-letni gwiazdor stadionów stał się po raz kolejny we Włoszech symbolem, ale tym razem... eutanazji. Trzy lata temu zachorował na raka jelita, z którym medycyna nie była w stanie sobie poradzić. Poprosił więc o skrócenie życia. Lekarze przestali podawać mu jedzenie i picie, faszerując w tym samym czasie środkami farmakologicznymi ograniczającymi jego świadomość. W efekcie nastąpił zgon.

Jego śmierć wywołała publiczną dyskusję, ponieważ eutanazja i wspomagane samobójstwo są we Włoszech oficjalnie zakazane. Sprawcy uśmiercenia Anastasiego powołali się jednak na ustawę o testamentach życia z 2017 r., która daje pacjentowi prawo udzielania wskazówek, w jaki sposób ma być leczony w przypadku, gdyby w przyszłości utracił świadomość i nie był w stanie polecić tego lekarzom. Powołali się też na orzeczenie włoskiego Trybunału Konstytucyjnego, który we wrześniu 2019 r. uznał, że w niektórych ściśle określonych przypadkach udzielenie pomocy w samobójstwie jest prawnie dopuszczalne. Takie stanowisko zdumiało wiele środowisk prawniczych i lekarskich, które zauważają, że nie istnieje żaden akt prawny, który dopuszczałby tego rodzaju proceder. Tak więc eutanazja, choć bezprawna, sankcjonowana jest przez autorytety prawnicze. Nazwisko Anastasiego stało się w tej grze symbolem.

Grzegorz Górny

Pietro Anastasi

Fot. East News/Peter Robinson

eprasa.pl 05b6a45e9a

Bułgaria

Skrytobójcy z Moskwy

Bułgarska prokuratura oskarżyła zaocznie trzech rosyjskich obywateli o próbę zabójstwa biznesmena z branży zbrojeniowej Emiliana Gebrewa, a także jego syna i menedżera jego firmy. Według bułgarskich śledczych Rosjanie, którzy w okresie od 28 kwietnia do 4 maja 2015 r. dwukrotnie próbowali otruć Gebrewa, pracują dla rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU. Gebrew jest właścicielem firmy Emko, zajmującej się m.in. sprzedażą broni na Ukrainę i z tego powodu, jak podają media, stał się on celem Rosjan.

Początkowo, pomimo dwóch prób otrucia, bułgarska policja zamknęła dochodzenie z powodu braku dowodów. Śledztwo wznowiono w październiku 2018 r., gdy okazało się, że Gebrew miał takie same objawy zatrucia jak Siergiej Skripal – były agent GRU, którego Rosjanie próbowali otruć w angielskim mieście Salisbury. Śledczy doszli wtedy do wniosku, że Gebrewa chciano zabić trucizną z grupy nowiczok, użytą przez GRU podczas zamachu na Skripala.

Spośród osób zamieszanych w próbę zabójstwa Skripala wytypowano jedno nazwisko ustalone przez brytyjskich śledczych – Siergieja Fiedotowa. Rosjanin posługujący się tym nazwiskiem przebywał zarówno w Londynie, jak i w Bułgarii, dokładnie w tym samym czasie, gdy dokonano zamachu na Gebrewa. Brytyjski portal Bellingcat podał wówczas, że pod nazwiskiem Fiedotowa ukrywa się Denis Siergiejew, jeden z głównych oficerów operacyjnych GRU. Dzięki dowodom udostępnionym przez brytyjskich śledczych udało się wznowić bułgarskie śledztwo, przygotować akt oskarżenia przeciwko trzem obywatelom Rosji oraz wysłać za nimi międzynarodowy list gończy.

Chociaż Bułgarzy nie podali oficjalnie nazwisk poszukiwanych zamachowców, „The New York Times" napisał, że oprócz Fiedotowa/Siergiejewa chodzi o Siergieja Pawłowa i Gieorgija Gorszkowa. Mają być oni członkami Jednostki 21955, grupy GRU wyspecjalizowanej w organizowaniu zamachów na przeciwników Rosji oraz przygotowywaniu akcji destabilizacyjnych. Jednostka ta, jak twierdzi gazeta, brała również udział w organizacji nieudanego zamachu stanu w Czarnogórze w październiku 2016 r. Tę informację potwierdził portalowi Bellingcat dziennikarz czarnogórskiej gazety „Pobjeda" Christo Grozev, który wskazał, że jeden z organizatorów próby zabójstwa Gebrewa był aktywny także podczas zajść w Czarnogórze.

Jak piszą Amerykanie, dochodzenie w Bułgarii uświadomiło europejskim służbom wywiadowczym, że tajna jednostka GRU jest aktywna i ciągle stanowi zagrożenie w Europie.

Goran Andrijanić

Więcej na str. 73–75

Fot. Shutterstock

Nowe ambicje Trumpa

USA

Rok 1999. Donald Trump, miliarder i celebryta z Nowego Jorku, występuje w show swojego przyjaciela, skandalisty Howarda Sterna. Temat rozmowy? Seks z modelką Melanią, która potem została żoną Donalda. To był czas Trumpa libertyna. Od tamtej pory mija 21 lat i Donald Trump jako pierwszy prezydent USA w historii przemawia na Marszu Życia, który 24 stycznia po raz kolejny przeszedł ulicami Waszyngtonu. Mówi rzeczy, które większości współczesnym politykom nie przeszłyby zapewne przez gardło: „Kiedy widzimy obraz dziecka w łonie matki, dostrzegamy majestat Bożego stworzenia. Kiedy trzymamy nowo narodzonego w ramionach, znamy bezkres miłości, które każde dziecko wnosi do rodziny. Kiedy patrzymy, jak dziecko dorasta, widzimy wspaniałość bijącą z każdej ludzkiej duszy. Każde dziecko wnosi do rodziny radość. Każda osoba jest warta tego, żeby ją chronić".

Trzeba przyznać, że ani Ronald Reagan, który zasłynął nieśmiertelnymi bon motami antyaborcyjnymi („Wszyscy, którzy są za aborcją, zdążyli się już urodzić"), ani otoczony żarliwymi ewangelikanami George W. Bush nigdy tak bezpośrednio i bezkompromisowo nie opowiadali się przeciwko aborcyjnemu lobby.

Mimo to sceptycy gaszą entuzjazm, twierdząc, że wystąpienie Trumpa to tylko wyborczy show, który ma mu zapewnić głosy chrześcijańskiego elektoratu. Z pewnością jest w tym trochę prawdy, ale przecież polityka Trumpa wobec aborcji nie ogranicza się wyłącznie do retoryki. Jego administracja poważnie ograniczyła finansowanie organizacji proaborcyjnych, takich jak np. Planned Parenthood. A przed waszyngtońskim marszem Trump zapowiedział zbudowanie międzynarodowej koalicji skupiającej siły przeciwne uznaniu aborcji za podstawowe prawo człowieka. „Sprzeciwiamy się wszelkim projektom, które próbują ustanowić globalne prawo do aborcji na żądanie. Nigdy nie przestaniemy bronić niewinnego życia – w kraju i za granicą. Jako naród musimy niezachwianie poświęcić się głębokiej prawdzie, że życie jest darem od Boga, który nadaje każdej osobie niezmierzoną wartość i potencjał" – mówił Trump.

Ideowe ambicje prezydenta Stanów Zjednoczonych wyraźnie wykraczają poza krajowe podwórko. Jednak zanim Trump stanie na czele wielkiego sojuszu konserwatywnej prawicy, będzie musiał jeszcze raz przekonać do siebie Amerykanów.

Łukasz Adamski

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Tuskizacja w natarciu!

Jan Pietrzak

Poseł Janusz Kowalski wprowadził pojęcie „tuskizacji" jako rezygnacji z lojalności wobec państwa polskiego. Trafne słówko, ponieważ stosunek do polskiej państwowości stał się ważnym kryterium politycznym. Ważniejszym niż lewicowość, prawicowość, konserwatyzm, liberalizm...

Podobną karierę zrobił przed laty termin „falandyzacja". Jako sposób fałszywego rozumienia prawa, falandyzację stosuje na naszych oczach Sąd Najwyższy im. Gersdorfa. Inny neologizm to „tfusk!" – odruchowy komentarz na kłamliwe wypowiedzi pewnego typka dotyczące polskich spraw. Słusznie przywoływany jest cytat o kondycji LOT pod rządami PO-PSL: „Najwyższy czas zerwać z doktryną, że trzeba bronić LOT za wszelką cenę", co powiedział ówczesny premier Tusk, kiedy przygotowywał grunt dla powstającej firmy OLT. Dziwnym trafem zakładali OLT jego gdańscy kompani. Pamiętamy widowiskowe przeciąganie aeroplanu przez czołówkę partyjną Platformy O. Ciągnęli linę jak burłacy nad Wołgą z obrazu Riepina.

Coś z mentalności burłaków tkwi w tym towarzystwie do dzisiaj, co uświadomił nam podsłuchany Sikorski, mówiąc o „murzyńskości". Była to typowa projekcja własnego problemu psychicznego na większą zbiorowość. Konieczność poddaństwa siedzi w tych panach jak zadra w d... W paniach też. Ich kandydatka „zdemaskowała" Jarosława Kaczyńskiego, że zależy mu na Polsce! Doprawdy ciężki zarzut ze strony totalnej opozycji, która uwija się po ulicach i zagranicach, żeby Polsce szkodzić.

Tak się dziwnie porobiło, że obecnej władzy zależy na Polsce! Co więcej, potrafi tworzyć warunki gospodarczego wzrostu i społecznej prosperity. Dlatego LOT w ciągu paru lat wspaniale rozwinął skrzydła. Do tego stopnia, że przejmuje niemiecką firmę Condor. Nucąc „El Condor Pasa", będziemy oglądać „Słońce Peru" w oryginale, a nie w karykaturalnej postaci.

Tuskizacja odnosi jednak sukcesy. Sześciu posłów zgromadzenia Rady Europy głosowało razem z Rosją. Widzieliśmy niedawno w PE „parszywą dwudziestkę". Kiedy trwa wytężone grillowanie Polski, należy mieć na oku osobników, którzy nie są lojalni wobec swego kraju... Cienka czerwona linia jest coraz bliżej.

Zaczęło się od tanga

Z Anną Iberszer, aktorką i choreografem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kiedy uwielbiana przez telewidzów Francesca stała się teatralnym choreografem?

Anna Iberszer: Cha, cha. Choreografia pojawiła się w moim życiu jeszcze przed aktorstwem. Kiedy kończyłam studia na reżyserii dźwięku, rozpoczęła się moja taneczna przygoda z tangiem i flamenco. Zostałam poproszona o zrobienie choreografii do spektaklu „Na czworakach" Kazimierza Kutza w Teatrze Narodowym. Zobaczyłam teatr od środka i tak się zaczęło. Ówczesny dyrektor Narodowego, Jerzy Grzegorzewski, zaprosił mnie do kolejnego spektaklu – już w charakterze aktorki. „Sen nocy letniej" graliśmy jeszcze sześć lat, a ja połknęłam bakcyla i cała moja droga zawodowa od tej pory związana była ze sceną. Można powiedzieć, że choreografia doprowadziła mnie do teatru.

Teraz wprowadziła panią w gorące rytmy „Człowieka z La Manchy"?

Tango i flamenco są poniekąd moimi znakami firmowymi, więc kiedy w Teatrze Dramatycznym pojawił się tytuł tak mocno związany z Hiszpanią, trafiłam tu i ja [śmiech]. I chociaż muzyka w spektaklu ma raczej charakter musicalowy niż hiszpański, bardzo chciałam, by tkwiące w nim elementy iberyjskie wydobyć i podkreślić – w choreografii, w ruchu scenicznym, ale też w charakterze postaci, w sposobie poruszania się, w obyczajowości.

Temperament to także znak rozpoznawczy policjantki z serialu „Ranczo". Widzowie pytają o Franceskę?

Cały czas. Powtórkowe emisje sprawiają, że stale jesteśmy z widzami. I wszyscy liczymy, że uda się w końcu zrealizować zapowiadany kinowy film z bohaterami z Wilkowyj.

Fot. Podlewski/AKPA

eprasa.pl 05b6a45e9a

BRONISŁAW WILDSTEIN

O niezawisłości sędziowskiej

Wiele już powiedziano o uchwale podjętej przez SN, która kwestionuje konstytucję, uderza w funkcje ustawodawcze parlamentu i kompetencje prezydenta. Przy tej okazji chciałbym jednak wrócić do sprawy, której pełne usta mają prawnicy atakujący obecną władzę. Chodzi o niezawisłość sędziowską. Uderzyło mnie to przy okazji wypowiedzi jednego z sędziów, który wskazywał wprawdzie, że wzmiankowana uchwała podjęta została wbrew normom obowiązującym w Polsce i, przede wszystkim, konstytucji, a jednocześnie dodał, że niestety nie można zakazać sędziom odwoływania się do niej ze względu na... ich niezawisłość. A oto, co mówi konstytucja.

„Sędziowie w sprawowaniu swojego urzędu są niezawiśli i podlegają tylko Konstytucji oraz ustawom". Wynika z tego w sposób jednoznaczny, że uchwała podjęta wbrew polskiemu porządkowi prawnemu, choćby przez SN, nie może stanowić podstawy do żadnego wyroku. A niezawisłość sędziowska nie ma tu nic do rzeczy, gdyż właśnie ten porządek prawny wyznacza jej ramy. Odejście od tej zasady oznaczałoby, że kraj staje się własnością sędziowskiej oligarchii, która może podejmować dowolne decyzje we wszystkich sprawach, a inne instytucje z parlamentem włącznie należałoby właściwie rozwiązać. Do kosza należałoby wyrzucić także konstytucję.

Niestety establishment sędziowski III RP i jego sprzymierzeńcy tak właśnie niezawisłość sędziowską traktują. Oto fragment uchwały Sądu Rejonowego Katowice-Zachód:

„Istotą niezawisłości sędziowskiej – która niezmiennie pozostaje fundamentem naszej pracy – jest autonomiczne, pozbawione podległości służbowej i podporządkowania komukolwiek, wolne od nakazów czy wytycznych z jakiegokolwiek źródła, bezstronne i obiektywne rozstrzyganie spraw podlegających właściwości sądów, zgodnie z prawem, wiedzą i sumieniem każdego z nas. Wszczynanie postępowań dyscyplinarnych w stosunku do sędziów z uwagi na treść orzeczeń, w wydaniu których brali udział, narusza zasady niezawisłości sędziowskiej i niezależności sądów, chronione Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej oraz umowami międzynarodowymi".

Konstytucja przywoływana jest więc wyłącznie do obrony sięgającej ad absurdum niezawisłości sędziowskiej. Z uchwały katowickich sędziów wynika, że tylko po to została ona uchwalona, gdyż inne jej normy nie obowiązują, w każdym razie sędziowie nie muszą się nimi przejmować. Jeśli nie wolno wszczynać postępowania dyscyplinarnego za orzeczenia łamiące polski porządek prawny, to należy po prostu postawić na nim krzyżyk. Sędziowie III RP w dużej mierze już to zrobili.

Marek Pyza i Marcin Wikło w artykule „Toga w togę z esbekami" („Sieci" 4/2020) pokazali, jak sędziowie bojkotują ustawę, która odebrała przywileje emerytalne funkcjonariuszom komunistycznej policji politycznej. Czasami robią to wręcz ostentacyjnie, jak sędzia nb. z Katowic właśnie, która stwierdziła, że nie uznaje prawomocnie przyjętej ustawy, gdyż: „głosowanie odbyło się poprzez podniesienie ręki i obliczenie głosów przez sekretarzy". Aż dziw bierze, że sędzia w ogóle zniża się do jakiegoś uzasadnienia. Przecież mogłaby (niezawiśle) napisać, że ustawa się jej nie podoba. Robią to właściwie inni sędziowie, twierdząc, że ustawa narusza prawa nabyte. Tyle że nie sędziowie są od rozstrzygania zgodności praw przyjmowanych przez parlament z podstawowymi zasadami rządzącymi w państwie, ale tylko i jedynie Trybunał Konstytucyjny. Jeśli TK nie wypowiada się w danej sprawie, to normą w polskim prawie jest domniemanie konstytucyjności, czyli założenie, że niezakwestionowane przez to ciało prawo traktowane jest jako konstytucyjne. Sędziowie mogą zwrócić się do TK w tej sprawie. Tyle i aż tyle. W wypadku jednak sprawy, o której mowa, TK zdążył się już wypowiedzieć i ustawę zaakceptować. Sędziowie więc, którzy ją lekceważą, sytuują się ponad TK, a więc i konstytucją. Są przecież niezawiśli. Jeśli nie zostaną skonfrontowani z prawdziwymi sądami dyscyplinarnymi, to będą mogli robić, co chcą: negować demokrację, łamać polski porządek prawny, elementarne normy przyzwoitości i zdrowy rozsądek. Są przecież niezawiśli.

System III RP utrwalił tego typu praktykę. Dyscyplinujące sędziów ciała realnie nie działały, toteż niesławnej pamięci Łączewski mógł skazywać nielubianych przez siebie polityków na więzienie bez jakiejkolwiek podstawy prawnej. Był przecież niezawisły. Dziś, kiedy demokratycznie wybrane władze próbują wpisać sędziów w konstytucyjny porządek, ci odmawiają posłuszeństwa. Są przecież niezawiśli.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05b6a45e9a

OGNIEM NA WPROST

Toaleta i siły postępu

Kandydat TVN na prezydenta Szymon Hołownia tym razem postanowił wystąpić w roli eksperta od myśliwców wielozadaniowych F-35 Lightning II, a konkretnie od sumy, za jaką mają zostać nabyte od Stanów Zjednoczonych. W podtekście oczywiście chciał „przyłożyć" polskiemu rządowi. Jego zdaniem kwota 550 mln zł za sztukę jest zawyżona, ponieważ Duńczycy zapłacili 345 mln. Zapomniał jednak dodać, że Duńczycy byli udziałowcami programu Join Strike Fighter, który do 2006 r. współfinansował budowę tego cacka. Polska miała propozycję doszlusowania do tego przedsięwzięcia, jednak ówczesny minister obrony Bogdan Klich w ramach rozbudowy sił zbrojnych à la PO nie skorzystał z amerykańskiej oferty. Z dowalenia PiS nic nie wyszło, ponieważ wina leży po stronie rządów koalicji PO-PSL. Dobra rada dla kandydata: jeśli chcesz coś mądrego powiedzieć o lotnictwie, to przedtem skonsultuj się nie ze swoim nowym doradcą gen. Mirosławem Różańskim, tylko ze swoją lepszą połową. W końcu masz w domu pilota wojskowego.

Klaudia Jachira zamknęła się w sejmowej toalecie dla niepełnosprawnych, by stworzyć tam kolejne „dzieło" swojego życia – baner z napisem „Dyktatura". Na szczęście koledzy klubowi zakazali prezentacji twórczości Jachiry na sali sejmowej, mówiąc „Dziś bez happeningów". Jak nie kijem go, to pałką – brzmi dewiza pani poseł. Niebawem umieściła na Twitterze filmik z Dziesięcioma Przykazaniami, ale według PiS. Pierwsze brzmi: „Jam jest siłą, która wyprowadzi Cię z Unii Europejskiej, prosto w objęcia komuny, PiS". Reszta jest podobnym bzdetem, w związku z tym nie ma sensu tego cytować. Ani to mądre, ani śmieszne. Rzecz polega na tym, że stan pani poseł niestety ulega z dnia na dzień pogorszeniu i obawiam się, że są to ostatnie podrygi jej twórczości poza szpitalem psychiatrycznym.

Siły „postępu" wykazują w Polsce coraz większą aktywność w zwalczaniu wszelkich przejawów religijności. Ostatnio dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 109 we Wrocławiu zakazała powrotu krzyży wcześniej usuniętych z gmachu. Za nic ma petycję podpisaną przez ponad 100 rodziców. Jak to ujęła, kierowała się „troską o przestrzeganie zasad polskiego porządku prawnego". Dalej wydała z siebie tak charakterystyczny w takich sytuacjach bełkot lewackiej nowomowy pt. „Krzyże w klasach mogą być odbierane przez uczniów jako symbol religijny [...]. To zaś mogłoby przeszkadzać uczniom wyznającym inne religie i bezreligijnym". Z drugiej strony przyznaje jednak, że nigdy nie było skarg na wiszące w klasach krzyże. Nawiasem mówiąc, konstytucja w art. 53 oraz wiążące Polskę umowy międzynarodowe gwarantują każdemu – a więc także katolikom – wolność uzewnętrzniania przekonań religijnych, co może się odbywać również w szkole. Jak do tego dodamy wyrok Sądu Najwyższego z 2013 r., w którym wprost stwierdzono, że „osoba deklarująca się jako niewierząca nie może oczekiwać, że nie będzie miała kontaktu z osobami wierzącymi, ich praktykami i symbolami religijnymi" plus zdanie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka o nienaruszającym Europejskiej Konwencji Praw Człowieka włoskim prawie nakazującym obecność krzyży w szkołach, to mamy komplet. Już czas, żeby sprawą zajął się dolnośląski kurator oświaty i zrobił porządek z panią dyrektor, która najwyraźniej przyćmiona lewackimi ideami ma kłopoty ze zrozumieniem obowiązującego w Polsce prawa.

Według amerykańskiej Ligi Antydyfamacyjnej (ADL Anti-Defamation League) – jednej z najstarszych i najważniejszych organizacji żydowskich na świecie, której celem jest walka z nienawiścią i uprzedzeniami wobec Żydów – mniej więcej co czwarty Europejczyk ma skrajnie negatywne nastawienie do Żydów. Tak wynika z sondażu na temat antysemityzmu przeprowadzonego w 18 krajach na całym świecie w 2019 r. Badanie wykazało, że postawy antysemickie są najbardziej rozpowszechnione w Polsce, gdzie nastroje takie wzrosły do 48 proc. populacji z 37 proc. w 2015 r. Największy wzrost odnotowano na Ukrainie, gdzie wskaźnik urósł do 46 proc. z 32 proc. w 2016 r. Problem w tym, że ankieta stosuje te samy metody badania opinii publicznej co w latach 60. Respondentom pokazuje się 11 stwierdzeń, następnie mają oni określić, czy są „prawdziwe", „raczej prawdziwe", „fałszywe" lub „raczej fałszywe". Odpowiedzi „raczej prawdziwe" uznaje się za dowód na uprzedzenia antysemickie. Twierdzenia te to np. „Żydzi są bardziej lojalni wobec Izraela niż kraju/krajów, w których żyją", „Żydzi mają za dużo władzy w świecie biznesu", „Żydzi mają zbyt dużą kontrolę nad rządem Stanów Zjednoczonych" itd. Eee! Jak tak się bawimy, to większość zostanie antysemitami. ADL, widać wyraźnie, w swoich badaniach kompletnie lekceważy zasadę głoszoną niegdyś przez pewnego rabina: „Antysemitą jest ten, który nie lubi Żydów więcej, niż powinien".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05b6a45e9a

Uliczna galeria Mitoraja

Marta Kaczyńska-Zielińska

W chłodne styczniowe popołudnie, spacerując malowniczymi uliczkami mediolańskiej artystycznej dzielnicy Brera, dotarłam na niewielki plac otoczony gwarną ulicą przecinaną co kilka minut rytmicznym dźwiękiem toczącego się po szynach tramwaju, kamienicę z ascetyczną wystawą modnego sklepu odzieżowego, niewielką restaurację po prawej stronie i dominujący harmonią swojej architektury kościół Santa Maria del Carmine.

Moją uwagę zwróciła sporych rozmiarów rzeźba posadowiona z wyczuciem, odrobinę z boku, tak by zapewne nie znajdować się w centralnej osi widokowej i nie przysłaniać zanadto perspektywy wejścia do świątyni. Charakterystyczna forma fragmentu torsu i twarzy z głową kobiety w kwadracie wyciętym w miejscu serca i subtelnie oddanym kształtem żeńskiej klatki piersiowej poniżej wydała się od razu właściwa dla Igora Mitoraja – słusznie. To postawiona w 1986 r. „Petto a metà". Artysta pozostawił po sobie mnóstwo prac na całym świecie, a Włochy, gdzie osiadł, są miejscem, w którym można podziwiać najwięcej z nich.

Polski rzeźbiarz przyszedł na świat 26 marca w 1944 r. w Oederan, pod Dreznem. Był dzieckiem Polki wywiezionej do Niemiec na przymusowe roboty i francuskiego legionisty. Dorastał w niewielkiej miejscowości pod Oświęcimiem. Matka podobno chciała, by jak najszybciej nauczył się zawodu, skończył technikum, ale młody Jerzy wybrał liceum plastyczne w Bielsku-Białej. Był studentem Tadeusza Kantora na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W 1968 r. wyjechał do Paryża, by kontynuować edukację w École des Beaux-Arts. Swoją karierę zaczął od wystawienia kilku niewielkich rzeźb w brązie w galerii La Hune. Zainteresowanie jego twórczością sprawiło, że przedstawiał swoje prace w Berlinie, Hamburgu, Hadze i Genewie. W drugiej połowie lat 70. zaproponowano twórcy przygotowanie wystawy dla galerii ArtCurial w Paryżu. Rzeźby zostały zrobione we włoskim centrum artystycznych odlewni w brązie i kamieniarzy w niewielkiej portowej miejscowości Pietrasanta, w której artysta odnalazł swój dom. W 1984 r. odbyła się pierwsza wystawa polskiego twórcy w Rzymie. Dwa lata później wziął udział w Biennale Weneckim, a kiedy w Polsce upadał komunizm, rzeźby Mitoraja oglądano w Nowym Jorku.

Przez ostatnie 40 lat twórczość Polaka wrosła w tkankę takich miast jak m.in. Lozanna, Scheveningen nieopodal Hagi czy Londyn, gdzie dzieło Mitoraja można zobaczyć na placu przed British Museum. W Santa Cruz de Tenerife spogląda na przechodniów „Per Adriane", a na japońskiej Hokkaido znajduje się „Światło Księżyca". W nowoczesnej paryskiej dzielnicy La Défense zdaje się spoglądać w dal i w przyszłość „Tindar". W Muzeach Watykańskich znajdują się figury Maryi i Archanioła Gabriela, które Mitoraj wykonał na wystawę z okazji 25-lecia pontyfikatu Jana Pawła II. Ciężkie, masywne wrota do kościoła Matki Bożej Łaskawej na warszawskiej Starówce zachwycają swoim metafizycznym przesłaniem, a „Ikaro Alto" przed Centrum Olimpijskim nadaje charakter miejscu. W poznańskim Starym Browarze stoi „Tors nad jeziorem". Najbardziej znana jest jednak krytykowana przez wielu ogromnej wielkości rzeźba „Eros bendato" na Rynku w Krakowie, która przez lata stała się jednym z ważnych punktów na turystycznej mapie miasta.

Artysta miał ok. 120 wystaw na świecie. Igor Mitoraj zmarł 9 października 2014 r. w Paryżu. „Nie myślałem o karierze. Było to obce mojemu myśleniu i tak jest do dzisiaj. To, czym się zajmuję, nie jest ani zawodem, ani pracą, to jest moje życie – codzienne, pochłaniające mnie na tysiąc procent. To jest jakby samotność długodystansowca" – mówił. Prace Mitoraja w sposób widoczny czerpią z klasycznych starożytnych wzorców, ale pozostają współczesne w formie. Zdaje się, że każda zawiera w sobie inne poetyckie przesłanie, które każdy z nas może dowolnie zinterpretować. „Ciało ludzkie jest tak piękne i doskonałe, że trzeba je pokazywać", a „sztuka jest i artysta nie powinien dawać przepisu na jej oglądanie. Ona musi się bronić sama" – mówił rzeźbiarz.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 21 stycznia 2020 r. zmarł w Legionowie

ŚP

PŁK KAZIMIERZ SZYDŁO

PS. „MŁODZIK"

urodzony 26 marca 1924 r. w Sierpcu.
Od lipca 1941 r. żołnierz Związku Walki Zbrojnej,
a następnie Armii Krajowej w Obwodzie Radzymin.
W maju 1943 r. ukończył kurs podchorążych.
Podczas Akcji „Burza" walczył w składzie
Oddziału Partyzanckiego „Sępa".

Od sierpnia 1944 do kwietnia 1945 r. pozostawał w niemieckiej niewoli.
Od grudnia 1945 do października 1946 r. dowódca
sekcji dywersyjnej w Obwodzie „Mewa" Ruchu Oporu Armii Krajowej.

W marcu 1950 r. aresztowany przez Informację Wojskową,
następnie skazany na karę śmierci złagodzoną do 15 lat pozbawienia wolności.
Wyrok odbywał w Rawiczu, Sieradzu, Wronkach i Strzelcach Opolskich.
W lutym 1960 r. zwolniony na mocy amnestii.

Wybitnie zasłużony w dziele upamiętnienia etosu Armii Krajowej.

Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski
oraz innymi odznaczeniami.
Honorowy Obywatel Radzymina.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

60/0120/F

eprasa.pl 05b6a45e9a

Walizka Magdaleny Ogórek

historyka, dziennikarki

Podróżuję, odkąd pamiętam. Z powodów zawodowych, z ciekawości. Wciąż towarzyszy mi poczucie, że na świecie jest jeszcze mnóstwo miejsc do zobaczenia, zagadek do rozwiązania, tajemnic do odkrycia.

Bywa też, że wsiadam do samolotu tylko dlatego, by pobyć sobie z obrazami Egona Schielego w Leopold Museum w Wiedniu, bo taką mam wewnętrzną potrzebę.

Zresztą sztuka stanowi jeden z głównych determinantów mojego życia i wpływa na wiele spraw. Informacje o wyjątkowych wystawach natychmiast mobilizują mnie do organizacji podróży. Częste wyjazdy wytrenowały mnie w pakowaniu – zawsze podróżuję tylko z bagażem podręcznym. To oszczędza czas na lotnisku i zapewnia wygodę przemieszczania.

W ostatnich latach bardzo często latałam do Rzymu, do Tajnych Archiwów Watykańskich – od tamtego czasu potrafię spakować się w bagaż podręczny nawet na tygodniowy wyjazd.

KSIĄŻKI

Zawsze mam ze sobą jedną lub dwie książki, które akurat czytam – lektura jest nieodłączną częścią mojego dnia.

LISTY OD WIDZÓW

Czas w samolocie czy pociągu wykorzystuję na czytanie korespondencji, a ta przychodząca na adres TVP jest zawsze bardzo obfita.

BLUZKI, SPODNIE

4–5 bluzek, dwie pary jeansów, 1 sweter to zestaw „must have".

KOSMETYCZKA

Dwie lub trzy małe kosmetyczki – mam w nich płyny do kąpieli i inne kosmetyki w małych pojemnościach, by łatwo było wyjąć je do kontroli. Nie jest tego wiele, bo poza telewizją w ogóle się nie maluję.

eprasa.pl 05b6a45e9a

BUTY
Dodatkowa para butów (poza tymi, co na stopach).

HERBATA
W szklanym małym pojemniku zawsze wożę z sobą liście specjalnej herbaty – odkryłam ją podczas jednej z wypraw. Ponoć zapewnia długowieczność, a ja mam jeszcze kilka spraw w życiu do zrobienia.

SZPILKI
Stanowią komplet z sukienką, na wieczorowe wychodne jak znalazł.

KARTECZKA OD CÓRKI
Jeśli lecę sama, to w 100% po otwarciu walizki znajdę jakiś liścik od mojego dziecka. To już taki rytuał – od małego wkładała mi niepostrzeżenie kartki do walizki. Na co dzień wkłada mi podobne do torebki – przed wyjściem do pracy. Są na nich sformułowania i neologizmy, które rozumiemy tylko my – takie określenia, które są naszym kodem.

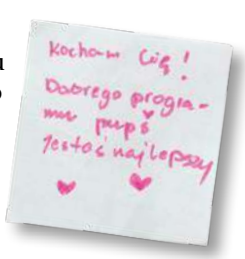

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Z Auschwitz do PZPR. Jak to możliwe?

Dominik Zdort

Oglądanie obchodów rocznicy wyzwolenia Auschwitz było poruszające. Szczególnie wspomnienia ocalonych wciskały łzy z oczu. Wtedy, gdy opowiadali o solidarności i człowieczeństwie, i wtedy, gdy wspominali bezduszność i okrucieństwo.

Ocalonym należy się nasza ogromna solidarność i bezbrzeżna wdzięczność za przypominanie, czym jest dobro i zło w sytuacjach ostatecznych. Rzecz jasna nie mogą pełnić funkcji autorytetów, bo ich tragedia i ich ocalenie nie były ani ich winą, ani zasługą. Ale potrafili przetrwać i dzięki temu mogą dziś o tym opowiedzieć. Nie wypada nam mówić o ich heroizmie, bo w Auschwitz miejsca na heroizm nie było. Może w tak ekstremalnych przypadkach jak historia ojca Maksymiliana Marii Kolbego, ale to ewenement. Ci, którzy przeżyli, to nie herosi, ale bardzo ważni świadkowie brzydkich meandrów naszej cywilizacji. Świadkowie jej upadku.

Dlatego cenniejsze były ich wspomnienia i opowieści niż pouczenia dotyczące współczesności. Jako świadkowie byli wiarygodni, jako besserwisserzy – niekoniecznie.

Nie będę tu wymieniał nazwisk. Szanować trzeba każdego ocalonego, niezależnie od tego, czy w obozie spędził wiele lat, czy tylko parę ostatnich miesięcy.

Ale są pytania, które same się cisną na usta. Straszne, dramatyczne. Bo pewne rzeczy trudno dziś zrozumieć.

Jak to możliwe, że młody człowiek tuż po doświadczeniu obozu koncentracyjnego wstępuje do stalinowskiej PPR, potem do PZPR, staje się komunistycznym propagandystą? Nie pyta o Katyń, nie myśli o równie strasznych jak kacety syberyjskich łagrach, gdzie zesłano jego rówieśników (i nie przekonujcie mnie, że nic nie wiedział)? Dlaczego pogarda nazistów dla podludzi nie odstręczyła go od takiej samej pogardy bolszewików?

Tadeusz Borowski tego napięcia między nienawiścią wobec jednego a ślepą lojalnością wobec drugiego totalitaryzmu nie wytrzymał. Zabił się.

Nie oczekuję takiej postawy od nikogo. Ale jak to możliwe, że więzień Auschwitz w totalitarnej Polsce stalinowskiej, gomułkowskiej, gierkowskiej robił błyskotliwą medialną karierę. Utrwalał podstawy ustroju, wspierał stan wojenny.

A kiedy komuna upadła, sprytnie się podczepił pod nową modę – przypomniał sobie swoje żydowskie korzenie. I dziś, z wysokości oświęcimskiego autorytetu (rzecz jasna, nie wspominając o swoim udziale w budowaniu komunizmu), poucza, na czym polega demokracja. Ech.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 05b6a45e9a

RZECZY POSPOLITE

Ustawka 112

Tomasz Łysiak

Ze zdumieniem obserwuję kolejne obrazki z Republiki Francuskiej. Tym razem policja tłucze nie „żółte kamizelki", tylko strażaków, a strażacy tłuką się z policją. Obrazki są ciekawe, bo obie strony używają sprzętu profesjonalnego, więc całkiem zaskakująco wygląda, jak jeden pan w kasku wali pałą drugiego w kasku. Polewanie wodą z armatek wodnych straży pożarnej chyba nie jest zbyt skuteczne, tak myślę, bo przecież co jak co, ale ze strumieniem wody strażacy są zaznajomieni.

Wszystko dzieje się niejako na oczach Brukseli – ta jednak woli się zajmować Polską i próbuje wymuszać na nas zachowania niewolnicze. Jakbyśmy byli kolonią. Być może jakiś podział jednak w Unii jest – na państwa kolonialne (Francja, Belgia, Holandia czy Niemcy) i kolonie, jak Polska i Węgry?

Tak czy siak w scenach wojennych z ulic paryskich widać jak na dłoni, czym się stała Francja i jak bardzo się zdegenerowała na drodze do coraz większego „zasobu demokracji".

Bójki strażaków i policjantów chwilami przypominają rysunki ze słynnego komiksu, którego bohaterowie Asterix i Obelix wraz z kumplami z galijskiej wioski tłukli Rzymian, a czasem tłukli się między sobą.

Proponuję pewną innowację – jeśli biją się francuscy policjanci i strażacy, to czemuż nie rozszerzyć pola działania imprezy? I nie nazwać jej Wielką Francuską Ustawką 112? Numer alarmowy 112 zbiera przecież zgłoszenia do każdej ze służb. Wniosek jest jeden – by był komplet, brakuje pogotowia ratunkowego i lekarzy. Teraz bym na gliny i strażaków napuścił pielęgniarzy i medyków. Ustawka 112 byłaby pełniejsza i bardziej emocjonująca. Wyobraźmy sobie. Z bocznej ulicy wypada konwój karetek. Karetki znienacka uderzają na radiowozy. Pielęgniarze podbiegają do policjantów z aparatami do defibrylacji i traktują ich prądem. Wtedy policja wyprowadza atak na pielęgniarzy – drogówka wrzuca gaz łzawiący do karetek (co zdejmuje robotę z anestezjologów). Od strony Luwru nadciąga batalion straży pożarnej. Polewa wszystko pianą z gaśnicy. Bije się każdy z każdym. Służba ze służbą. I nagle... wchodzi on. Macron. Cały na biało. Tłum śpiewa „Marsyliankę".

Budki dwie

Piotr Cywiński

Co by my, Polaki, zrobili bez „Faktu"! Ten polskojęzyczny tabloid, de domo Ringier Axel Springer, jest jak polski zegarek Błonie – najszybszy na świecie, jak polskie żyletki Polsilver, gwarantujące użytkownikom zwolnienie lekarskie...

„Poznali się przed laty w Zabrzu. Ona była dziennikarką, on radnym. Ale nie od razu zaiskrzyło..." – zaczyna „Fakt" swą story jak w harlequinie. W końcu dała się przekonać i powiedziała „tak". Znaczy, ona jemu i teraz „Faktowi" też. Ciężko pracował na swój sukces, znaczy, on, jej mąż – prawie go nie było w domu, ale to już przećwiczyli, gdy był ministrem. Lubi się bawić z córką, więc jeżdżą z nim „na spotkania z wyborcami w odległych końcach Polski". Nieustannie szlifuje swój warsztat. Że wystąpił w marynarce, krótkich spodenkach i japonkach? Ma dystans, a „współczesna polityka nie jest tak sztywna". A co, gdyby za kilka lat „uciekł do Brukseli jak Donald Tusk"? Nie miałaby nic przeciw, „by jego ścieżka wyglądała podobnie, Tusk osiągnął w polityce tak dużo, że powinien to być nasz, polski powód do dumy".

On, jej mąż, ma podobne cechy. A czy wyobraża sobie moment, że przyjdzie do domu i powie: chcę wystartować w wyborach prezydenckich? To byłoby trudne, ona ceni sobie niezależność, skoro jednak on sam podejmuje decyzje..., tylko włos jej się jeży, że miałaby się poruszać w kordonie ochrony. Ale oboje lubią podróże. „Ostatnio odbyliśmy romantyczny wyjazd do... Legnicy. Nie jeździmy na Bahamy. Stamtąd wciąż nie da się szybko wrócić, w razie takiej potrzeby, do Warszawy. A polityka, szczególnie teraz, ma swoje wymagania", podsumowała. Więc gdyby jej mąż został prezydentem... – a co mu brakuje? Nic. Nie myje okien, nie majsterkuje ani nie podlewa kwiatków, podobnie z gotowaniem, nie umie opowiadać dowcipów. Co to za wady? Wadki jedynie, które dodają mu uroku. „Zdarza się też, że słychać u niego śląski akcent. Gwara nie jest czymś złym, ale język debaty publicznej ma swoje prawa. Córkę również uczulam, by dbała o to, jak mówi, w zależności od tego, do kogo mówi", mówi ona, żona.

Że ani słowa o skandalu w gliwickiej PO, gdy on, jej mąż, zrobił czystkę na liście wyborczej i wsadził ją, żonę, przez co w proteście rzuciło legitymacje partyjne kilku ludzi z lokalnej wierchuszki? Kochają się, to ją wsadził. Widać na zdjęciach w „Fakcie", jak się kochają: Budka jedna, Budki dwie, a nawet trzy: z dzieckiem za rączki na spacerku, i na tle choinki, i kwestujący, i on, Borys, w sejmowej ławie, i ona, Katarzyna, może przyszła pierwsza dama Rzeczypospolitej, a kuku, zza drzwi...

eprasa.pl 05b6a45e9a

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x3, LESZEK KOTARBA/EAST NEWS, ADAM JANKOWSKI/REPORTER, TOMASZ RADZIK/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Jak ocenia Pani/Pan obecny stosunek prezydenta Rosji Władimira Putina do Polski?

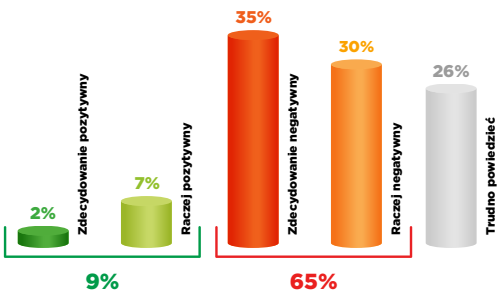

Czy według Pani/Pana Polska powinna utrzymywać ścisły sojusz ze Stanami Zjednoczonymi?

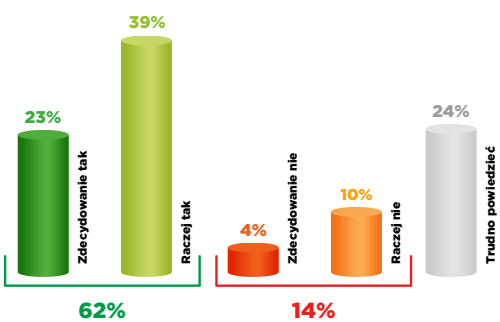

Czy według Pani/Pana media w Polsce powinny zajmować się sprawą zarzutów korupcyjnych wobec Tomasza Grodzkiego?

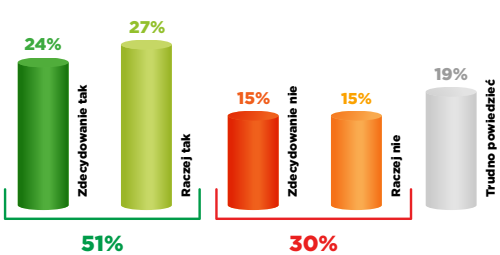

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1054.

Zakres czasowy badania 17 do 21 stycznia 2020 r.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Znów się nas boją

Od początku kadencji szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego nie udzielił żadnego wywiadu. Tylko tygodnikowi „Sieci" opowiada o pieniądzach, które wyprowadzono z CBA, o swoim zażenowaniu postawą „agenta Tomka", o kulisach operacji ws. „willi Kwaśniewskich", a także o tym, co różni dzisiejsze CBA od tego za czasów Pawła Wojtunika

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05

Z Ernestem Bejdą rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

Podał się pan do dymisji?

Ernest Bejda: To jeden z wielu fejków, jaki pojawił się w ostatnim czasie na temat CBA i na mój temat. Moja kadencja upływa 18 lutego. Od decyzji premiera i ministra koordynatora będzie zależało, czy moja misja zostanie przedłużona. Nie jestem do mojej funkcji przyspawany, choć bycie szefem CBA jest dla mnie wielkim honorem.

To chyba niezbyt komfortowe poczucie, że pana przyszłość nie zależy od pana?

Każdy, kto wykonuje zadania publiczne, musi się liczyć z sytuacją, że jego misja kiedyś się skończy. To oczywiste i wpisane w ryzyko takiego stanowiska. Ustawa o CBA stanowi, że szefem CBA nie można być dłużej niż dwie kadencje, czyli osiem lat.

Dopytujemy o pana przyszłość w CBA po skandalu z utraconymi pieniędzmi z funduszu operacyjnego i żądaniach pańskiej dymisji artykułowanych przez opozycję.

Są setki spraw, którymi CBA może się chwalić. Ta sprawa, o którą panowie pytacie, do takich nie należy. Niemniej jednak nie przypominam sobie, by osoby, które dziś żądają mojej dymisji, występowały o dymisję generała Huni z funkcji szefa Agencji Wywiadu, kiedy w 2012 r. ujawniono kradzież milionów z funduszu operacyjnego. Agencja utraciła te pieniądze bezpowrotnie.

To zacznijmy od faktów. Ile pieniędzy straciliście?

Żadne środki, które były w dyspozycji CBA, nie zostały utracone. Rzeczywiście jednak dzięki własnym procedurom CBA wykryło nieprawidłowości w działaniu osoby zatrudnionej w Biurze, w jednostce odpowiedzialnej za finanse. Ta kobieta

eprasa.pl 05b6a45e9a

to długoletni pracownik. Jako kasjerka pracowała nieprzerwanie od 2011 r. Gdy tylko wyszło na jaw, że Biuro stało się ofiarą przestępstwa finansowego, natychmiast ujęliśmy sprawców, naszą byłą już pracownicę i jej męża. Trafili do aresztu. Nie straciliśmy nic, bo nasze bardzo szybkie działanie wraz z prokuraturą umożliwiło zabezpieczenie środków.

To prawda, że odzyskaliście więcej, niż wyniosła strata?

Tak, bo faktem jest jednak, że CBA nie jest jedyną pokrzywdzoną instytucją. Osoba, która dopuściła się malwersacji, cieszyła się zaufaniem nie tylko w ostatnich latach, lecz i za czasów Pawła Wojtunika. Dziś trwa szczegółowy audyt każdej operacji kasowej od 2011 r. Nie mogę mówić o szczegółach tej sprawy.

Jak odkryliście manko?

Dzięki zmianie procedur zarządzania finansami. Te, które dotychczas obowiązywały, odziedziczyliśmy jeszcze po moim poprzedniku. Zmiana pozwoliła na wykrycie przestępczych działań. Wygląda na to, że mieliśmy do czynienia z bardzo sprytnym oszustwem. Nie mogę w tej chwili podać więcej szczegółów. Dodam, że odwołani zostali dyrektor i naczelnik w biurze finansów. Trwają postępowania wyjaśniające. Śledztwo jest w toku.

Zatrzymana przez was pracownica była doświadczona i zaufana, procedury kontroli są stosowane, a jednak pieniądze zniknęły.

Na końcu wszystkich procedur zawsze są ludzie. Zmienione ostatnio procedury kontrolne pozwoliły zidentyfikować przestępcze działania.

Drugi kłopot w ostatnim czasie to Tomasz Kaczmarek, znany szerzej jako „agent Tomek". Dziś to pewnie wasze rozczarowanie.

Jesteśmy w stanie wziąć odpowiedzialność za to, co Tomasz Kaczmarek robił w CBA jako funkcjonariusz. Ale wszystko, co robił po zakończeniu służby, robił na własną odpowiedzialność. Myślę, że on się zdemoralizował. Jego żona w połowie ubiegłego roku otrzymała poważne zarzuty wyłudzania pieniędzy na prowadzenie domów opieki. Chodzi o ponad 30 mln zł dla stowarzyszenia Helper, które miały być przeznaczone na opiekę nad ludźmi starszymi, zniedołężniałymi. Pod koniec roku te same zarzuty postawiono również Tomaszowi Kaczmarkowi, m.in. udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i prania brudnych pieniędzy, więc to są sprawy naprawdę poważne, za które grozi kara do 10 lat więzienia. Jestem przekonany, że to, co on robi teraz, to wynik tych zarzutów. Uważam, że Tomasz Kaczmarek wyobrażał sobie, że znajomość z nami pozwoli na uniknięcie odpowiedzialności za popełnione czyny. My nie działamy w ten sposób, że bronimy kogoś, kto popełnia przestępstwa dlatego, że jest byłym funkcjonariuszem CBA. W listopadzie 2019 r. prokuratura postawiła Kaczmarkowi zarzuty, w grudniu przypomniał sobie, że był namawiany do podkręcania notatek w 2009 r., a w styczniu 2020 r. wystąpił w programie w TVN, atakując swoich przełożonych z CBA. Koincydencja zdarzeń nie jest przypadkowa. Był rozczarowany brakiem parasola ochronnego.

> Z materiału CBA wynika, że nieruchomość w Kazimierzu Dolnym była w faktycznym posiadaniu i zarządzaniu Aleksandra i Jolanty Kwaśniewskich – jest na to wiele dowodów w dokumentach. Zostały one już odtajnione, teraz występujemy o zgodę Prokuratora Generalnego, by je upublicznić

Wymagał tego od was?

Zadzwonił do mnie parę miesięcy temu, po postawieniu zarzutów jego żonie. Był bardzo wzburzony, to właściwie nie była rozmowa, tylko wygłoszenie emocjonalnego monologu. Rzucił, że za to, co mu się stało, teraz zniszczy Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Później był jeszcze jeden kontakt, przysłał mi esemesa, że właśnie jedzie do Katowic składać zeznania, co w kontekście poprzednich słów zabrzmiało w zasadzie jak szantaż. Oprócz tego, że to, co on robi, jest podłe i nieuczciwe, jest też po prostu niewiarygodne. Złożył fałszywe zeznania i musi się liczyć z tym, że prokuratura to w odpowiedni sposób oceni.

Były funkcjonariusz CBA po latach przypomniał sobie, że szefowie służb rzekomo kazali mu kłamać, by oskarżyć Jolantę i Aleksandra Kwaśniewskich o to, że kupili nieruchomość, choć nie mieli na to legalnie zdobytych pieniędzy. To nieprawda?

Sprawa willi Kwaśniewskich zaczęła się w CBA w 2007 r. po publikacjach medialnych. Operacja specjalna, w której uczestniczył Kaczmarek, rozpoczęła się w 2009 r. – już po analizach, kontrolach i wielomiesięcznym gromadzeniu dowodów. W momencie rozpoczynania operacji CBA dysponowało wiedzą o tym, że willa należy do Kwaśniewskich. Operacja, w której uczestniczył Kaczmarek, miała dostarczyć tylko dodatkowych dowodów. Kaczmarek twierdzi, że Kamiński i Wąsik wywierali na niego naciski, by w swoich notatkach i ustaleniach „wytwarzał wrażenie", że willa w Kazimierzu Dolnym należy do byłego prezydenta i jego żony. Te jego notatki i ustalenia nie były jedynymi dowodami w sprawie. Działania Kaczmarka miały wytworzyć sytuacje, które dadzą nowe dowody w tej sprawie, potwierdzające wiedzę udokumentowaną już wcześniej. W tym czasie CBA miało już wiarygodne materiały – nagrania i zeznania, które

eprasa.pl 05b6a45e9a

Fot. Andrzej Wiktor

wskazują jednoznacznie, kto był rzeczywistym właścicielem willi w Kazimierzu. Notatki Kaczmarka nie są i nie miały być tu w żaden sposób rozstrzygające. Z materiału CBA wynika, że ta nieruchomość była w faktycznym posiadaniu i zarządzaniu Aleksandra i Jolanty Kwaśniewskich – jest na to wiele dowodów w dokumentach. Zostały one już odtajnione, teraz występujemy o zgodę Prokuratora Generalnego, by je upublicznić.

To po co była w ogóle operacja specjalna w tej sprawie?

Operacja specjalna CBA polegała na tym, by upozorować chęć zakupu tej nieruchomości i sprawdzić, do kogo faktycznie trafią pieniądze. Ze zgromadzonych przez nas dowodów, które – mam nadzieję – niedługo wszyscy poznamy, niezbicie wynika, że pieniądze ze sprzedaży willi w Kazimierzu miały trafić do Jolanty Kwaśniewskiej. Prezes Budimexu, który w dokumentach istniał jako właściciel nieruchomości, był jedynie słupem. Myślę, że niebawem opinia publiczna będzie miała okazję ocenić tę sprawę. Przypomnę, że ta sprawa zaczęła się od nagranej rozmowy Aleksandra Gudzowatego z Józefem Oleksym, w której były premier mówi, że Kwaśniewscy kupili willę w Kazimierzu w sposób nielegalny, za pieniądze, których pochodzenia nie są w stanie wytłumaczyć. To nagranie powstało bez naszego udziału, nikt Oleksemu niczego nie sugerował, sam z siebie opowiedział tę historię swojemu przyjacielowi. Za ten dom zapłacono ponad 800 tys. dol. Oleksy wskazywał, że Kwaśniewski w żaden sposób nie wytłumaczy się, skąd wziął na jego zakup pieniądze. Miał rację.

Ale później publicznie wycofał się z tych słów i za nie przeprosił.

Nie dziwię się, bo zrobiła się afera. Zakładamy jednak, że w takich momentach przyjaciołom mówi się szczerze. Nagranie zostało upublicznione, a wobec jego treści byliśmy, jako służba zajmująca się m.in. ściganiem korupcji, zobowiązani do sprawdzenia tych informacji. Podkreślę, po ujawnieniu taśm Oleksego CBA najpierw przeprowadziło głębokie działania analityczne i kontrolne i dopiero po pozytywnym ich zweryfikowaniu zdecydowało się na operację specjalną.

Ale nie zakończyła się sukcesem. Czy Kaczmarek ma rację, że sprawa była dęta? Dlaczego pani Kwaśniewska nie miała postawionych zarzutów?

Operacja była udana, bo mamy nagrania i zeznania świadków oraz inne dokumenty, które świadczą o tym, co chciano ukryć, a więc, że willa należała w rzeczywistości do Kwaśniewskich. Zeznania złożył np. przyjaciel Jolanty Kwaśniewskiej, do którego trafiły pieniądze i którego ona poprosiła o wymianę ich na euro lub dolary. Zgodę na zakup kontrolowany mieliśmy od prokuratora generalnego Andrzeja Czumy, dowody zostały mu przedłożone po zakończeniu operacji. Poprosił nas o czas na zapoznanie się z nimi, a potem na piśmie poprosił o włączenie ich do śledztwa ws. prania brudnych pieniędzy, które już się toczyło w Katowicach. Nieoczekiwanie prokurator Iwona Palka z katowickiej apelacji zarządziła – wbrew decyzji zwierzchnika – by tych materiałów nie uznawać jako dowód w śledztwie.

A potem zmienił się szef CBA. I co się działo?

I zarządził audyt tej operacji, który wykazał, że wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Mam to na piśmie. Dalej Paweł Wojtunik zachował się usłużnie, zlecając działania, które były potrzebne prokuraturze do ostatecznej eliminacji tego materiału z postępowania, jako dowodów zdobytych nielegalnie. Zaczęło się wieloletnie śledztwo, które w finale miało doprowadzić do postawienia zarzutów Mariuszowi Kamińskiemu. Jestem pewien, że składał w nim zeznania m.in. Tomasz Kaczmarek. To było już po moim, Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika odejściu z CBA. Kaczmarek zeznawał w sytuacji, gdy nie mieliśmy na niego żadnego wpływu. Bardzo bym chciał, by opinia publiczna mogła poznać treść tych zeznań.

Ale na uchylenie Mariuszowi Kamińskiemu immunitetu nie zgodził się Sejm po utajnionym posiedzeniu.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Przekonał wielu posłów ówczesnej władzy. W Sejmie zdominowanym przez PO, PSL i SLD. Nie uchylono immunitetu Mariuszowi Kamińskiemu. Nie upolowali go.

Jak dobrze znał pan Tomasza Kaczmarka? Opinia publiczna zobaczyła jego wspólne zdjęcia z imprez z Mariuszem Kamińskim i Maciejem Wąsikiem. Pan też się z nim bawił?

Znałem go tak, jak wielu funkcjonariuszy. Zdjęcia, którymi dysponują media, pochodzą z 2010 r. z pożegnania funkcjonariusza, który przechodził na emeryturę, kiedy my, dawne kierownictwo, byliśmy już poza służbą. Kiedy kierowaliśmy CBA, spotykaliśmy się z funkcjonariuszami przy stole tylko w przypadkach oficjalnych spotkań przedświątecznych.

Były momenty, że „agent Tomek" to była właściwie twarz CBA. Najlepszy, najskuteczniejszy, najsłynniejszy, polski James Bond, uwodziciel. Jakim był agentem?

To raczej media tak go kreowały. A jemu to nie przeszkadzało, pewnie mu się to nawet podobało. Zwracaliśmy mu uwagę, by po odejściu ze służby swojego wizerunku jednak nie ujawniał. Nie posłuchał, co pewnie mówi nam coś o jego charakterze. Miał oczywiście zdolności, które pomagały mu w pracy pod przykryciem. Umiał nawiązywać kontakty i skracać dystans w różnych sytuacjach. Przyzwyczaił się do odgrywania różnych ról i zatracił się w tym. Jak widać było w programie TVN, odgrywanie różnych ról nadal nie jest mu obce.

W międzyczasie został jeszcze posłem Prawa i Sprawiedliwości. Ktoś go wpuścił na listę wyborczą. Czy to oznacza, że jego czar zadziałał także na polityków?

Mogę powiedzieć tyle: w wyborach nie miał osobistej rekomendacji Mariusza Kamińskiego.

A co by pan powiedział o Tomaszu Kaczmarku jako człowieku?

Jestem nim zażenowany i zniesmaczony. Widocznie uznał, że atak na swoich szefów w dzisiejszych warunkach medialno-politycznych poprawi jego procesową sytuację.

Każde potknięcie powoduje, że wraca jak refren postulat likwidacji CBA. Jak pan to odbiera?

Jestem pewien, że w medialnych manipulacjach i atakach politycznych właśnie o to chodzi, żeby cofnąć nas do głębokiego kryzysu państwowego sprzed afery Rywina. Tymczasem ostatnie lata naszej pracy pokazują, że rozwijamy się i doskonalimy, nie tylko w zakresie zwalczania korupcji, lecz także przestępstw finansowych, gospodarczych, prania pieniędzy i wielkich oszustw podatkowych. Mamy unikatowych specjalistów, żadna inna służba nie dysponuje takim zespołem praktyków. Ponadto w dwóch ostatnich latach wysokość realnie zabezpieczonego mienia przez CBA wyniosła ponad 800 mln zł, czyli więcej niż budżet Biura w ostatnich czterech latach. W 2015 r., w ostatnim roku mojego poprzednika w CBA, kwota zabezpieczonego mienia wynosiła ledwie 17,5 mln zł!

> Gdy tylko wyszło na jaw, że biuro stało się ofiarą przestępstwa finansowego, natychmiast ujęliśmy sprawców, naszą byłą już pracownicę i jej męża. Trafili do aresztu. Nie straciliśmy nic, bo nasze bardzo szybkie działanie wraz z prokuraturą umożliwiło zabezpieczenie środków

Chce pan powiedzieć, że zarabiacie sami na siebie z potężną górką?

Pokazuję tylko na liczbach, w najprostszy sposób, do czego CBA jest Polsce potrzebne. W ostatnim roku zidentyfikowaliśmy uszczuplenia lub próby uszczupleń podatkowych na sumę prawie 6 mld zł! W znacznej części udało nam się zapobiec wypłynięciu tych środków z kasy państwa. Tylko w jednej sprawie – grupy przestępczej zajmującej się wyłudzeniami VAT – ujawniliśmy spółkę pozornie sprzedającą telefony komórkowe, aby wygenerować VAT do zwrotu. Mowa nawet o kilkuset milionach złotych! Firma z naliczonym dużym podatkiem została sprzedana kolejnej spółce, a tamta miała być już podstawiona innej spółce handlującej paliwami.

Krótko mówiąc, likwidacja CBA byłaby szkodliwa dla państwa?

Oznaczałaby, że państwo znów traciłoby ogromne pieniądze, a dodatkowo cofnęlibyśmy się do czasów, w których ludziom na świeczniku, ludziom wpływowym wszystko wolno.

To dlaczego część polityków tak mocno domaga się zamknięcia Biura?

CBA jest projektem określonego środowiska, a zwłaszcza Mariusza Kamińskiego i jego współpracowników. To, że CBA odnosi sukcesy, boli opozycję. Zlikwidowaliśmy kilkadziesiąt grup wyłudzających VAT na ogromną skalę (oczywiście nie tylko my, lecz również policja, ABW, organa skarbowe itd.). Podam przykład jednej z nich. Miała roczne przychody rzędu 1,5 mld zł. W ciągu jednego roku wyłudziła ponad 300 mln zł VAT. Wśród osób zarządzających tą grupą były m.in. ważne postacie ze spółek skarbu państwa, np. jeden z byłych wiceprezesów Enei.

Jaki to ma związek z politycznymi postulatami likwidacji CBA?

Takie grupy nie działają w próżni. Jest niemożliwością funkcjonowanie przestępczego procederu na tak dużą skalę bez

eprasa.pl 05b6a45e9a

wsparcia ze strony urzędników różnego szczebla, ale też kierownictw resortów. Wiemy, że mieli takie kontakty. Mało tego, dla tej grupy pracowali ludzie wysoko postawieni w służbach, w tym byli szefowie tych służb.

O kim pan mówi?

Chodzi o osoby z byłych szczytów władzy w UOP, policji, BOR – trwają w tych sprawach śledztwa. Ale to nie była jedyna mafia. Jest niemożliwością, by rząd nie wiedział, w jaki sposób te grupy vatowskie funkcjonują, bo było to widać w wynikach budżetu – przez lata obroty rosły, a wpływy z podatków malały. Organizacje handlujące paliwami skarżyły się, firmy audytowe ogłaszały „czerwone alerty". Tych sygnałów było mnóstwo. To nie jest tylko kwestia ich ignorowania, ale funkcjonowania w pewnej symbiozie z tymi grupami. To ma korupcyjne podłoże. Mówię o całej sferze biznesu z udziałem skarbu państwa – kontraktach, inwestycjach strukturalnych, nie tylko infrastrukturze drogowej czy kolejowej. Czy w czasie rządów poprzedniej ekipy mieliśmy aktywność służb w tym obszarze, może poza infoaferą? Rozpracowywanie tej ostatniej zaczęliśmy w czasie naszego kierownictwa w 2009 r., a po naszym odejściu kontynuowano ją nieudolnie – ostatecznie zarzuty usłyszał tylko jeden z dyrektorów, nie sięgnięto po nikogo z góry. Gdzie było CBA w jakiejkolwiek dużej sprawie gospodarczej, przy inwestycjach np. na Euro 2012, gdy padały firmy i mieliśmy do czynienia z wielkimi transferami pieniędzy?

Afera Amber Gold też jest takim przykładem?

Oczywiście. CBA nie podjęło żadnych działań w tej sprawie, a ABW? Zdołała zatrzymać tylko dwie osoby ze szczytu piramidy, które były prawdopodobnie tylko słupami. Porównajmy to ze sprawą GetBacku: CBA zatrzymało nie płotki, ale czterech członków zarządu spółki, prezesów i członków zarządów funduszy inwestycyjnych, które współpracowały z GetBackiem, członków zarządów i dyrektorów banków oraz specjalistów, którzy uczestniczyli w emisji toksycznych papierów wartościowych – w sumie 61 osób. A dodatkowo zabezpieczyliśmy ponad 350 mln zł, które trafią do pokrzywdzonych. Tak wygląda różnica w podejściu i działaniach.

Chce pan powiedzieć, że CBA Pawła Wojtunika w ogóle nie zajmowało się tym, do czego zostało powołane?

CBA za czasów Pawła Wojtunika działało bardzo zachowawczo, unikało wręcz spraw, które mogły zaszkodzić władzy, a dodatkowo wywołać rezonans w postaci medialnych ataków. Biuro w jego czasach było niczym w letargu, i to nawet w tych obszarach, od których Paweł Wojtunik jest – podobno – specjalistą. W policji był przykrywkowcem, specjalizował się w operacjach specjalnych. A wiecie panowie, ile w 2015 r. złożono wniosków do prokuratury o operacje kontrolowanego wręczenia korzyści? Sześć! W 2018 – 56, a w 2019 – 43. Na koniec 2015 r. było 29 aresztowanych, w 2018 – 145, w 2019 – 144. Przez te cztery lata prowadziliśmy blisko tysiąc śledztw. 2599 podejrzanych usłyszało zarzuty. Oczywiście tu nie o ilość, ale jakość działań chodzi. Jako jedyna służba prowadzimy operacje w obszarze wielkich oszustw podatkowych. To dzięki takim działaniom udaje się zlikwidować proceder przestępczy w zarodku, jeszcze zanim powstaną szkody w budżecie. Jest to całkowita zmiana podejścia do zwalczania tego rodzaju przestępczości. To pokazuje, gdzie było i gdzie jest obecnie CBA.

> Przy dużych przekrętach łapiemy już nie tylko płotki, ale przede wszystkim organizatorów i zabezpieczamy ukradzione pieniądze. To jest bardzo istotne, bo pokrzywdzeni, często tracący majątek życia, mają poczucie, że mogą go odzyskać

Aż nie chce nam się wierzyć, że gdy przyszedł tu Paweł Wojtunik, zasiadał na tym fotelu, to zapowiedział swoim podwładnym: dajcie spokój, nie będziemy za bardzo się napinać i za wszelką cenę ścigać tej korupcji.

Były „tematy ciągniki", które nabijały statystyki, np. wyłudzenie renty po zmarłej osobie, kupowanie praw jazdy. Ale to nie są historie dla CBA. Nas jest zbyt mało, by się zajmować takimi rzeczami. Dlaczego wcześniej nie zajęto się aferą reprywatyzacyjną w Warszawie? Dopiero my zatrzymaliśmy kilkadziesiąt osób, ujawniliśmy łapówki w wysokości ponad 40 mln zł, straty miasta szacowane są na kilka miliardów. Okazuje się, że w strukturze administracyjnej prezydenta stolicy jedno z kluczowych biur było skorumpowane. Tego wszystkiego CBA za czasów Wojtunika wolało nie widzieć i nie ruszać. Podobnie jak innych spraw, które ocierały się choćby o politykę. Jawnym tego przykładem jest sprawa byłego już parlamentarzysty Józefa P. CBA za czasów Wojtunika miało gotowy materiał dowodowy, ale dopiero ja podjąłem decyzję o przekazaniu go prokuraturze. Wcześniej takich decyzji unikano. My działamy w oparciu o przepisy prawa i dowody, bez względu na to, czy naszymi działaniami naruszamy jakieś interesy polityczne. W ostatnim tygodniu zatrzymaliśmy kolejne pięć osób, w tym aktualnego pracownika biura z Urzędu m.st. Warszawy – za przyjmowanie korzyści majątkowych.

Gdy przyszedł pan do Biura, badał sprawę działań CBA wobec reprywatyzacji?

Naturalnie. Zapytałem: czy coś robiliście? „Oczywiście". A co wykryto? „No nic". Jedną z naszych pierwszych decyzji

eprasa.pl 05b6a45e9a

było podjęcie sprawy reprywatyzacji, zebranie materiałów i natychmiastowe wszczęcie kontroli. Dziś wszyscy sobie przypisują ojcostwo tego sukcesu – media, ruchy miejskie. Ale to po naszej kontroli podniesiono umorzone śledztwa, zebrano je i przeniesiono do Wrocławia, gdzie zajęli się tym świetni prokuratorzy wraz z funkcjonariuszami CBA.

A co pan zrobił z tymi ludźmi, którym nic nie udało się wykryć?

Trzeba było zmienić kierownictwa tych jednostek.

Wszyscy polecieli?

Na stanowiskach kierowniczych większość.

Często słyszymy, że CBA to flagowa instytucja IV RP, która patrzy na ręce każdej władzy. I z tego waszego patrzenia chyba wychodzi, że dobra zmiana nie wszędzie nastąpiła.

CBA, przypomnę, jest powołane do zwalczania korupcji i stania na straży interesów ekonomicznych państwa. A kto za nie odpowiada? Aktualnie sprawujący władzę. Dlatego mamy takie działania, jak w PGZ, kiedy zatrzymaliśmy członków zarządu i wpływowego dyrektora z MON, gdy mieliśmy do czynienia z przekrętem – podpisaniem fikcyjnych usług na miliony złotych. W ten sposób drenuje się spółki. Nie ma na to zgody, niezależnie o jaką ekipę chodzi. Zatrzymywaliśmy byłych parlamentarzystów związanych z PiS. Zatrzymywaliśmy też byłych prezesów Orlenu, Lotosu, Polic, cały zarząd Enei, ale również ludzi powołanych po zmianie władzy w 2015 r. – postawiliśmy zarzuty prezesowi Lotosu za udział w grupie przestępczej wyłudzającej VAT, mieliśmy bardzo dużą sprawę korupcyjną w jednej ze spółek PGE w Szczecinie, przypadek szefa rady nadzorczej Azotów, dyrektorów z KGHM, członków zarządu PKP. Jak widać, nie oszczędzamy nikogo.

I co pan po takich realizacjach słyszy z obozu rządzącego: „Dzięki, fajnie, że się tym zajęliście"?

Wytyczne mamy jasne: nie ma miejsca na tolerancję dla korupcji ani złodziejstwa i nie ma miejsca dla świętych krów.

Dlaczego utajnił pan raport w sprawie Mariana Banasia?

Tak nakazuje prawo. Raport bazuje na bardzo szczegółowej kontroli majątkowej Mariana Banasia. Takie materiały nie mogą być w szczegółach omawiane publicznie. Ustalenia tego raportu zostały przekazane prokuraturze, a także trafiły do sejmowej speckomisji odpowiedzialnej za kontrolę nad służbami.

Według posłów opozycji CBA musiało się tłumaczyć z kolejnych błędów.

Chcę powiedzieć jedno. W momencie, kiedy pan Banaś zostawał prezesem NIK (sierpień 2019 r.), w CBA nie było jeszcze wiedzy, która posłużyła do sformułowania zawiadomienia o popełnieniu przez niego przestępstwa. CBA czekało jeszcze na wiele materiałów, o które wystąpiło do instytucji finansowych, a które podlegały potem głębokiej analizie. Kluczowe dane w tej kontroli wpłynęły do CBA pod koniec września 2019 r. Dopiero po zakończeniu analizy można było odebrać wyjaśnienia od Mariana Banasia. Nigdy bym się nie zdecydował na złożenie zawiadomienia przed złożeniem wyjaśnień przez osobę kontrolowaną.

> W przestrzeni publicznej pojawiły się podejrzenia i oskarżenia o korupcję ważnej osoby w państwie – marszałka Senatu. Sprawdzenie tych informacji i ich weryfikacja jest obowiązkiem CBA

To coś tu jest nie tak. Od paru miesięcy macie podejrzenia, musicie czekać na informacje z banków, a Banaś w tym czasie trafia na bardzo wysokie stanowisko i jest praktycznie nieusuwalny. Rozumiemy, że nie można było sporządzić oficjalnego raportu, ale czy nie dało się w inny sposób uniknąć jego powołania na szefa NIK?

Działania CBA mogło podjąć, gdy miało pełną wiedzę, zaś procedury kontrolne się wypełniły. Wiedza, którą dysponowaliśmy w chwili wyboru prezesa NIK, nie była wystarczająca, by przesądzić o wątpliwościach wokół aktywów pana Banasia i jego relacjach z różnymi ludźmi. Gdy Biuro miało już pełną wiedzę w tej sprawie, mogliśmy przekazać materiał prokuraturze.

Może jednak jakieś procedury wymagają zmiany? Może np. banki powinny mieć mniej czasu na udzielanie odpowiedzi służbom?

Między innymi dzięki inicjatywie CBA zrealizowaliśmy w pełni najnowszą dyrektywę unijną i wprowadziliśmy w polskim prawie STIR – System Teleinformatyczny Izby Rozliczeniowej. Dziś poprawia to wiedzę służb o przepływach finansowych. Ale aby zajrzeć na konta osoby fizycznej, potrzebujemy zgody sądu.

Jak ważny w ściganiu korupcji jest system Pegasus, pozwalający wręcz przejąć kontrolę nad telefonem bez wiedzy użytkownika?

Nie namówicie mnie na rozmowę na temat form i metod pracy operacyjnej służb, ponieważ byłoby to sprzeczne z prawem. Potwierdzenie lub zdementowanie informacji o konkretnych metodach pracy operacyjnej byłoby nierozsądne, szkodliwe i wbrew przepisom.

Niektórzy zarzucają wam, że wydaliście 25 mln zł na narzędzie, które może być użyte w niecnym celu.

Służby działają na podstawie i w granicach prawa. Kontrola operacyjna jest narzędziem, którego możemy używać, działając w oparciu o przepisy. Musimy napisać wniosek i dobrze

eprasa.pl 05b6a45e9a

go uargumentować. Najpierw rozpatruje go Prokurator Generalny, a później sąd. Sam przebieg kontroli operacyjnej jest raportowany organom wydającym zgodę.

Ile osób odpowiedziało na apel CBA, by zgłosić wam wręczenie łapówki prof. Tomaszowi Grodzkiemu?

W przestrzeni publicznej pojawiły się podejrzenia i oskarżenia o korupcję ważnej osoby w państwie – marszałka Senatu. Sprawdzenie tych informacji i ich weryfikacja jest obowiązkiem CBA. Śledztwo prokuratury, które zostało nam powierzone, wszczęto po ustaleniach dziennikarzy. Rzeczywiście jest odzew na nasz apel. Osób, które składają zeznania, jest coraz więcej. Takie apele stosują inne służby oraz policja właśnie po to, by dotrzeć do nowych świadków w jakiejś sprawie. Samo CBA korzystało z takiej formy kilkadziesiąt razy, to rutynowe działanie. I to nie jest metoda odkryta dzisiaj, tak było od początku działania Biura, także w czasie, gdy kierował nim mój poprzednik. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Nie uważa pan jednak, że akurat w tym przypadku można odnieść wrażenie, że szukacie haka na kogoś, z kim politycznie nie jest wam po drodze?

Apel CBA jest zachęceniem, by ludzie nie bali się mówić prawdy. Aby korzystali z klauzuli niekaralności, jaką przewiduje Kodeks karny. To pan marszałek był łaskaw wystąpić na konferencji prasowej wraz ze swoim pełnomocnikiem i dać do zrozumienia, że każdy, kto będzie twierdził, że wręczył profesorowi Grodzkiemu łapówkę, zostanie oskarżony o pomówienie. Czy to nie jest zastraszanie potencjalnych świadków? My nikogo nie nakłaniamy do pomówień. Każde zgłoszenie jest drobiazgowo sprawdzane, czy zgadzają się podane terminy, czy przypadek jest opisany w dokumentacji medycznej, czy są ewentualnie inni świadkowie. Samo stwierdzenie, że ktoś dał pieniądze, nas nie przekonuje. Nie przyjmujemy tego bezkrytycznie.

Burmistrz Szprotawy żądał 0,5 mln zł przy transakcji kupna nieruchomości należącej do gminy. Na gorącym uczynku został złapany burmistrz warszawskiej dzielnicy Włochy po przyjęciu 200 tys. od dewelopera. Burmistrz Niepołomic z zarzutami za nieprawidłowości w związku z budową szkoły. I wiele innych przykładów. Czy na podstawie aktywności CBA w samorządach można stwierdzić, że to obecnie najbardziej gorący łapówkarski teren?

Na pewno są to miejsca trawione przez regionalne układy dopuszczające się różnych patologii. Problemem jest to, że z poziomu centrali wielu takich rzeczy możemy nie widzieć, a przestrzeń do ich zaistnienia jest znaczna. Regionalni politycy, niewielkie firmy, czasem lokalna policja tworzą małe sitwy, naprawdę trudne do wykrycia i ścigania, dlatego aktywnie działa 12 delegatur CBA, które tropią i ścigają korupcję w regionach. Często o takich sprawach dowiadujemy się od szantażowanych przedsiębiorców, którym grozi się, że nie będą mogli prowadzić swojego biznesu, jeśli nie wejdą w układ z lokalną władzą. To się zazwyczaj wiąże z żądaniem pieniędzy przez polityków. Bardziej dynamiczne wejście w te układy, rozpoznanie ich i rozbrojenie na poziomie gmin, powiatów jest niewątpliwie również wyzwaniem dla CBA na przyszłość.

> Uważam, że Tomasz Kaczmarek wyobrażał sobie, że znajomość z nami pozwoli na uniknięcie odpowiedzialności za popełnione czyny. My nie działamy w ten sposób, że bronimy kogoś, kto popełnia przestępstwa dlatego, że jest byłym funkcjonariuszem CBA

W połowie lutego kończy się pana kadencja na stanowisku szefa CBA. Jakie Biuro pan zastał, a jak widzi je pan dzisiaj?

Zastałem Biuro w totalnym regresie, z zauważalnym upadkiem morale. Ważne sprawy nie były prowadzone albo prowadzono je nieskutecznie. Ludzie odchodzili, bo przestali wierzyć, że ten projekt ma jeszcze sens. Czuli, że nie mamy wpływu na rzeczywistość, bo próby angażowania w istotne zagadnienia były hamowane. Po tych czterech latach mam powody do satysfakcji, bo udało się odzyskać wiarę w sens naszej służby, słyszę to od współpracowników w zasadzie codziennie. Zmienia się Polska, także dzięki naszej pracy. CBA jest dziś jedną z instytucji realnie przyczyniających się do zmiany nastawienia państwa wobec obywateli, które ma być silne wobec silnych i opiekuńcze wobec słabych. Przy dużych przekrętach łapiemy już nie tylko płotki, lecz przede wszystkim organizatorów i zabezpieczamy ukradzione pieniądze. To jest bardzo istotne, bo pokrzywdzeni, często tracący majątek życia, mają poczucie, że mogą go odzyskać.

Czy można mówić o odrodzeniu CBA?

Tak. Znów obawiają się nas ci, którzy mają coś na sumieniu. Za ich bezkarność płacili do tej pory inni. Polacy mogą czuć, że to właśnie dla nich pracujemy. Pokazują to nie tylko dane statystyczne dotyczące choćby spraw gospodarczych, lecz również liczne śledztwa w sprawach ważnych społecznie. W ostateczności przecież za korupcję, nadużycia finansowe, drenowanie majątku płacimy wszyscy. Rachunek za bezczynność CBA byłby dla Polski bardzo wysoki. Nie jesteśmy policją polityczną, jak nas niesłusznie i obraźliwie określają niektórzy politycy opozycji. Jesteśmy blisko tych najsłabszych i ich bronimy. To jest powód do dumy z naszej służby.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Plan Budki

Nowy przewodniczący PO jest dla opozycji i wrogów Polski za granicą „ostatnią nadzieją białych”

STANISŁAW JANECKI

Jest systematyczny niczym przedwojenni urzędnicy miasta Hindenburg – jak w 1915 r. nazwano Zabrze (w 1922 r. podzielone miedzy Polskę i Republikę Weimarską), gdzie był wiceprzewodniczącym, a potem przewodniczącym rady miasta, choć urodził się w Czeladzi, do odzyskania niepodległości będącej w zaborze rosyjskim. Borys Budka tak sobie organizuje codzienne zajęcia, a nawet urlopy, żeby zawsze być w zasięgu i móc szybko przyjechać do Warszawy, gdyby tam czekały na niego jakieś ważne wiadomości, zadania albo stanowiska. Tak przynajmniej charakteryzowała go żona Katarzyna. Systematyczny i bardzo ambitny – jak wtedy gdy w 2009 r. przebiegł maraton poniżej 2 godzin i 40 minut. Albo wtedy gdy chciał być kimś takim jak Donald Tusk i zrobić taką jak on karierę, o czym znowu mówiła żona, gdyż sam Borys Budka woli swoich dalekosiężnych celów i planów nie ujawniać. W 2015 r. na kilka miesięcy został ministrem sprawiedliwości (w rządzie Ewy Kopacz), 25 stycznia br. wygrał wybory na przewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Ale jego ambicje sięgają stanowisk premiera i prezydenta RP. Na razie musi wygrać prezydenturę dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, gdyż bez tego jego plany mogą się okazać niemożliwe do zrealizowania, choć nadal byłyby aktualne.

NIECIERPLIWY I NIEBEZPIECZNY

Borys Budka prezentuje się jako osoba grzeczna, układna, zdyscyplinowana, ale ambicje sprawiają, że czasem mówi więcej, niż powinien. Jakby brakowało mu cierpliwości i chciał przyspieszyć swoją karierę. Ci działacze PO, którzy nie przyjęli z entuzjazmem wygranej Budki w partyjnych wyborach wynikiem prawie 78 proc. głosów, a obserwują go od lat, uważają, że przejawia cechy charakterystyczne dla socjopaty. Ktoś taki bardzo się stara grać osobę bez skazy, gotową się poświęcić dla organizacji, ale nie dla poszczególnych ludzi. Tymi łatwo manipuluje dla wyższych celów, nie widząc w tym niczego złego. Od wielu lat Borys Budka zdradzał niecierpliwość w oczekiwaniu na efekty, czyli odgrywanie coraz większej roli w partii i państwie. Dlatego nie zadowalało go bycie radnym w Zabrzu, nawet przewodniczącym rady miasta, więc kandydował na prezydenta Gliwic. Nie chciał być zwykłym członkiem partii, dlatego w lutym 2016 r. wywalczył sobie stanowisko wiceprzewodniczącego, licytując jeszcze wyżej, żeby mieć z czego zejść. Podobnie postępował, walcząc w listopadzie 2019 r. o funkcję przewodniczącego klubu parlamentarnego. Licytował wyżej – chcąc być szefem partii, a przewodniczenie klubowi miało być tym, co uzyska na pewno. Tym razem nie poprzestał jednak na nagrodzie pocieszenia i zagrał o całą pulę. Ponad dwa lata wcześniej z niecierpliwości przelicytował za granicą, ale obecnie już może to zdyskontować, a nawet ustawić się po ordery. W rozmowie z „Zeit Online” (23 sierpnia 2017 r.) Borys Budka mówił (potem twierdził, że w „jego” polskiej wersji wyglądało to inaczej): „UE musi postawić Polsce ultimatum. Tylko wtedy, kiedy UE pozostanie nieustępliwa, rząd ulegnie. Jestem ostatnią osobą, która chętnie akceptuje sankcje, gdyż w pierwszej kolejności uderzałyby one w społeczeństwo będące bardziej proeuropejskim niż w innych krajach. Dlatego to byłaby trudna decyzja. Jednak UE powinna pozostać twarda, jednocześnie wyjaśniając, że sankcje byłyby nie przeciwko Polakom, ale przeciwko rządowi”. Obecnie sankcji domagają się już liczni politycy PO, podczas gdy wtedy Budka był ostro krytykowany, a senatorowie Andrzej Misiołek i Leszek Piechota nie tylko odcięli się od jego słów, ale nawet wystąpili z partii.

Borys Budka poprzez „Zeit Online” tłumaczył Niemcom, że „PiS chce modelu państwa, które funkcjonowało przed rokiem 1989: z elementami gospodarki planowej, państwowymi monopolami, samorządami pod kontrolą państwa, państwem centralnym z Warszawy i z uległymi sądami”.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Oburzał się na „populistyczne zmiany, takie jak obniżenie wieku emerytalnego albo bardzo mocne rozdawanie pieniędzy publicznych". Ale najgorsze, co zrobił poza zachęcaniem do objęcia Polski sankcjami, to dostarczenie Niemcom argumentów w sprawie reparacji, a przy okazji wsparcie niemieckich mediów. Perorował Budka: „Nagle Jarosław Kaczyński, który faktycznie rządzi w Polsce, wymyślił, że Polacy powinni dostać reperacje za zniszczenia w czasie II wojny światowej. Pomimo tego, że władze polskie zrzekły się tego prawa w związku ze zmianami granic po wojnie. To jest próba obrzydzenia Niemców, ponieważ to właśnie koncerny niemieckie mają w Polsce część mediów. To jest przygotowanie propagandowe, żeby zaatakować media, typu Polska Press, Bauer lub Axel Springer". Budka powiedział Niemcom, że „władze polskie" (faktycznie wtedy sowieccy namiestnicy) potraktowały jako reparacje tzw. Ziemie Odzyskane na zachodzie. To piramidalna bzdura, kłamstwo historyczne oraz manipulacja na gruncie prawa międzynarodowego, ziemie zachodnie i północne przypadły bowiem Polsce jako rekompensata za zajęcie przez Związek Sowiecki 48 proc. terytorium II RP (ok. 178 tys. km^2). Owa rekompensata nie była zresztą adekwatna, skoro Polsce przyznano na zachodzie ok. 101 tys. km^2, czyli straty terytorialne wyniosły ok. 77 tys. km^2. Do zmian terytorialnych doszło wskutek niemieckiej i sowieckiej agresji we wrześniu 1939 r. oraz jej późniejszych konsekwencji, dlaczego Polska miałaby więc niepełne rekompensaty uznawać za reparacje. Borys Budka zaprezentował w 2017 r. stanowisko całkowicie sprzeczne z polską racją stanu. I choćby to pokazuje, jak niebezpiecznym może być politykiem, tym bardziej gdy targają nim polityczne ambicje i chęć powtórzenia drogi Donalda Tuska.

BYĆ JAK DONALD TUSK

Borys Budka jest z wykształcenia prawnikiem, podobnie jak jego matka Maria, prowadząca kancelarię notarialną. Ojciec Józef, ekonomista, zajmował się polityką, był związany z Unią Pracy, Samoobroną i PSL. Kilka lat temu był zastępcą dyrektora ds. ekonomicznych w jednym ze śląskich szpitali, a także kierował powiatowym oddziałem Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Siostra Anna skończyła kosmetologię, a potem zaocznie prawo i teraz prawem się zajmuje (w kancelarii matki, Marii Budki). Kilkanaście lat temu kandydowała z listy Ruchu Narodowego do Parlamentu Europejskiego. Druga siostra, Maria, jest projektantką wnętrz. Żona, Katarzyna Kuczyńska-Budka, przez lata była dziennikarką: pracowała w Radiu Plus, „Dzienniku Zachodnim" oraz TVP. Miała też własną firmę, gdzie szkoliła polityków, ale ostatnie kilkanaście lat pracowała w administracji rządowej i samorządowej, była rzecznikiem prasowym, naczelnikiem wydziału komunikacji, szefową biura prasowego oraz gabinetów kilku wojewodów, dyrektorem Wydziału Dialogu katowickiego urzędu marszałkowskiego. Obecnie jest radną w Gliwicach, pracuje także w Związku Miast Polskich. Borys i Katarzyna Budkowie mają córkę Lenę.

Budkowie mają dom (o powierzchni 290 m^2) wart 800 tys. zł (działka dodatkowo 300 tys. zł) i dwa mieszkania: jedno o powierzchni 165 m^2 (warte ok. 400 tys. zł), drugie – 75 m^2 (warte ok. 160 tys. zł). Na mieszkania wzięli kredyt (mają jeszcze ponad 150 tys. zł do spłacenia). W oświadczeniu majątkowym Borys Budka wpisał też dwa samochody. Jako osoba zawsze gotowa do pełnienia ważnych funkcji państwowych przewodniczący PO, zgodnie z tym, co mówi jego żona Katarzyna, „nie myje okien, nie majsterkuje i nie podlewa kwiatków, nie lubi przesiadywania

eprasa.pl 05b6a45e9a

w kuchni". Żona z kolei „nie lubi, jak opowiada dowcipy", gdyż zdarzają mu się „suchary": „Borysowi zdarza się powtarzać żarty w towarzystwie. Tego nie znoszę". Miała wątpliwości, czy „powinni formalizować związek, ale Borys ma konserwatywne podejście do tej kwestii". To żona stawia Borysowi Budce Donalda Tuska jako wzór: „Miałam okazję przyglądać się karierze Donalda Tuska i nie miałabym nic przeciwko temu, by ścieżka Borysa wyglądała podobnie". Jednak Sławomir Neumann, były szef klubu PO, uważa, że „największą wadą [Borysa Budki], dla wielu wyborców Platformy jest to, że nie jest Donaldem Tuskiem". Ale chce nim być.

„OSTATNIA NADZIEJA BIAŁYCH"

Borys Budka zdecydowanie (78,49 proc. głosów) wygrał wybory na przewodniczącego PO, otrzymując 6481 głosów (uprawnionych do głosowania było tylko 10 816 członków PO, a frekwencja wyniosła 76,4 proc.), ale w ostatnich siedmiu latach „zniknęło" 28 585 członków PO, co oznacza, że obecnie partia liczy mniej niż 11 tys. osób spełniających kryteria członkostwa, podczas gdy jeszcze w 2013 r. było 39 401 członków. I to jest problem nowego przewodniczącego. Szczególnie w związku z kampanią prezydencką, gdzie do pracy potrzeba wielu tysięcy działaczy i pomocników. Choć zatem Budka ma w partii mocny mandat, w punkcie startu jest w gorszej sytuacji, niż był Grzegorz Schetyna w styczniu 2016 r., gdy wygrał wybory na szefa PO. Nie ma ani wiedzy, ani umiejętności kierowania partią metodami polegającymi na klinczowaniu frakcji i obezwładnianiu politycznych przeciwników, ale ma nadzieję, że to nie będzie konieczne, gdyż partia się zmieni, bo musi się zmienić. Tak bywa, ale krótko, gdy lider nie ponosi spektakularnych porażek. Przy pierwszej klęsce wszyscy ci, którzy zapewniają o jedności i porzuceniu knucia dla wspólnego dobra, szybko wracają do tego, co dobrze znają i co bywało skuteczne, czyli spiskowania, kopania pod sobą dołków, napuszczania na siebie frakcji i poszczególnych osób, doraźnych sojuszy i ich odwracania. Jeśli Borys Budka przegra wybory prezydenckie, chwilowy pokój w partii szybko zastąpi wojna. Na razie wszyscy w PO zdają sobie sprawę, że trzeba wykorzystać zmianę przewodniczącego do wielkiej mobilizacji, do ukrycia problemów i udawania, że teraz PO wystrzeli niczym rakieta. Tym bardziej że partia kierowana przez Borysa Budkę stała się „ostatnią nadzieją białych". A sam Budka chce wykorzystać wielki atak na rząd PiS oraz prezydenta Andrzeja Dudę ze strony instytucji europejskich, różnych międzynarodowych organizacji, niektórych rządów oraz zagranicznych i krajowych mediów. W połączeniu z działaniami Sądu Najwyższego oraz prezes Małgorzaty Gersdorf, które umacniają przekonanie o anarchii w sądownictwie, ma to służyć osaczeniu rządzących i zmuszeniu ich do cofania się albo do nerwowego reagowania na kolejne kryzysy. To wszystko ma opozycji dać przewagę i odwrócić trendy.

> Jeśli Budka przegra wybory prezydenckie, chwilowy pokój w partii szybko zastąpi wojna. Na razie wszyscy w PO zdają sobie sprawę, że trzeba wykorzystać zmianę przewodniczącego do ukrycia problemów i udawania, że teraz PO wystrzeli niczym rakieta

Poza wszystkimi zawodowymi „zadymiarzami", jak KOD czy Obywatele RP, Borys Budka otrzyma pomoc organizacji prawniczych, fundacji, stowarzyszeń i wszelkich grup wspierających opozycję, a także mediów w Polsce i za granicą. Właśnie dlatego, że jest ostatnią nadzieją, a wybory prezydenckie – ostatnią szansą. Wpisując się w taki scenariusz, ledwie Borys Budka dowiedział się o zwycięstwie, a już zapowiedział powstanie centralnego sztabu wyborczego dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, 16 sztabów regionalnych i 100 sztabów powiatowych, które pokryją się z okręgami senackimi. Rządzący nie powinni lekceważyć mobilizacji całego potencjału opozycji i PO (KO) wraz z „bratnią pomocą" z zagranicy w wyborach prezydenckich, tym bardziej że Budka otrzyma wsparcie, na jakie nie mógł liczyć Grzegorz Schetyna, gdyż ma uosabiać nowy wielki początek. Borys Budka nie zna się na politycznych grach, ale jest sprawny organizacyjnie i zapowiadane sztaby oraz grupy je wspierające przy pełnej mobilizacji mogą znacząco poprawić wynik Małgorzaty Kidawy-Błońskiej w II turze. Poza tym mając po swojej stronie stowarzyszenia prawnicze, a przede wszystkim sędziów, Budka będzie chciał zrobić sztabowi PiS „1000 małych Wietnamów", czyli procesów w trybie wyborczym, w których może liczyć na sędziowską „niezawisłość". Łatwo przewidzieć, bo to już się dzieje, że wszyscy prawnicy, których da się zmobilizować, plus dziennikarze i politycy będą gromadzić negatywne dossier na najważniejszych ludzi ze sztabu Andrzeja Dudy (nagrywać każde spotkanie, także te uliczne) oraz na samego prezydenta. O ile Schetynie brakowało cierpliwości i systematyczności w zwalczaniu PiS, o tyle Budce nie zabraknie, tym bardziej jeśli miałby on cechy socjopaty, gdyż tacy ludzie są bardzo skoncentrowani na stawianych sobie zadaniach. A przecież może jeszcze liczyć na wykorzystanie w II turze dużej części potencjału sztabów Władysława Kosiniaka-Kamysza, Roberta Biedronia oraz Szymona Hołowni. Kampania PO, a potem prawie całej opozycji, kierowana przez Borysa Budkę, będzie znacznie groźniejsza, niż byłaby, gdyby na jego miejscu był Grzegorz Schetyna, Tomasz Siemoniak albo ktokolwiek inny. A to oznacza, że wynik wyborów prezydenckich wcale nie jest pewny i dla rządzących wiąże się z największą mobilizacją w całej historii ich politycznego zaplecza.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Wielka inwestycja w polskim hubie technologicznym

Szacuje się, że wartość światowego rynku farmaceutycznego wynosi prawie bilion dolarów. Ogromna część tej kwoty przeznaczana jest na badania i rozwój, bez których nie można mówić o sukcesach we wdrażaniu nowoczesnych terapii i leków. Jedną z najbardziej rozpoznawalnych marek w branży farmaceutycznej i biotechnologicznej jest globalna AstraZeneca. Firma ta silnie zaznaczy swoją obecność w Polsce

Mogę potwierdzić, że uzgodniliśmy z prezesem firmy biofarmaceutycznej AstraZeneca Leifem Johanssonem ogromne, nowe inwestycje w obszarze badania i rozwoju – powiedział premier Mateusz Morawiecki w Davos podczas 50. Światowego Forum Ekonomicznego. Podkreślał również, że to właśnie ten typ inwestycji, „na której Polsce najbardziej zależy" z powodu tworzenia nowoczesnych, wysokopłatnych, wartościowych stanowisk pracy.

AstraZeneca to innowacyjna firma biofarmaceutyczna o korzeniach brytyjsko-szwedzkich, znajdująca się w czołówce największych przedsiębiorstw tego sektora. Warszawskie centrum B+R to jeden z najważniejszych spośród sześciu ośrodków badawczo-rozwojowych firmy na świecie. Obszary medyczne, nad którymi pracuje polskie B+R, to onkologia, w szczególności rak płuca, kardiologia, choroby metaboliczne, choroby nerek, diabetologia i astma. Firma obecna jest w naszym kraju od prawie 30 lat i właśnie teraz postanowiła reinwestować na ogromną skalę. Skąd taka decyzja?

– Nasza firma zdecydowała się na tak dużą inwestycję właśnie w Polsce z powodu sprzyjających warunków do prowadzenia działalności badawczo-rozwojowej. Oprócz dostępu do dużej liczby doskonałych absolwentów kierunków medycznych doceniamy rozwiązania legislacyjne premiujące działalność badawczo-rozwojową, które zaczęły się pojawiać od 2016 r., takie jak ulga IP Box czy ulga na działalność badawczo-rozwojową – podkreśla dr Jarosław Oleszczuk, prezes AstraZeneca Pharma Poland. I dodaje, że większość z 1,5 mld zł przeznaczona zostanie na dział B+R.

O tym, że na takich właśnie inwestycjach najbardziej Polsce zależy, mówiła podczas wspólnego spotkania prasowego minister rozwoju Jadwiga Emilewicz.

– Polska to dziś doskonałe miejsce do prowadzenia i rozwijania biznesu. Nasza atrakcyjność inwestycyjna wynika z wielu czynników, m.in. takich jak stabilność makroekonomiczna, dobrze wykształceni pracownicy i kadra menedżerska, wysoka jakość oferowanych produktów i usług czy też dogodne położenie w sercu Europy. Dlatego tym bardziej cieszy mnie decyzja zarządu AstraZeneca, która zdecydowała się zainwestować w najbliższych latach w naszym kraju 1,5 mld zł w budowę ekosystemu biotechnologicznego i life science.

W kraju od półtora roku działa Polska Strefa Inwestycji, w której dotychczas wydano 432 decyzje dotyczące inwestycji o wartości prawie 21 mld zł.

Właśnie w celu zwiększenia atrakcyjności inwestycyjnej Polski od 1 października 2019 r. rząd wprowadził zmiany w jednym z kluczowych programów wsparcia – Programie wspierania inwestycji o istotnym znaczeniu dla gospodarki polskiej na lata 2011–2030 – m.in. zwiększając jego budżet o 1,1 mld zł, do 2,6 mld zł.

Dzięki temu programowi udało się przyciągnąć inwestycje wielu globalnych firm, m.in. LG (Korea), Mercedes Benz (Niemcy), JP Morgan (USA), Nokia Solutions (Finlandia), Johnson Matthey Batteries (Wielka Brytania).

O tym, że właśnie sprzyjający klimat zadecydował o reinwestowaniu w Polsce, mówił w Davos prezes AstraZeneca Leif Johansson. Wskazał, że „to jest wielka inwestycja, realizowana w oparciu o 30-letnie doświadczenie w Polsce. Zostaliśmy przyciągnięci w dużym stopniu przez politykę rządu" – powiedział. Wskazał też inne przewagi Polski.

– Będziemy opracowywali nowe lekarstwa i znaleźliśmy tu dobrą bazę uczelniano-naukową. Z tego punktu widzenia oceniamy nasze inwestycje w Polsce bardzo pozytywnie. Wierzymy, że będzie to katalizator dynamicznego rozwoju całego sektora biotechnologii w Polsce – uważa prezes AstraZeneca. Firma podkreśla także, jak ważna jest dla niej możliwość oparcia rozwoju na dostępnym w naszym kraju kapitale ludzkim.

– Na koniec 2019 r. zatrudnialiśmy blisko 1,7 tys. osób, z czego ok. 900 w globalnym centrum badań i rozwoju. Na uwagę zasługuje to, że polski ośrodek jest największym niepublicznym pracodawcą dla osób z doktoratami z dziedziny life science – zatrudnia ich ponad setkę – mówi z dumą szef polskiej części firmy.

Nie ukrywa także, że jest ona hojnym pracodawcą i nie oszczędza na płacach swoich specjalistów zatrudnianych w centrum B+R. To jeden z powodów, oprócz znakomitych możliwości rozwoju zawodowego, do pozostawania w kraju najlepiej wykształconych absolwentów kierunków medycznych i farmaceutycznych, a także zachęta do powrotu do kraju tych, którzy obecnie wiążą swoją karierę z zagranicznymi ośrodkami.

(gra)

eprasa.pl 05b6a45e9a

Z kokpitów polskich samolotów zniknie cyrylica

Pierwszy samolot F-35 zostanie nam udostępniony w 2024 r. Mamy więc parę lat na przygotowania i je wykorzystamy. Oczywiście pod warunkiem, że do władzy nie wrócą PO z PSL, czyli partie, które likwidowały poligony i jednostki wojskowe

Jacek Karnowski rozmawia z Mariuszem Błaszczakiem, ministrem obrony narodowej

Zapowiadając podpisanie umowy na zakup 32 myśliwców F-35, powiedział pan, że „ten dzień przejdzie do historii". Czy nie jest to jednak przesada?

Mariusz Błaszczak: Nie. To jest naprawdę moment historyczny. Nigdy wcześniej w naszej historii wojsko polskie nie miało tak nowoczesnego sprzętu. Te samoloty podnoszą zdolność bojową naszych sił powietrznych o kilka poziomów. Ale F-35 to także swoiste centrum dowodzenia, to zdolność do współpracy z samolotami F-16, z systemem Patriot, z rakietami Himars. To dużo więcej niż sam samolot wielozadaniowy.

To maszyny piątej generacji. Czym różnią się od samolotów F-16, które ma nasza armia?

Po pierwsze, technologią stealth, ograniczającą możliwość wykrycia F-35 przez radary przeciwnika. Po drugie, ową interoperacyjnością pozwalającą zmaksymalizować możliwości innego

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05b6a45e9a

nowoczesnego uzbrojenia, które już mamy albo które mieć będziemy.

Te maszyny będą zdolne do przedarcia się np. przez rosyjską obronę przeciwlotniczą?

Tak, te samoloty mogą się przebić przez coś, co w terminologii wojskowej nazywa się A2AD, a więc przez bariery obronne przeciwnika. To jest samolot wielozadaniowy. Wojsko polskie musi dysponować takim uzbrojeniem, które będzie również odstraszało. Potencjalny agresor musi wiedzieć, że odpowiemy, i to stanowczo. Dzięki F-35 będziemy mieli taką możliwość.

Jeszcze przed podpisaniem umowy mówił pan o „zaniepokojeniu potencjalnych przeciwników" tym zakupem. O co i o kogo tutaj chodzi?

Nie chcę wywoływać wrażenia, że to jest broń skierowana przeciw konkretnemu państwu. Moim zadaniem jest zapewnienie Polsce zdolności obronnych. Ale zapewniam, że mówiąc o zaniepokojeniu, nie rzucałem słów na wiatr.

Przy okazji tego kontraktu pojawiły się także zarzuty, że kupując drogi sprzęt, Polska faktycznie płaci za amerykańską obecność militarną w naszym kraju. Jak pan odpowie na tę krytykę?

Relacje polsko-amerykańskie są najlepsze na przestrzeni 100 lat od chwili, gdy zostały nawiązane. A pamiętajmy, że Stany Zjednoczone dysponują najsilniejszym wojskiem na świecie. Trwała obecność wojsk USA w Polsce, którą potwierdzili w swojej deklaracji prezydenci obu krajów, jest ważnym elementem odstraszającym potencjalnego agresora. Tu chcę bardzo wyraźnie powiedzieć, że to również dzięki zaangażowaniu zwierzchnika sił zbrojnych Andrzeja Dudy kupujemy samoloty F-35. Bez jego wsparcia nie byłoby uroczystości w Dęblinie w ubiegły piątek.

Czy jednak kupno sprzętu to rodzaj zapłaty?

Niestety polski przemysł zbrojeniowy nie jest w stanie wyprodukować takiego samolotu. Gdyby był w stanie, nie byłoby żadnego pytania, gdzie kupić. Co więcej, te samoloty właściwie nie mają konkurencji. Rosjanie twierdzą, że mają podobne, ale oni wiele rzeczy twierdzą. Poza tym z powodu obaw o nasze bezpieczeństwo nie będziemy kupowali rosyjskich samolotów. Mówiąc krótko: kupujemy samolot najlepszy.

> Nigdy wcześniej w naszej historii wojsko polskie nie miało tak nowoczesnego sprzętu. Samoloty F-35 podnoszą zdolność bojową naszych sił powietrznych o kilka poziomów

Polska chce być swego rodzaju „dystrybutorem bezpieczeństwa" w regionie. W jakim stopniu zakup F-35 podnosi nasz status?

Nasi sąsiedzi już dziś wiedzą, że nasz potencjał jest duży i wciąż rośnie. W przypadku Litwy możemy już mówić o konkretach. Mamy w Elblągu natowskie dowództwo dywizji; dowodzi Polak, szefem sztabu jest Litwin. Do tego dowództwa afiliowane są dwie jednostki: jedna z Polski, druga z Litwy. Żołnierze będą razem ćwiczyć, opracowują wspólne plany. Kilka dni temu, podczas mojej wizyty w Wilnie, podjęliśmy decyzję o powołaniu czterech zespołów roboczych, które zajmą się konkretnymi sprawami, np. wyposażeniem. Tam, gdzie jest to możliwe, sprzęt i amunicja powinny być ujednolicone, bo wówczas korzystamy z efektu synergii. A co do wpływu F-35 na nasz status: samo to, że mamy odpowiedni potencjał, by przyjąć te samoloty, jest jasnym sygnałem dla naszych sąsiadów – i dalszych, i bliższych.

Czy będziemy jednak w stanie w pełni wykorzystać potencjał samolotów F-35? Bo sam pan mówi, że tak naprawdę budujemy złożony system militarny – i latający, i naziemny. Czy MON ma pewność, że to udźwigniemy?

Jestem przekonany, że tak. Mamy świetnych techników i świetnych pilotów, docenianych również za granicą. Kontrakt przewiduje i szkolenie pilotów, i wszystkie ćwiczenia. Pierwszy samolot zostanie nam udostępniony w 2024 r. Mamy więc parę lat i je wykorzystamy. Oczywiście pod warunkiem, że do władzy nie wrócą PO z PSL, czyli partie, które likwidowały poligony i jednostki wojskowe. Np. za ich czasów, w 2011 r., rozwiązano 1 Warszawską Dywizję Zmechanizowaną im. Tadeusza Kościuszki, operującą na wschód od Wisły. Może spodziewali się, że przekonają Władimira Putina za pomocą słów, by zrezygnował z agresywnych zamiarów? Po trzech latach okazało się, że Putin zaatakował Ukrainę. My teraz odbudowujemy ten zniszczony potencjał. Nie ma 1 Dywizji, którą zlikwidował rząd PO-PSL, ale jest powołana przez nas 18 Dywizja Zmechanizowana, z dowództwem w Siedlcach, która odpowiada za bezpieczeństwo wschodniej Polski.

Może pan dać nam wszystkim gwarancję, że Polska dostanie produkt najlepszej jakości?

Oczywiście. Te samoloty są produkowane w seriach. Nasze powstaną w tym samym czasie, co maszyny dla sił amerykańskich i dla sił belgijskich. To będzie ta sama seria.

Za 32 samoloty zapłacimy 4,6 mld dol. Padają jednak zarzuty, że za każdy z samolotów zapłacimy więcej niż inne kraje, które też podjęły takie decyzje.

Za każdy z samolotów zapłacimy praktycznie tyle samo, ile Belgowie: cena nie będzie wyższa niż 87 mln dol. Różnice co do finalnych wartości kontraktów wynikają z innego zakresu dodatkowych funkcji, o których każde państwo decyduje samodzielnie.

Skąd będą pochodziły pieniądze na te samoloty? Z budżetu MON czy też

eprasa.pl 05b6a45e9a

będzie specjalny rodzaj finansowania, tak jak w przypadku F-16?

Budżet Ministerstwa Obrony Narodowej systematycznie rośnie. W 2030 r. będzie wynosił 2,5 proc. PKB, a już w tym roku będzie to 2,1 proc. Pamiętajmy, że PKB także stale rośnie. W tym roku wojsko będzie miało do dyspozycji niemal 50 mld zł. W tym kontekście ważne jest także przyjęcie planu modernizacji technicznej w perspektywie 15-letniej. Ten plan opiewa na kwotę 524 mld zł, które przeznaczymy na unowocześnianie Wojska Polskiego. Pieniądze są.

Opozycja twierdzi, że prowadził pan negocjacje „w sposób tajny", przekonuje, że szczegóły tak ważnego kontraktu powinna poznać sejmowa komisja obrony. Zapowiada także wniosek do NIK o kontrolę tej umowy.

Nie mam żadnych problemów z ewentualną kontrolą NIK jakiejkolwiek sfery mojej aktywności jako szefa MON. A jeśli chodzi o informowanie, to informuję przede wszystkim opinię publiczną. Rzecz jasna nie o wszystkim, bo ta umowa ma również elementy niejawne, dotyczące spraw ściśle wojskowych. Prowadząc tę sprawę, dochowaliśmy wszelkich procedur i wymogów prawnych. Być może opozycję drażni to, że decyzję podjęliśmy szybko. Nasi przeciwnicy rzeczywiście potrafili myśleć całymi latami, często do niczego nie dochodząc. Np. przedłużano bez końca użytkowanie migów-29, co doprowadziło w końcu do tragedii – dwa lata temu w wypadku zginął pilot.

> Za każdy z samolotów F-35 zapłacimy praktycznie tyle samo, ile Belgowie: cena nie będzie wyższa niż 87 mln dol. Różnice co do finalnych wartości kontraktów wynikają z innego zakresu dodatkowych funkcji

Czy jednak – skoro za te migi już zapłaciliśmy – nie powinny być one użytkowane możliwie długo?

Już nie mogę i nie chcę czekać, bo to może zaowocować kolejnymi tragediami. Nadchodzi czas, w którym z kokpitów samolotów polskich pilotów zniknie cyrylica. To już dawno powinno się zdarzyć. Migi-29 muszą przejść do historii. Niech się wstydzą panie i panowie z Platformy, że tak długo na to przyzwalali. Zbyt długo sprzęt postsowiecki był na wyposażeniu wojska polskiego. To był efekt polityki ignorowania zagrożeń, zmniejszania potencjału naszych sił zbrojnych, likwidowania jednostek wojskowych.

Wspomniał pan, że negocjacje w sprawie kontraktu nie trwały długo. Czy opinia publiczna może mieć pewność, że uzyskaliście najlepsze warunki z możliwych? Jeśli nabywca bardzo chce kupić, sprzedający ma przewagę.

Tak, uzyskaliśmy najlepsze warunki z możliwych. Amerykanie zaczęli rozmowy od kwoty 6,5 mld dol., kupujemy za 4,6 mld. To duża różnica. A co do pośpiechu, to rzeczywiście musimy nadrabiać czas. W 2018 r. kupiliśmy patrioty, w 2019 r. rakiety Himers o zasięgu do 300 km, obecny zaczynamy jeszcze mocniejszym uderzeniem. Gdyby zadanie modernizacji wojska traktowano poważnie od 1989 r., bylibyśmy w innej sytuacji.

40/0120/F

eprasa.pl 05b6a45e9a

Teraz mamy 48 samolotów F-16. Jeśli dodamy do tej liczby 32 maszyny F-35, to razem będzie 80 w miarę nowoczesnych i supernowoczesnych maszyn. Ile samolotów powinniśmy mieć docelowo?

Wszystko wymaga czasu. Teraz zaspokajamy najpilniejszą potrzebę zastąpienia maszyn postsowieckich nowoczesnymi maszynami. Docelowo powinniśmy mieć 10 eskadr, czyli 160 samolotów. Musimy jednak pamiętać, że technologia stale idzie naprzód. Dlatego nie zdecydowaliśmy się na dokupienie F-16. Teraz chcemy uczestniczyć w programie budowy dronów w technologii stealth, które będą operowały razem z F-35.

W tym kontrakcie nie ma zapisanego offsetu, czyli elementy F-35 nie będą produkowane w Polsce. Dlaczego? Wydaje się, że nawet pan o to nie walczył.

Zbadaliśmy tę sprawę dokładnie. Tu najważniejszy jest błąd naszych poprzedników, którzy dekadę temu odrzucili propozycję dołączenia do programu budowy F-35, tę decyzję podjął minister Klich. Gdyby zdecydował inaczej, bylibyśmy współudziałowcami projektu, mielibyśmy liczne korzyści. Program niestety jest już zamknięty. Dziś sytuacja wygląda w ten sposób, że w produkcji F-35 biorą udział tylko te państwa, które były zaangażowane w jego budowę.

Czy offsetu nie można było zapisać teraz w kontrakcie?

Musimy pamiętać, że za offset trzeba zapłacić, to są dodatkowe koszty. W przypadku umowy na F-35 różnica między kontraktem z offsetem i bez niego wynosiła miliard dolarów. Tyle musielibyśmy dodatkowo wyłożyć. Wybrałem opcję tańszą, a zaoszczędzone środki wykorzystamy na inne programy modernizacyjne. Nie łudźmy się, nikt nie da nam za półdarmo technologii, która powstała kosztem dziesiątek, a może i setek miliardów dolarów. Dodatkowo, według naszej oceny, proponowany offset nie oznaczałby dużego wzmocnienia potencjału produkcyjnego naszego przemysłu zbrojeniowego.

Nie proponowano nam niczego istotnego czy też nasz przemysł nie jest w stanie twórczo wykorzystać tej wiedzy?

Polski przemysł zbrojeniowy ma swoje specjalności. Armatohaubice Krab są naprawdę fantastyczne, podobnie moździerze Rak czy karabiny Grot. Gdybyśmy chcieli dobrze wykorzystać technologię związaną z F-35, musielibyśmy zainwestować naprawdę wielką kwotę, by spróbować stworzyć coś nowego. Dziś, z różnych przyczyn, inwestujemy w inne miejsca.

No właśnie, przemysł zbrojeniowy. Gdy PiS dochodziło do władzy, liczyło chyba na większe efekty w tej branży?

W okresie, gdy jestem ministrem, Polska Grupa Zbrojeniowa kończyła kolejne lata dodatnim bilansem, a więc konsorcjum przynosi zyski. To już dużo. Są oczywiście świetne zakłady,

Fot. Materiały prasowe

Ubezpiecz
mieszkanie
od pożaru, zalania
i innych zdarzeń losowych
już od 122 zł rocznie!
Sprawdź
22 444 44 44
www.link4.pl lub zapytaj Agenta

LINK 4

Składka 121,22 zł: mieszkanie własnościowe 50 m², Orzechowo, lata budowy 1970-1990, brak szkód w ostatnich 3 latach. Ubezpieczenie od zdarzeń losowych - suma ub. murów i el. stałych mieszkania 204 tys. zł, mienia ruchomego 10 tys. zł. Cena zawiera zniżkę za zakup przez Internet. Oferta dla nowych Klientów LINK4. Szczegóły i wyłączenia znajdziesz w OWU.

REKLAMA

eprasa.pl 05b6a45e9a

Gdy mam do wyboru politykę PO-PSL – a więc zlikwidować, zaorać i kupić z Niemiec – albo budować własne możliwości, czasem z mozołem, wybieram tę drugą drogę

Fot. Andrzej Wiktor

są i gorsze. Dla mnie ważne jest, by nie likwidować możliwości technicznych i produkcyjnych. Dlatego zdecydowałem o modyfikacji czołgów T-72 przez zakład Bumar-Łabędy, wciąż dużą firmę. To oczywiście rozwiązanie pomostowe, ale korzystne. Gdy mam do wyboru politykę PO-PSL – a więc zlikwidować, zaorać i kupić z Niemiec – albo budować własne możliwości, czasem z mozołem, wybieram tę drugą drogę.

Wciąż nie ma dużego kontraktu na śmigłowce. Czy anulowanie zamówienia na caracale było, z dzisiejszej perspektywy, słuszną decyzją?

Tak. Po pierwsze, tam był fatalny offset. Po drugie, doniesienia na temat tych śmigłowców nie są zachęcające. Po trzecie, mamy w Polsce dwie fabryki helikopterów – w Mielcu i Świdniku. Żadna z nich nie produkuje caracali. Teraz działamy inaczej. Wojska specjalne kupiły w Mielcu black-hawki, marynarka AW101 w Świdniku.

Czy te wszystkie zakupy spinają się w jakiś logiczny spójny, przemyślany pomysł na polską armię? Można kupić wszystkiego po trochu i razem może to nie tworzyć dużego potencjału obronnego.

Prowadzimy analizy, badania, przeprowadzamy też symulacje i wyciągamy wnioski...

...czy nadal Rosjanie dochodzą do Warszawy w kilka dni?

Uchylę się od odpowiedzi z powodów oczywistych. Jeszcze raz podkreślam, że właśnie w tym kontekście tak kluczowy jest zakup F-35. To jest logiczne domknięcie całego systemu obronnego. Pamiętajmy, że cały czas odbudowujemy armię, tak mocno poturbowaną w poprzednich dekadach. Kiedy Prawo i Sprawiedliwość obejmowało rządy, wojsko polskie liczyło ok. 95 tys. żołnierzy zawodowych. Dziś liczy 108 tys., a do tego trzeba jeszcze dodać ok. 21 tys. żołnierzy obrony terytorialnej.

Biorąc pod uwagę faktyczny brak bezrobocia w wielu regionach, emigrację i niższą liczebność kolejnych roczników, nie jest zapewne łatwo o nowych żołnierzy?

Demografia jest wyzwaniem, ale były też inne problemy. Np. proces rekrutacji do wojska był tak skomplikowany i czasochłonny, że właściwie zniechęcał, był dla wielu barierą. Trzeba było sporej determinacji, by przez to przejść. A to nie o to chodzi. Teraz podjąłem decyzję o integracji i uproszczeniu systemu. Wspieramy klasy wojskowe, legię akademicką, organizacje proobronne. Stworzyłem Biuro Programu „Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej", na którego czele stoi gen. Artur Dębczak, wcześniej zastępca dowódcy WOT. Wojska terytorialne to kolejne źródło.

Jak silna powinna być finalnie polska armia? Gdzie dziś jesteśmy?

Są różne rankingi, często bardzo dyskusyjne. Jesteśmy na dobrej drodze do tego, by pełnić funkcję integratora na wschodniej flance NATO. Nie jesteśmy jedynie biorcą bezpieczeństwa, sami też sporo dokładamy, choćby broniąc przestrzeni powietrznej krajów bałtyckich. Teraz przed nami wielkie ćwiczenia Defender-Europe 20, w których weźmie udział 37 tys. żołnierzy z 18 krajów, z czego 20 tys. zostanie przerzuconych na nasz kontynent bezpośrednio ze Stanów Zjednoczonych.

Czy te ćwiczenia mają jakiś konkretny cel?

Ćwiczony jest m.in. przerzut wojsk na dużą skalę. Polska armia także szkoli ten element, to jedno z zadań, które postawiłem dowódcom. Chodzi o to, by móc szybko wysłać siły z zachodu na wschód. Wojsko ma być mobilne, musi umieć poruszać się w realnym terenie, a nie tylko na poligonie. Wojsko zaczęło też być wreszcie znowu widoczne i Polacy to zauważają. To dla mnie duży powód do satysfakcji.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Kolej szybsza niż kiedykolwiek

Chociaż kolej w przeszłości borykała się z problemami, to teraz pasażerów zaczyna przybywać. Liczne inwestycje, remonty i modernizacje istniejących tras już się odbywają, ale prawdziwą dobrą zmianą dla kolei i pasażerów będzie budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego

CPK to serce Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, w ciągu najbliższych lat priorytet polskiego rządu. Chcę zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, żeby CPK powstał i żeby przejść przez wszystkie niezbędne etapy jak zgody środowiskowe, zgody unijne, projektowanie i budowa, wpisanie do sieci TEN-T itd. Dzięki tej inwestycji Polska stanie się jednym z kluczowych hubów komunikacyjnych – powiedział premier Mateusz Morawiecki.

Centralny Port Komunikacyjny ma to znacznie ułatwić. Projekt – jako jeden z najbardziej ambitnych planów w całej historii naszego kraju – zakłada nie tylko budowę lotniska, lecz również realizację nowych połączeń kolejowych i drogowych. Powstanie ponad 1,6 tys. km nowych linii kolejowych!

Zgodnie z ogłoszonym właśnie Strategicznym Studium Lokalizacyjnym będą one przebiegać 10 korytarzami prowadzącymi z różnych stron Polski do nowego lotniska między Warszawą a Łodzią. SSL zawiera mapy kolejowe, które – po wydrukowaniu – zajmują powierzchnię 70 mkw.

Planowane korytarze będą podstawą dalszych prac studialno-projektowych. Jak wskazuje Marcin Horała, pełnomocnik rządu ds. CPK, ostateczny przebieg dla każdej z nich będzie zależał m.in. od wyników konsultacji społecznych, badań środowiskowych i szczegółowych uwarunkowań technicznych.

Swoje propozycje już w pierwszej połowie lutego będą mogli zgłaszać wszyscy. Specjalny formularz znajdzie się na poświęconej konsultacjom stronie internetowej: konsultacje.cpk.pl. Już teraz na tej stronie znajduje się całe Strategiczne Studium Lokalizacyjne. Każdy może się z nim zapoznać osobiście!

Sieć nowych linii kolejowych, w tym odcinków o standardzie kolei dużych prędkości, ma łączyć Warszawę i CPK z większością największych miast Polski, w czasie nie dłuższym niż 2,5 godz., nie wspominając o błyskawicznym połączeniu CPK z Warszawą (15 min) i Łodzią (niespełna 30 min). Z Wrocławia i Poznania dojazd do stolicy ma zostać skrócony do mniej niż 2 godz., zaś między Krakowem i Katowicami skróci się do zaledwie 35 min. Z Warszawy do Gdańska dojedziemy w ok. 2 godz., zaś do Wrocławia – w 1 godz. 55 min.

Fot. KPRM

Każde z nowych połączeń prowadzących do CPK ma się składać z nowych torów, a także wyremontowanych lub zmodernizowanych odcinków już istniejącej infrastruktury. Za budowę będzie odpowiadać spółka Centralny Port Komunikacyjny, za modernizację zaś – PKP Polskie Linie Kolejowe.

Premier Mateusz Morawiecki podkreśla, iż projekt jest nie tylko ambitny, lecz i sprawnie realizowany: – W kwietniu ubiegłego roku podczas konferencji prasowej na stacji Łódź Fabryczna przedstawiłem założenia Programu Kolejowego CPK i przyjętą przez rząd nowelizację rozporządzenia zawierającego wykaz linii kolejowych o znaczeniu państwowym. Dzisiaj jesteśmy o kilka kroków dalej, pokazując Polakom pierwsze wyniki prac projektowych.

Centralny Port Komunikacyjny będzie więc projektem nie tylko ambitnym, lecz także przynoszącym korzyści dla całego kraju. Transport kolejowy, jako się rzekło, przechodzi ożywienie – ten wygodny i niedrogi środek transportu staje się jednym z pierwszych wyborów dla milionów Polaków i wielu gości z zagranicy. Realizacja CPK sprawi, iż nasze koleje zyskają na atrakcyjności. Warto trzymać kciuki za tę inicjatywę, która opłaci się polskiej gospodarce, zwłaszcza że korzystać z niej będziemy praktycznie wszyscy.

Arkady Saulski

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 67/0120/F

eprasa.pl 05b6a45e9a

Tacy sami, a ściana między nami

Nikogo nie trzeba przekonywać, że polityczny podział w Polsce jest bardzo wyraźny, często dzielący znajomych, przyjaciół, a nawet rodziny. Jak jednak w praktyce wygląda polaryzacja na zwolenników Prawa i Sprawiedliwości i Koalicji Obywatelskiej? Czy na pewno obie grupy wyborców różni tak wiele, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka?

MARCIN FIJOŁEK

Odpowiedzi na pytania o wspólne mianowniki i protokoły rozbieżności przynosi wiele badań, jakie dla portalu wPolityce.pl przygotował instytut Social Changes. Poza sondażami dotyczącymi poparcia dla kandydatów w wyborach prezydenckich i partii politycznych pracownia zapytała Polaków również o sprawy niezwiązane ściśle z bieżącą polityką. Oto garść wniosków – niektóre mogą się okazać mocno zaskakujące.

PUTIN ŁĄCZY

Jednym z nich jest z pewnością odpowiedź na pytanie o ocenę działań prezydenta Rosji Władimira Putina wobec Polski. O ile nie dziwi dość wyraźna przewaga krytycznych ocen (65 proc.), o tyle schodząc poziom niżej – na pułap elektoratów poszczególnych partii – widać zdumiewającą zgodność wyborców KO i PiS. Obie te grupy powyżej przeciętnej dostrzegają wrogie nastawienie urzędującego na Kremlu prezydenta. Co ciekawe, elektorat KO jest nieco bardziej sceptyczny wobec działań Putina (84 proc. krytycznych ocen) niż elektorat PiS (78 proc.). Elementarna zgoda panuje wśród wyborców PiS i KO, gdy zapytać o nastawienie rosyjskich władz wobec rządu Zjednoczonej Prawicy – 66 proc. sympatyków PiS i 62 proc. KO widzi negatywne podejście ze strony Kremla. Odpowiednio 9 i 8 proc. jest w stanie dojrzeć pozytywne działania ekipy Putina wobec rządu premiera Morawieckiego.

Zgoda co do krytycznego nastawienia do działań prezydenta Rosji nie przenosi się jednak na pełną jedność w zakresie przyjętej strategii – choćby na gruncie polityki historycznej. Widać to wyraźnie na przykładzie oceny decyzji prezydenta Andrzeja Dudy o braku udziału w jerozolimskich uroczystościach (World Holocaust Forum) organizowanych przez fundację Wiaczesława Kantora. I tak wśród wyborców PiS aż 77 proc. pytanych jest zadowolonych z ruchu prezydenta, z kolei elektorat KO widzi sprawę całkowicie inaczej: 57 proc. negatywnie ocenia postawę prezydenta w tej sprawie. Inna rzecz, że niemało, bo 22 proc. sympatyków KO, popiera jednak decyzję o odwołaniu wyjazdu do Jerozolimy.

Spore rozbieżności między wyborcami PiS i KO są zauważalne także w innym badaniu Social Changes, w którym respondenci musieli się zmierzyć z pytaniem o zasadność starań Polski o reparacje, jakich polska strona domaga się od Niemiec za krzywdy i szkody wyrządzone w czasie II wojny światowej. Z sondażu wynika jednoznacznie, że wyborcy dwóch największych partii mają diametralnie różne poglądy w tej sprawie. Zabiegi o reparacje popiera aż 80 proc. wyborców PiS i zaledwie 27 proc. wyborców KO. Przeciwko jest jedynie 7 proc. sympatyków partii rządzącej – niechęć do wspomnianych starań deklaruje także co drugi wyborca KO. Na tym polu w przypadku KO dość spory odsetek pytanych (bo ponad 20 proc.) nie ma wyrobionego zdania.

KLIMAT – ZAGROŻENIE TAK, DZIAŁANIE – NIEKONIECZNIE

Polityka historyczna to niejedyny obszar, który w badaniach Social Changes przynosi interesujące rezultaty. Ciekawym pytaniem, jakie zadali ankieterzy pracowni, było to dotyczące zmian klimatycznych. Respondenci nie kryli, że czują się zaniepokojeni tym, co mogą przynieść zmiany klimatu: wyraźna większość – 70 proc. – odpowiedziała na to pytanie twierdząco, zaledwie co piąty Polak nie czuje w związku z tym żadnych obaw. Co charakterystyczne, osoby zaniepokojone zmianami klimatu przeważają wśród elektoratów obu największych partii, choć poziom napięcia jest wyraźnie wyższy wśród wyborców

eprasa.pl 05b6a45e9a

KO (92 proc.) niż wśród wyborców PiS, spośród których 64 proc. wyraża wspomniane obawy.

Znów jednak – tak jak przy diagnozie dotyczącej polityki Putina – pewien poziom zgody co do diagnozy sytuacji nie przekłada się na jednolitość ocen przy konkretnych działaniach. Na pytanie: „Czy popiera Pani/Pan jak najszybszą rezygnację z wydobycia węgla w Polsce, nawet jeśli doprowadziłoby to do znaczących podwyżek cen prądu (energii elektrycznej)?", twierdząco odpowiedziało 29 proc. badanych, kolejne 50 proc. mówi jednak „nie", a aż 21 proc. respondentów nie ma zdania w tej sprawie. Niechęć do ponoszenia wyższych kosztów energii elektrycznej w związku z rezygnacją z węgla widoczna jest zwłaszcza wśród wyborców PiS. Tego typu polityce sprzeciwia się 67 proc. wyborców partii rządzącej, a popiera ją zaledwie co piąty sympatyk Zjednoczonej Prawicy. Wśród wyborców KO wygląda to odwrotnie: 56 proc. godzi się na wyższe rachunki w przypadku odejścia od węgla, przeciwko jest 29 proc.

Różnice zauważalne są też przy pytaniu o ocenę konieczności odstrzału dzików w ramach walki ze skutkami afrykańskiego pomoru świń. O ile wyborcy PiS dość jednoznacznie nie widzą większych przeszkód ku takim działaniom (69 proc. za, 11 proc. przeciw), o tyle wrażliwość i podejście sympatyków KO są zgoła odmienne: tylko 28 proc. widzi konieczność odstrzału dzików, a aż 58 proc. jest temu przeciwnych.

To zresztą cecha stała, która jest zauważalna przy kolejnych badaniach Social Changes – o im bardziej polityczny temat pytamy, tym większe widać rozbieżności wśród wyborców PiS i KO. Dla przykładu – pytanie o ocenę odebrania przywilejów emerytalnych byłym funkcjonariuszom służb PRL, takim jak SB (Służba Bezpieczeństwa) i UB (Urząd Bezpieczeństwa) przynosi skrajnie odmienne oceny elektoratów dwóch największych bloków partyjnych. O ile aż 77 proc. zwolenników PiS jest zwolennikami tego pomysłu, o tyle wśród wyborców KO tak dużego wsparcia nie ma – 41 proc. jest za, ale już ciut więcej, bo 42 proc., wyraża się o tym pomyśle krytycznie.

Protokół punktów stycznych i rozbieżności powinien również zawierać pytanie o podejście do instytucji unijnych i obecności naszego kraju w ramach wspólnoty. O ile wyborcy obu partii dość zgodnie – i krytycznie – odpowiadali na pytanie o to, czy Polskę poza UE czeka lepsza przyszłość, o tyle w przypadku wyborców PiS jest to jednak przewaga znacznie mniejsza niż w elektoracie KO. Podobne, choć bardziej precyzyjne pytanie, o to, czy wyjście z Unii Europejskiej stanowi zagrożenie dla Polski – i analogiczne rezultaty. Ankietowani in gremio widzą takie niebezpieczeństwa – aż 68 proc. badanych dostrzega tego rodzaju zagrożenia (17 proc. nie widzi tutaj powodów do niepokoju). Wśród wyborców dwóch największych partii mamy podobne rezultaty, z tym że podobnie jak przy pierwszym pytaniu elektorat PiS jest nieco bardziej eurosceptyczny, wciąż jednak 60 proc. sympatyków PiS uważa scenariusz opuszczenia wspólnoty za zagrożenie.

> Elementarna zgoda panuje wśród wyborców PiS i KO, gdy zapytać o nastawienie rosyjskich władz wobec rządu Zjednoczonej Prawicy. 66 proc. sympatyków PiS i 62 proc. KO widzi negatywne podejście ze strony Kremla

WSPÓLNY MIANOWNIK BEZ POLITYKI

Im mniej polityki, tym więcej wspólnych mianowników – taki wniosek można śmiało wyciągnąć na podstawie dwóch kolejnych pytań, jakie Social Changes zadało ankietowanym. Dla wielu zaskakująco mogą wyglądać rezultaty badania poświęconego muzyce disco polo. 57 proc. ankietowanych odpowiedziało, że patrzy przychylnie na ten rodzaj muzyki, negatywny stosunek do disco polo ma 28 proc. Jak wspomniane badanie wygląda, gdy spojrzymy na grupy wyborców poszczególnych partii? Zwolennicy disco polo dominują wśród sympatyków PiS – jest ich 77 proc., 12 proc. wyborców tej partii jest niechętna temu rodzajowi muzyki. Z kolei wyborcy KO są podzieleni niemal po równo – 43 proc. akceptuje disco polo, a 47 proc. wyraża się o nim negatywnie.

O wiele większa zgoda zapanowała wśród wyborców PiS i PO, jeśli chodzi o pomysł na ograniczenie dostępu dzieci i młodzieży do pornografii w internecie poprzez skuteczną weryfikację wieku przy wchodzeniu na tego typu serwisy internetowe. W sumie poparcie dla projektu, który zgłosił wstępnie rząd, zadeklarowało 81 proc. ankietowanych. Jak wspomnieliśmy, walkę z dostępem dzieci i młodzieży do pornografii w równym stopniu popierają wyborcy dwóch największych partii politycznych. Wśród wyborców PiS wskaźnik ten wynosi 93 proc., a wśród wyborców KO 90 proc. Zwolennicy opozycji nieco częściej wyrażają jednak sprzeciw – 8 proc. wobec 3 proc. w przypadku wyborców PiS.

Jak wskazują wyniki badań instytutu Social Changes, różnice między wyborcami PiS i KO są widoczne i mocno zarysowane, jednak nie tak głębokie, jak mogłoby się wydawać. Nawet mniej lub bardziej pozorna zgoda co do diagnozy danej sytuacji nie przekłada się jednak na poparcie w zakresie realnych działań podejmowanych przez polityków. Co jednak charakterystyczne, niektóre – zwłaszcza te stricte niepolityczne – projekty i pomysły strony rządowej mają poparcie przynajmniej części (nierzadko niemałej) wyborców KO. Tytułowa ściana z piosenki Lady Pank może okazać się bardziej krucha, niż wydaje się to, sądząc jedynie po wynikach wyborów.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 05b6a45e9a

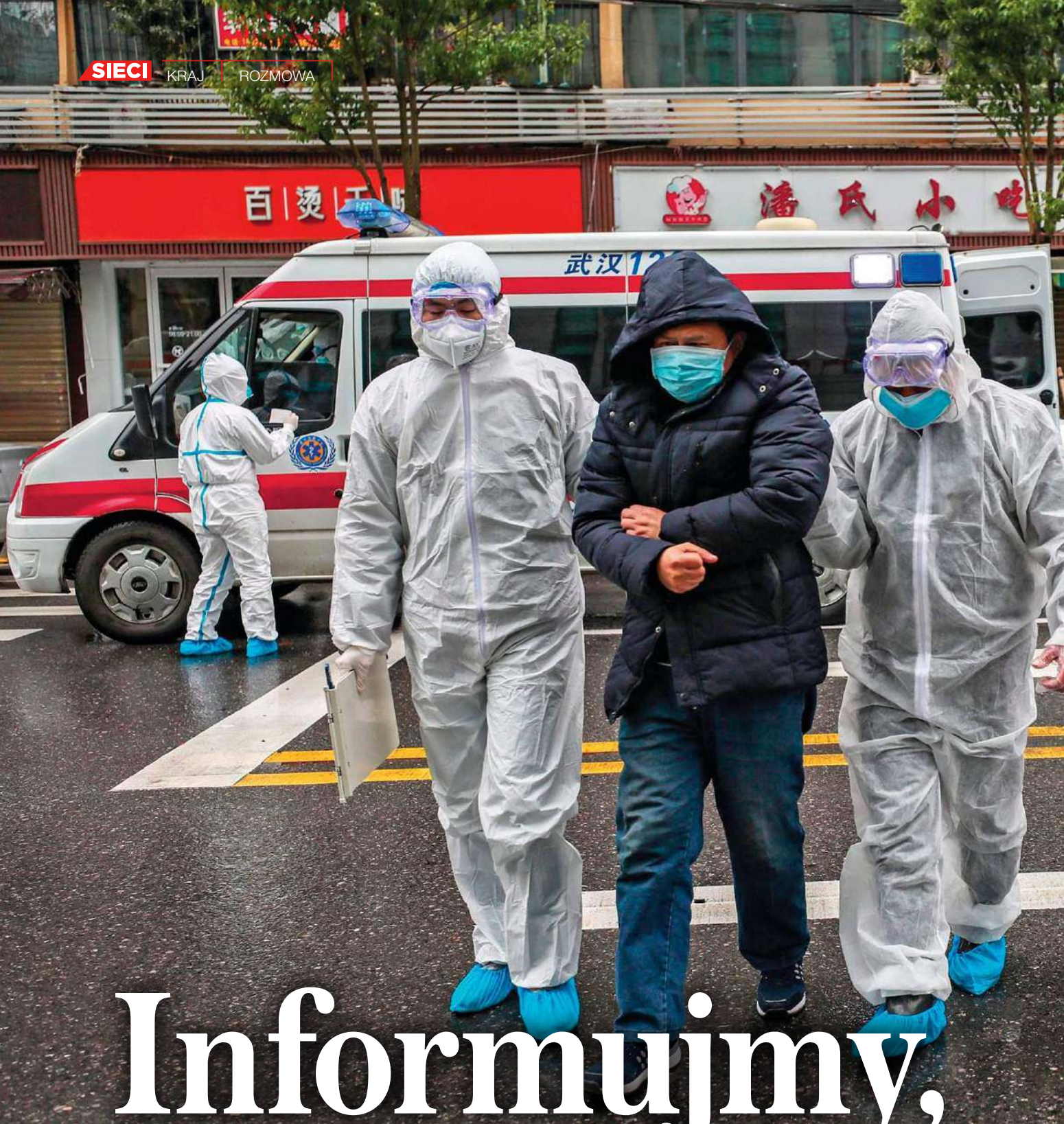

Informujmy, a nie straszmy

eprasa.pl 05b6a45e9a

Fot. STR / AFP / EastNews

Łagodny wirus, a jeśli wierzyć statystykom publikowanym przez Chińczyków, taki wydaje się koronawirus z Wuhan, ma większe możliwości replikowania, jest czas na to, by zarazić innych ludzi. W przypadku złośliwego wirusa szybko niszczy on komórki swojego nosiciela, doprowadza do jego śmierci, więc ma mało czasu, by się mnożyć i przenosić na innych nosicieli

Z prof. dr. hab. Andrzejem Horbanem, konsultantem krajowym w dziedzinie chorób zakaźnych, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Rozmawiamy w dniu, w którym odnotowano trzy kolejne przypadki chińskiego koronawirusa w Bawarii. Odizolowano 11-milionowe miasto Wuhan i mimo to Chińczykom nie udało się stworzyć takiego kordonu sanitarnego, żeby wirus nie przedostawał się dalej. Już w 18 krajach są pojedyncze przypadki.

Prof. dr. hab. Andrzej Horban: W dzisiejszych czasach masowych wędrówek ludzi po cały świecie jest to niemożliwe.

W 2002 r. inny wirus, SARS, zaatakował także w Chinach, ale władze zabroniły o tym pisać i powiadomiły Światową Organizację Zdrowia (WHO) cztery miesiące później. Osiem tysięcy zachorowań w 28 krajach świata, ponad 700 zgonów.

To było niewielkie ognisko w Hongkongu i był to inny wirus, który charakteryzował się bardzo wysoką śmiertelnością, różnie to podają – od 10 do 30 proc. chorych zmarło. Z reguły tak jest, że jeżeli wirus jest bardzo złośliwy, namnaża się bardzo gwałtownie, powodując albo bezpośrednio zniszczenie komórek organizmu, co nazywamy reakcją cytopatyczną, albo dzięki gwałtownej reakcji układu immunologicznego epidemia szybko wygasa, dlatego że wirus nie ma czasu, żeby się przenieść na innych ludzi. Wirus sam nie egzystuje, choć ma szanse na przetrwanie poza organizmem nosiciela i czasami mu się to udaje. To tak jak rozbity statek kosmiczny – nic tam nie działa, on sobie w tej przestrzeni kosmicznej dryfuje i nagle trafia na stację, która pracuje. Dołącza się do niej i zmusza ją do produkowania jego replik. I te repliki niszczą tę stację dokumentnie. Jeżeli jest to łagodny wirus, ma większe możliwości replikowania, jest czas na to, by zarazić innych. W przypadku złośliwego wirusa szybko niszczy on komórki swojego nosiciela, doprowadza do jego śmierci, więc ma mało czasu, by się mnożyć i przenosić na innych nosicieli.

A koronawirus w Chinach? Do jakiej kategorii należy?

Kiedy się patrzy na statystyki, które publikują Chińczycy, to on na razie jest łagodny, jeżeli oczywiście wierzyć statystykom. Jest nowym wirusem, pierwsze zachorowania miały miejsce na początku grudnia ub.r., a zidentyfikowano go i przeprowadzono sekwencjonowanie jego genomu kilkanaście dni temu. Generalnie rzecz biorąc, jeżeli wirus daje około procenta śmiertelności, to oznacza, że on przez dłuższy czas u chorych się namnażał, a zatem zaraża więcej osób. Ta epidemia nie wygaśnie tak szybko jak epidemia SARS.

Wirus z Wuhan nie spełnia kryteriów broni biologicznej. Wirus użyty jako broń biologiczna powinien zabijać 20–30 proc. zarażonych

Co roku mamy epidemię grypy. Te wirusy też się mutują, każdego roku jest

eprasa.pl 05b6a45e9a

inna szczepionka. Czym się różni ten koronawirus od wirusa grypy?

To jest zupełnie inny wirus. Ale cel ma ten sam – organem, w którym dobrze się czuje i namnaża, są komórki układu oddechowego. O tyle istnieje podobieństwo, że objawy w obu przypadkach są dość podobne.

Wirusy grypy są groźniejsze?

Są mniej więcej takie same, może te wywołujące grypę sezonową są nawet łagodniejsze. Ale też dają około pół procenta śmiertelności, i to w tych samych grupach – u ludzi starszych, przewlekle chorych, z osłabionym układem immunologicznym.

Skąd się wziął koronawirus w Wuhan?

Zmutował, na świecie istnieje całe mnóstwo wirusów, generalnie dzielą się na wirusy DNA i RNA. Te RNA są replikowane, składane dość niechlujnie. Enzymy, które powodują przyspieszenie replikacji takiego wirusa, mylą się dość często. Większość tych źle złożonych wirusów nie ma zdolności replikowania się, nikomu nie zagrażają i giną. Ale czasami się zdarza, że nagle ten mutowany wirus trafia do komórki, w której świetnie się mnoży. I tak prawdopodobnie tutaj do tego doszło. Większość nowych chorób wywołują zmutowane wirusy odzwierzęce. Łącznie z HIV.

Podobno pierwszym ogniskiem choroby był targ rybny w Wuhan. Coś, co tam sprzedawano, mogło być nosicielem koronawirusa?

Bardzo możliwe, że któreś z żyjątek tam sprzedawanych. Chińczyk je wszystko, też na surowo. Co prawda my także jemy, np. sushi. Albo tatara. Albo sałatę – czasami zdarzają się w niej robaczki, które przeoczymy. A wirusy w nich też mogą być.

Takie wydarzenia jak w Wuhan wywołują różne spekulacje i teorie spiskowe. Pojawiła się teoria, że ponieważ w tym mieście znajduje się krajowe laboratorium biologiczne, wirus mógł się stamtąd „wymknąć". Podobno już w 2017 r. Amerykanie przed tym ostrzegali.

Ten wirus nie spełnia kryteriów broni biologicznej. Wirus użyty jako broń biologiczna powinien zabijać 20–30 proc. zarażonych.

Może on był jeszcze w fazie prób?

Trudno powiedzieć... Ale mówiąc serio, wydaje się to bardzo mało prawdopodobne.

Wielkie epidemie, takie jak dżuma, która w XIV w. zabiła 100 mln osób, przeszły już do historii?

Dżumy nie mamy, ale epidemia cholery... choć oczywiście skala nieporównywalna.

W XXI w. chyba nie odnotowano wielkich epidemii?

Takich nie, ale przecież zakażenia HIV wywołujące AIDS to pandemia. Gdyby nie to, że włożono olbrzymie pieniądze i wysiłek intelektualny w stworzenie leków, to w tym momencie, np. w niektórych krajach afrykańskich, gdzie jest zakażone 25–30 proc. ludzi w wieku prokreacyjnym, ci chorzy już by nie żyli. A od momentu wykrycia wirusa HIV zmarło prawie 30 mln zarażonych. I to jest właśnie ta klasyka – wirus, który nie zabija od razu, w związku z tym się przenosi, choć nie jest tak łatwo się nim zakazić, i powoduje, że liczba chorych jest większa. Gdyby zabił swojego gospodarza, tak jak powiedzmy wirus Ebola w ciągu paru godzin czy nawet paru dni, to nie rozprzestrzeniałby się dalej.

Wróćmy do wirusa z Wuhan. Tam są ogniska tej choroby, w innych krajach jeszcze ich nie odnotowano, choć osoby zarażone pojawiły się w 18 krajach.

Na razie chorują osoby, które uległy zakażeniu w ognisku miejscowym, czyli w Wuhan i okolicach. Te osoby podróżują i rodzi się pytanie, czy wirus przywieziony przez nie samolotem w nowe środowisko będzie się dalej przenosił z człowieka na człowieka. Jeżeli będzie, to mamy następne, wtórne ogniska.

Zachorował Niemiec, który miał na terenie swojego kraju kontakt z Chinką prowadzącą szkolenie w jego firmie.

Ten scenariusz jest prawdopodobny, ale ten wirus w warunkach innego kraju może złagodnieć, ale też może stać się bardziej złośliwy.

Czy szczepienie na grypę może nas w jakiś sposób uchronić przed zarażeniem tego typu koronawirusem?

Grypa jest relatywnie rzadką chorobą, jeżeli porównamy ją z klasycznymi, typowymi objawami nieżytu górnych dróg oddechowych, spowodowanych infekcjami wirusowymi. Jednym z najczęstszych patogenów człowieka są, nawiasem mówiąc, koronawirusy. Każdy z nas co najmniej raz na rok, dwa lata zapada na tzw. przeziębienie. Grypa jest chorobą, która przebiega dużo ciężej niż zwykłe przeziębienie. Jeżeli wirus grypy trafi na osobę starszą, chorą, z nowotworem, to zabija. Czasami w ciągu kilkunastu godzin powoduje zapalenie płuc albo zespół ostrej niewydolności oddechowej, a w tym ostatnim przypadku, nawet w warunkach oddziału intensywnej terapii, śmiertelność sięga 50 proc. Dlatego przekonujemy ludzi,

eprasa.pl 05b6a45e9a

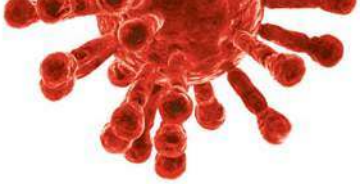

żeby szczepili się na grypę. Bo jeżeli jest choroba, która zabija starszych i chorych i można się na nią zaszczepić, to warto w to zainwestować 20 zł.

Ten koronawirus z Wuhan też powoduje zapalenie płuc, ale nie ma szczepionki, która by przed nim chroniła.

Nie ma i jeszcze długo nie będzie, a jak już będzie, to nie w takich ilościach, żeby opanowała epidemię. Produkcja musi potrwać, podobnie jak mieliśmy w przypadku grypy Ah1N1, niesłusznie zwanej świńską. Podniósł się krzyk, że trzeba kupić szczepionkę i nagle się okazało, że wystarczy jej dla 20 proc. populacji.

Ile trwa wyprodukowanie szczepionki od momentu odkrycia nowego wirusa i określenia jego genotypu?

Wszystko zależy od tego, jaki to wirus, jak się replikuje, czy można go złożyć sztucznie, czy tak jak w przypadku wirusa grypy szczepionka musi być robiona na jajkach kurzych.

A średnio ile czasu trwa wyprodukowanie takiej szczepionki?

Różnie. Minęło 30 lat i szczepionki na HIV nie ma.

Zatem w przypadku koronawirusa z Wuhan nie ma co się spodziewać, że 11 mln mieszkańców tego miasta może zostać zaszczepionych?

Ale prace nad tą szczepionką już rozpoczęto.

Czy Polska jest przygotowana do tego, że może u nas wystąpić epidemia spowodowana tym koronawirusem?

Zależy, jaki miałby być zakres takiej epidemii. Na razie nie widać, żeby był jakiś gigantyczny. Na dzisiaj, 30 stycznia, nie mamy w Polsce odnotowanych żadnych przypadków.

Za naszą zachodnią granicą już są. Koronawirus może się stamtąd do nas przedostać?

Raczej jest to niemożliwe, na razie chorują ci, którzy byli w Wuhan.

Czy ludzie stamtąd wracający, np. polscy studenci, są poddawani kwarantannie?

Nie, nie ma takiego przepisu, żeby zdrowych ludzi poddawać kwarantannie, izolować. Decyzję o kwarantannie podejmują minister zdrowia lub Główny Inspektor Sanitarny, jeśli ogłosi się stan epidemii. A tu epidemii jeszcze nie ma. Na lotniskach jest wdrażana znana z innych epidemii normalna procedura. Jeżeli ktoś nie ma objawów, nie czyni się w stosunku do niego żadnych działań. Kwarantanna ma sens, jeśli jest to epidemia, która zabija nie 1 proc., tylko od 30 do 90 proc. zarażonych. Tak się postępuje w przypadku ognisk Eboli.

Szef Światowej Organizacji Zdrowia, będąc z wizytą w Pekinie, powiedział, że Chiny sobie same poradzą z epidemią. No i w tym przypadku zastosowano bardzo szybko procedury, informując o niej odpowiednie instytucje i opinię publiczną. Inne państwa były przygotowane na to, że zawitają do nich potencjalnie zarażeni wirusem z Wuhan.

W tej chwili jesteśmy na tym etapie, kiedy ludzi mogących mieć styczność z koronawirusem poddaje się nadzorowi epidemiologicznemu. Tzn. mówi się że jeżeli w ciągu dwóch tygodni po powrocie z tej miejscowości, w której miały miejsce masowe zachorowania, wystąpi u nich gorączka czy objawy ze strony układu oddechowego, np. kaszel, powinni się zgłosić do lekarza.

> Większość nowych chorób wywołują zmutowane wirusy odzwierzęce. Łącznie z HIV

Przez te dwa tygodnie mogą zarazić innych, z którymi się stykają.

Albo i nie zarażą, bo tego jeszcze nie wiemy. Nie ma zaleceń, aby takich obywateli izolować i nikt się jeszcze na to nie zdecydował, oczywiście poza władzami chińskimi, które kwarantanną objęły całe miasto.

Niektóre kraje decydują się, żeby zabrać z Wuhan swoich obywateli. Czy to dobry pomysł?

Jeżeli jest epidemia, która może zagrażać zdrowiu i życiu nawet jednego procenta, to w dobrze pojętym interesie swoich obywateli państwo może zaproponować, że ich stamtąd ewakuuje.

Czy jeśli po 5 stycznia nie spotkaliśmy na naszej drodze nikogo, kto wrócił z Wuhan, możemy się czuć bezpieczni?

Tak. Na razie tak, ale nie wiemy, jak się sytuacja rozwinie za miesiąc czy dwa.

Można zarazić się tylko drogą kropelkową? A co z produktami sprowadzanymi z Chin?

W ten sposób koronawirus się nie przeniesie, to musi być żywy organizm. W dzisiejszych czasach luksus podróży lotniczych sprawia, że taki pasażer na gapę w naszym organizmie ma ułatwione zadanie.

Czy jesteśmy dobrze informowani o tym, co się dzieje w Chinach i jakie to może mieć dla nas skutki? Tytuły ze słowami „śmiertelny wirus", „wirus, który zabija" mogą wzbudzać przerażenie.

A to już efekt państwa, dziennikarzy, twórczości. Obywatel powinien być informowany, a nie straszony.

Czy polski system ochrony zdrowia jest przygotowany na to, że nagle może się okazać, że z każdym objawem przeziębienia będziemy na wszelki wypadek szturmować SOR?

Jeżeli media rozkręcą histerię, to może tak być.

Żyjemy w czasach, kiedy sensacja sprzedaje się lepiej niż informacja.

W tym przypadku to przede wszystkim kwestia odpowiedzialności.

Prof. dr hab. Andrzej Horban, konsultant krajowy w dziedzinie chorób zakaźnych, zastępca dyrektora ds. medycznych Wojewódzkiego Szpitala Zakaźnego w Warszawie, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych dla Dorosłych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, ordynator oddziału VII Wojewódzkiego Szpitala Zakaźnego w Warszawie, wiceprezes zarządu Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych

eprasa.pl 05b6a45e9a

Wyroki sądów już się komentuje

Nie ma w Polsce gazety, która by nie opisywała nadużyć, zaniedbań, a czasem i łamania prawa ze strony sędziów, jednak dopiero program TVP „Kasta" postawił tezę, że chodzi tu nie o pojedyncze, rozproszone przypadki, ale efekt patologii trzeciej władzy. Patologii systemowej

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Każdy odcinek obejrzało ponad milion widzów, a do 29 stycznia wyemitowano tych odcinków osiem. Krótkie, dynamiczne, dosadne – opowiadające o pojedynczych sprawach, w których nieuczciwość, beztroska, zaniedbania lub lekceważenie ze strony wymiaru sprawiedliwości sprawiły, że zwykli ludzie stali się bezradnymi ofiarami oszustów. – Kiedy o programie zrobiło się głośno, do redakcji zaczęły napływać listy i maile od ludzi poszkodowanych przez wymiar sprawiedliwości – opowiada prowadzący program Miłosz Kłeczek. – Zgłaszają się indywidualne osoby, stowarzyszenia – wyjaśnia.

Każda historia jest osobnym dramatem konkretnego człowieka, konkretnej rodziny. Tragedie ludzi bezbronnych wobec obojętności sędziów dostały wreszcie imiona, nazwiska i twarze. Każdy widz zapewne wskazałby inny odcinek, który zdumiał go najbardziej. Może będzie to przypadek Leszka Struzika, który zapożyczył się u małżeństwa L., żeby móc dalej prowadzić firmę. Można by jeszcze przejść do porządku dziennego nad tym, że odsetki były lichwiarskie, a zasady oddania kwoty niejasne, problem polega na tym, że zwrot negocjowała żona wierzyciela – sędzia (!) Dorota Lenarczyk orzekająca w Sądzie Rejonowym w Żywcu. Struzik nagrał rozmowę telefoniczną, w której sędzia mówi językiem bliższym amerykańskim filmom gangsterskim niż przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości: „Każda wojna ma ofiary – mówi do dłużnika, gdy ten zapowiada walkę z lichwiarzami. – Nie ma na wojnie wygranych ani przegranych" – stwierdza Dorota Lenarczyk, co w prostym języku brzmiałoby po prostu: nie zaczynaj z nami, bo pożałujesz. – Pokazaliśmy to w „Kaście" – komentuje Kłeczek, który tę sprawę poznał w trakcie przygotowywania programu. – Teraz pan Leszek obawia się zemsty – dodaje.

Nie każdy jednak okazał się takim wojownikiem jak Leszek Struzik. Reporterzy TVP Info jeden z odcinków „Kasty" poświęcili Ryszardowi Gasparskiemu, któremu źle naliczono podatki, a ten błąd urzędników kosztował go wolność, majątek i zdrowie. Zdjęcia ciężko chorego mężczyzny leżącego w łóżku pod tlenem, modlącego się tylko o to, by anulowano mu długi, które są wynikiem utraty przez niego firmy i tymczasowego aresztowania, są naprawdę wstrząsające. „Wrak człowieka" – komentuje córka jego stan psychiczny, gdy wrócił z aresztu. Za czteromiesięczny pobyt dostał odszkodowanie w kwocie 25 tys. zł, ale zakończonej działalności gospodarczej nikt już panu Gasparskiemu nie zwrócił.

To zresztą ciekawe, że większość ofiar niesprawiedliwości omawianych w programie „Kasta" stanowią przedsiębiorcy. Robert Kwiatkowski ze Skierniewic nie może się doprosić wyroku w sprawie kwoty za koparkę, która była

eprasa.pl 05b6a45e9a

mu potrzebna do realizacji kontraktu. Majątek innego przedsiębiorcy, Wiktora Chruściela, został sprzedany za bezcen. „Gdyby sąd działał prawidłowo, to nie byłoby sprawy pana Chruściela" – przekonuje w programie senator niezależna Lidia Staroń, legenda poszkodowanych przez sądy, która od lat pomaga ludziom mierzyć się z meandrami wymiaru sprawiedliwości. „Majątek został sprzedany z wolnej ręki, czyli przeciwko przepisom, bezprawnie. I to za grosze. Finalnie udało się skazać komornika, ale nie sędziego, gdyż sędzia udał się w stan spoczynku". Nieżyjący już Zbigniew Parowicz z Konradowa pod Olsztynem też miał gospodarstwo i ogromny szacunek okolicy. Po niemożności spłaty połowy kredytu na czas (całość opiewała na 60 tys. zł) jego majątek zlicytowano szybciej, niż mógł zgromadzić pieniądze – jednak nabywcy wystarczyło wpłacić jedynie wadium w wysokości 32 tys. zł (na 270 tys. zaoferowanej kwoty!), by przejąć gospodarstwo.

Cała Polska zna już przypadek niesłusznego aresztowania Romana Kluski, którego plany biznesowe produkcji komputerów Optimus zostały zaprzepaszczone. Kluska to jednak przykład najbardziej spektakularny, ale czy mniejsi przedsiębiorcy nie zasługują też na to, by ich historie ujrzały światło dzienne?

Unikanie odpowiedzialności to kolejny wątek programu. Małgorzata M.-N., orzekająca w Zawierciu, za jazdę po pijanemu została zawieszona, ale choć nie może orzekać, to wypłaty otrzymuje. Mając 3 promile alkoholu we krwi, każdy zwyczajny kierowca straciłby i prawo jazdy, i reputację, ale prezes Sądu Rejonowego w Zawierciu Monika Jurek-Dziuba przekonuje, że Małgorzata M.-N. to przecież „bardzo dobra sędzia, merytoryczna". I przez 10 miesięcy poza zawieszeniem nie spotkała ją żadna inna kara.

Większość przypadków z „Kasty" opisywały już wcześniej media: „Rzeczpospolita" o pijanej sędzi z Zawiercia informowała już w kwietniu 2019 r., zmagania Wiktora Chruściela z nieuczciwym komornikiem Polsat pokazywał latem 2016 r. Zabójstwo Henryka T. opisywał portal wPolityce.pl. „Sprawa dotyczyła brutalnego pobicia w styczniu tego roku we wsi Bzite w gminie Krasnystaw. 38-letni Henryk T., jadąc samochodem, przypadkowo ochlapał błotem Pawła S., który szedł z koleżanką. Ochlapany wraz z kolegą pojechał pod dom kierowcy, gdzie brutalnie go pobili na oczach jego bliskich". Pobity zmarł w szpitalu, a winni jego śmierci dostali niezwykle łagodne wyroki – pięć i cztery lata. W „Kaście" możemy się też przekonać, jak miejscowość, z której pochodzą sprawcy, ogarnięta jest atmosferą strachu – mało kto chce się wypowiadać w sprawie niebezpiecznych bandytów. O sędzi Dorocie Lenarczyk „Wiadomości" TVP informowały już dwa lata temu – skąd więc napięcie wśród antypisowskich publicystów, którzy program potępili jeszcze przed ukazaniem się pierwszego odcinka?

> Większość przypadków z „Kasty" opisywały już wcześniej media. Skąd więc napięcie wśród antypisowskich publicystów, którzy program potępili jeszcze przed ukazaniem się pierwszego odcinka?

„Swego oburzenia nie kryje część przedstawicieli środowiska sędziowskiego" – komentowała redakcja Radia Zachód. „Ich zdaniem niedopuszczalne jest promowanie nowego programu przy wykorzystaniu fragmentów wypowiedzi samych sędziów". Mowa o sędzi Irenie Kamińskiej, która na jednym ze spotkań sama nazwała środowisko sędziowskie „nadzwyczajną kastą", a jej słowa stały się mottem prezentowanym na początku każdego odcinka programu. Agnieszka Kublik przekonuje w „Gazecie Wyborczej": „Tak, chodzi o to, by otworzyć kolejne telewizyjne okienko, z którego będzie można przez pięć dni w tygodniu szczuć na tysiące ludzi w togach". Dlaczego jednak setek rozproszonych materiałów we wszystkich mediach w kraju Kublik nie wskaże jako „szczucie"?

Tymczasem „Kasta" to wierzchołek góry lodowej – pokazuje na żywych przykładach dowody na to, co wielu Polaków widziało od dawna – że w konfrontacji z wymiarem sprawiedliwości to uczciwy człowiek jest często zagrożony aresztem, komornikiem, bankructwem. Autorzy programu wspominają o nieuczciwym komorniku, lekceważących rzeczoznawcach, prezesie spółdzielni, który był panem życia swoich lokatorów – pokazują więc patologię urzędników w togach. Zahaczył także o inne ciemne strony III RP – przejęte przez partyjne nomenklatury spółdzielnie mieszkaniowe, windykatorów i komorników, których praca polegała nie na pomaganiu ludziom, ale na doprowadzaniu ich do totalnej biedy.

„Ja myślę, że wyroków sądowych i boskich się nie komentuje, tylko się wykonuje" – wspomniała niedawno z poczuciem wyższości I prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzata Gersdorf. Faktycznie przez 30 lat orzeczenia sądowe były objęte aurą świętości i wolno było je tylko kwitować słowami: „Wyroków sądów się nie komentuje". Jednak tak jak każdy pracownik odpowiada za efekty swojej pracy, także za błędne decyzje, zaniechania, szkody, tak sędziowie powinni podlegać takim samym prawom.

Na razie jedyną konsekwencją błędów i lekceważenia spraw ze strony pokazanych sędziów jest wspomnienie o nich w programie TVP – a przecież telewizja nie zastąpi sprawiedliwości w sądach. – Zajmujemy się sprawami sprzed 20 lat, które do dziś mają przykre konsekwencje dla naszych bohaterów. To jest teraz nasza misja. Pomagać, interweniować, opisywać patologie – komentuje Kłeczek, po czym dodaje: – System niech reformują inni, do tego powołani.

Czy jednak do reformy tak okrzepłego systemu wystarczy determinacji, sił i przede wszystkim społecznego poparcia?

eprasa.pl 05b6a45e9a

Albo pudrujemy, albo reformujemy

W życiu zawodowym, gdy dochodzi do ochrony własnych interesów, moi dawni mentorzy zaprzeczają temu, czego uczą – mówi w rozmowie z Marcinem Fijołkiem Marcin Warchoł, wiceminister sprawiedliwości, poseł PiS

Mogę zacząć od pewnej wypowiedzi o panu?
Marcin Warchoł: Bardzo proszę.

„Inteligentny facet o rozległej wiedzy prawniczej, on rozumie absolutnie wszystko".
Zaskoczył mnie pan. Nie mam pojęcia.

Prof. Małgorzata Gersdorf.
No proszę... [śmiech]

Dalej tak pięknie nie ma, bo jest i o władzy jak za Gomułki, i o zniszczeniu wymiaru sprawiedliwości. Ale studiował pan u pani profesor, znacie się.
Tak, miałem zajęcia i z prof. Gersdorf, i z prof. Rączką, bywałem też na seminarium naukowym u prof. Safjana. Terminowałem u wielu osób, które stoją dziś po innej stronie w tym sporze.

I nie miał pan nigdy poczucia, że to jednak pana mistrzowie, wykładowcy, mentorzy mają dziś rację?

Oni wpajali mi na studiach i w trakcie doktoratu, że państwo, prawo i demokracja to wartości nadrzędne. W teorii się zgadzamy, gorzej z praktyką...

Jak to w teorii się zgadzacie?
Co do wykładni norm, potrzeby znajomości orzecznictwa, sposobu rozumowania prawniczego, wykładni i interpretacji prawa, zestawienia z innymi systemami prawnymi... Poziom nauczania na UW stoi na wysokim poziomie. Jednak w życiu zawodowym, gdy w praktyce dochodzi do ochrony własnych interesów, moi dawni mentorzy niestety zaprzeczają temu, czego uczą.

Przesadza pan.
A jak inaczej nazwać sytuację, w której prof. Rzepliński kilka lat temu wydaje wyrok o wyższości polskiego TK nad TSUE, a teraz zapytany, czy prawo pozwala używać sędziom tóg podczas manifestacji poza sądem, odpowiada, że „to jest zgodne z potrzebą". To nihilizm prawny. Sędziowie łamią prawo, strojąc się w piórka praworządności.

A może nie potrafiliście z sędziami rozmawiać? Abstrahując od oceny samej reformy, Gowin jakoś z nauką sobie poradził. A tam też przecież korporacyjne interesy, zabetonowany status quo i niechęć do zmian.
Przypomnę, że Gowin próbował zmian w wymiarze sprawiedliwości i niewiele zdziałał. Wszystko spotkało się z dezaprobatą i potępieniem. Już ustawa z 1998 r. o odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy w latach 1944–1989 sprzeniewierzyli się niezawisłości sędziowskiej, miała na celu rozliczenie sędziów za czasy komuny, ale prawnicze środowisko ją zbojkotowało. W efekcie przez te wszystkie lata mieliśmy w takich sprawach 42 odmowy wszczęcia, pięć umorzeń i uniewinnień i tylko jeden sędzia wydalony. Sędziowie wybierali do KRS sędziów w ramach korporacji – mimo skrajnie krytycznych ocen Stępnia i Rzeplińskiego o pracy tego organu, gdzie ten pierwszy określił go jako miejsce „zaklepywania" kandydatów na sędziów przynoszonych przez polityków, a drugi nazwał go „państwowym związkiem zawodowym konserwującym interesy źle służące polskiemu sądownictwu" i mówił wprost o „korporacyjnym układzie". Dziś o tym ci panowie jakby zapomnieli. Z kim więc mamy rozmawiać? Co mamy wypracować?

Kompromis? Zmiany akceptowalne przynajmniej na podstawowym poziomie, by uniknąć dualizmu prawnego?

eprasa.pl 05b6a45e9a

Fot. Andrzej Wiktor

Ale tu chodzi o suwerenność narodu, demokratyczny wpływ na sędziów, o podstawowe zasady państwa prawa. Zresztą, gdy prosiłem o rozmowę w 2017 r. na kongresie prawników w Katowicach, to gremialnie prawie wszyscy opuścili salę. Następnie wiele razy szliśmy na ustępstwa i kompromisy. Przypomnę 3/5 głosów w wyborach członków do KRS to wynik ustępstwa z naszej strony, gdyż wcześniej była zwykła większość, podobnie jak pozostawienie dotychczasowych sędziów w SN wraz prezes Gersdorf, wcześniej zaś w imię dekomunizacji proponowaliśmy przecież obniżenie granicy wieku. Z naszej strony było więc mnóstwo ustępstw i kompromisów, ze strony sędziów zaś w ogóle.

A konkretnie to co próbowaliście zmienić w systemie?

Dostarczyliśmy sędziom sporo narzędzi, dzięki którym można szybko skracać procesy – nie trzeba wysłuchiwać 300 świadków, nie trzeba odczytywać setek stron akt, nie można uchylać pod byle pretekstem wyroków niższej instancji, nie trzeba odczytywać całego obszernego wyroku. To konkretne zmiany i całkowicie niepolityczne – ponad 100 zmian w kpk, doceniane przez szeregowych sędziów. Bo im chodzi o jakość pracy, o sprawiedliwy wyrok, na który nie trzeba czekać latami. Podobnie odciążyliśmy sędziów w postępowaniach upadłościowych, przenosząc ich obowiązki na doradców restrukturyzacyjnych.

To zatrzymajcie się na tym etapie – bez zmian personaliów, awantury o status KRS czy skład izby dyscyplinarnej.

Jeśli ci zwykli sędziowie nadal będą tkwili w systemie korporacyjnym, przywykli do tego, że ich los, kariery, pozycja zawodowa zależą od „tych na górze", a nie od tego, jak pracują, to możemy wprowadzić i tysiąc zmian – wszystko będzie na nic. Wśród KRS było 13,5 proc. sędziów z SN i NSA, a oni stanowią jedynie 2 proc. czynnych zawodowo sędziów. Sędziów rejonowych było w KRS 6,6 proc., a oni stanowią 67 proc. wszystkich sędziów. A obecnie w KRS jest 80 proc. sędziów rejonowych i tylko 20 proc. z wyższych instancji. Rada po reformie jest więc bardziej reprezentatywna dla całego środowiska sędziowskiego. I pan, i ja lubimy piłkę nożną – niech pan sobie wyobrazi, że w drużynie pojawia się nowy trener, ma nowe pomysły, ale starzy zawodnicy mówią: a co on będzie nam mówił, jak mamy grać – my rządzimy sami, bo jesteśmy w tym klubie od lat. I wychodzą na boisko, grając jak zawsze, kompletnie lekceważąc polecenia trenera. A że wyników nie ma? Wina trenera, bo wprowadza zamęt i ma kiepskie pomysły.

Zarzut wobec was jest taki, że chcecie wymienić zawodników i na tym się zatrzymujecie.

Chcemy wprowadzić inny model zarządzania. Daliśmy sędziom liniowym większą władzę: system losowego przydziału sędziów, ograniczenie władzy i wpływów prezesów sądów...

I naprawdę nie chodzi wam tylko o wymianę nazwisk?

O nazwiskach ciągle głośno krzyczą ci, którym korporacyjny system gwarantował władzę i korzyści. Proszę zapytać sędziów liniowych, co im dają nasze zmiany kodeksów karnego i postępowania cywilnego. Chcemy, by w sądach działał menedżerski system zarządzania, a nie korporacyjny. Tylko tyle i aż tyle.

Może po prostu pisowski model zarządzania oparty na ludziach z wami związanych?

Ale których konkretnie ludzi? Sędziów? Przecież sędziowie nie mają nic wspólnego z PiS. My ich nie znamy.

To jaka gwarancja, że będą lepsi od poprzedników?

Gwarancją mają być nie nazwiska, tylko nowy system dający narzędzia do sprawnego zarządzania wymiarem sprawiedliwości.

Nawet jeśli przyjąć pana argumenty, to pytanie o horyzont czasowy zmian pozostaje aktualne. Procesy dalej są długie, a sądy nie działają sprawniej.

Jesteśmy w połowie drogi, reforma trwa, będziemy mogli być oceniani po jej zakończeniu. W sprawach karnych czy z zakresu prawa pracy i ubezpieczeń społecznych już widać poprawę. W tych pierwszych o 20 proc. przyspieszyły postępowania w ciągu ostatnich czterech lat. Wielkie sukcesy

eprasa.pl 05b6a45e9a

przyniosła reforma komorników. Pod koniec naszej ubiegłej kadencji o 30 proc. spadła liczba skarg na komorników, osiągając najniższy w historii wynik, i o prawie 30 proc. zwiększyła się skuteczność postępowań egzekucyjnych. Mogliśmy takie efekty mieć wcześniej, jednak wciąż jest silny opór obrońców korporacji przed realnym wprowadzaniem tych zmian.

Co ma pan na myśli?

Choćby to, że trzeba pozwolić pracować tym sędziom, którzy zostali wybrani przez demokratyczną KRS. Tymczasem na skutek uchwały SN kilkuset sędziów znalazło się w trudnej dla siebie sytuacji, nie wiedzą, czy mają orzekać, odraczać, czy wyłączać się od orzekania. Na szczęście TK wydał postanowienie o tymczasowym uregulowaniu kwestii spornych i wstrzymaniu stosowania bezprawnej uchwały SN.

Pokażcie listy poparcia pod ich kandydaturami i ważny argument zniknie.

Podpisy to tylko pretekst do blokowania zmian, bo ci „na górze" korporacji doskonale wiedzą, że nowi sędziowie nie zostali wybrani dzięki poparciu lokalnych układów czy sitw. Dlatego są obcy, wręcz trędowaci, bo korporacja nie ma nad nimi kontroli. Powtarzam – my kończymy z korporacyjnym układem.

Powie ktoś: w zamian proponujecie polityczny. Albo korporacyjno-środowiskowy, bo to ludzie kojarzeni z Warchołem czy Ziobrą.

Bzdura, dziś to społeczeństwo decyduje, wybierając swoich przedstawicieli do parlamentu, a oni sędziów – niezależnych! – do rady sądownictwa. Taka demokracja nie jest idealnym modelem, ale po stokroć lepszym niż niepodlegający żadnej kontroli system korporacyjny. Mamy albo demokrację, albo kooptację – w Niemczech były prezes TK Hans-Jürgen Papier napisał wprost, że demokratyczna zasada suwerenności narodu nie pozwala na wybieranie sędziów przez sędziów. I sędziowie są najlepiej oceniani w UE właśnie tam, gdzie korporacja nie dyktuje warunków.

Cały czas widzę ruchomy horyzont: jak nie zmiany w TK, to w KRS, jak nie spór o I prezesa SN, to o Juszczyszyna. I zawsze ta sama przyśpiewka: jeszcze tylko ten etap i będzie w porządku. A nie jest.

Doskonale rozumiem zniecierpliwienie. Ale takie zmiany to długotrwały proces, nie da się w cztery lata zmienić mentalności i struktur, które nierzadko zostały przyniesione na sowieckich bagnetach w 1945 r.

Przesadza pan. Gersdorf następczynią sędziów z czasów stalinizmu? Odpowiedzą panu przypadkiem sędziego Zabłockiego z piękną kartą w czasach komunizmu.

Skoro pan już wspomniał o SN, to akurat w nim kooptacja, czyli decydowanie na zasadzie koleżeńskiego układu, kto zostanie sędzią, opracowano do perfekcji. Przypomnę, że przed naszą reformą sędzia aspirujący do SN musiał mieć zgodę przyszłych kolegów z SN, czy może wstąpić do tego szacownego grona. Dziś SN nie ma tu nic do powiedzenia. Dlatego pod ostatnią nielegalną uchwałą podpisało się część młodych sędziów, którzy awans zawdzięczają starym. Taki system kooptacji pozwala więc utrwalać jednolitość myślenia i „właściwą" postawę.

Jak duża część sędziów jest przeciw wam?

To grupa niewielka, ale głośna i wpływowa, związana z tzw. sędziami pałacowymi. Rozmawiam często z sędziami liniowymi: sądów rejonowych czy okręgowych – nawet gdy mają uwagi do zmian ustrojowych, to są zadowoleni ze zmian, które bezpośrednio ułatwiają im pracę. Pewna sędzia powiedziała mi wprost, że nowa procedura karna odbiurokratyzowała sądy.

A może trzeba głębszego resetu i zmiany struktury sądów? Artykuł 180 i ustawienie od nowa całego wymiaru sprawiedliwości.

Analizujemy kwestie struktury, która rzeczywiście jest przerośnięta, ma aż cztery stopnie. Porównujemy to z innymi krajami i staramy się znaleźć optymalne rozwiązania dla lepszego wykorzystania wysiłku i pracy sędziów.

Nie wierzę, że takich gotowych analiz nie ma już w biurkach.

Pracujemy nad tym.

Powiedzą, że to furtka do czystek w sądownictwie.

Od czterech lat słyszymy o rzekomych czystkach i jakoś żadnej nie było. I nie będzie. Rozważamy za to zmianę struktury polskich sądów, np. warto się zastanowić, po co najdrobniejszymi sprawami, jak śmiecenie, na ulicy ma się zajmować sąd.

To kto ma się tym zająć?

Może administracja? Przecież przekroczeniem prędkości przez kierowcę zajmuje się starosta i u starostów jakoś nie ma przewlekłości – a stali się niejako „sędziami". Dlaczego nie zrobić tego samego w sprawach handlu na targowisku bez zgody, nieodgarniania śniegu, braku numerku na domach? Dlaczego ma to wciąż obciążać sądy?

To na co czekać?

Na razie mamy chaos po uchwale trzech izb Sądu Najwyższego.

Ale to by przecięło ten chaos. Ucieczka do przodu.

Zmiany procedur są przygotowywane równolegle do reform organizacyjnych, ale jeszcze raz powtórzę, 700 wolnych etatów czeka na obsadzenie, gdyż zgromadzenia sędziowskie nie chcą opiniować młodych sędziów, dlatego bez rozbicia korporacji żaden przepis, nawet najlepszy, nie naprawi sytuacji.

Rozumiem, że nie ma szans na wspólną kawę i zaproszenie dla dawnej wykładowczyni prof. Gersdorf i dawnego zwierzchnika rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara? Nie dogadacie się?

Ależ oczywiście chętnie wypiję kawę z panią profesor i rzecznikiem, słuchając, jak przyznają mi rację, że obrona korporacji była błędem, że sądy trzeba zreformować i oczyścić z patologii, a nie je pudrować... Zapraszam.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Gwiazda na opak

Jeśli ktoś ma szansę wywrócić w tym roku oscarowe notowania bukmacherów, to Kathy Bates nominowana za rolę w filmie „Richard Jewell" Clinta Eastwooda. 19 lat temu już udała jej się ta sztuka. Dzięki roli w „Misery"

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 05b6a45e9a

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Kathy Bates jest zaprzeczeniem hollywoodzkiej gwiazdy. Spełniając swoje największe życiowe marzenie – o byciu aktorką – od kilkudziesięciu lat dosłownie walczy o zawodową pozycję. Wbrew „niefilmowym warunkom" udowadnia, że jest w swoim fachu doskonała.

Wśród kandydatek do tegorocznej statuetki za drugoplanową rolę żeńską wyprzedzają ją w różnych prognozach i notowaniach, ale ze sporą przewagą: Laura Dern (za rolę w „Historii małżeńskiej"), Margot Robbie („Gorący temat") i Scarlett Johansson („Jojo Rabbit"), a nawet młodsza o 48 lat Florence Pugh („Małe kobietki").

Nominacyjne zestawienie AD 2020 dobrze pokazuje, z czym przez lata mierzyła się Kathy Bates. Hollywood, które w ostatnim czasie zostało zmuszone, choćby do próby znoszenia kolejnych dyskryminacji (najpierw wyeliminowania wszechobecnej rasowej „bieli", potem – na różnych płaszczyznach – dominacji mężczyzn) – z jednym wykluczeniem wciąż nie daje sobie rady.

To z jego powodu nieprzystająca do hollywoodzkich kanonów urody Kathy Bates od początku kariery spotykała się z niewybrednymi komentarzami na temat swojego wyglądu. Wygłaszanymi także publicznie. Musiała też rezygnować z ról, jak po prapremierze sztuki „Lemon Sky", w której zadebiutowała z Christopherem Walkenem. Gdy doceniany spektakl miał zostać przeniesiony na off-Broadway, Kathy wymieniono na inną aktorkę.

Również do filmowych adaptacji sztuk, w których nagradzano ją za role, zapraszano w jej miejsce odtwórczynie młodsze, bardziej atrakcyjne i rozpoznawalne. I tak, m.in. Sissy Spacek zastąpiła ją w „'night, Mother" (1986), a Michelle Pfeiffer we „Frankie i Johnny" (1991).

Paradoksalnie to, co hamowało jej filmową karierę, okazało się walorem przy tworzeniu tytułowej roli w „Misery" (1990), adaptacji prozy Stephena Kinga. Postać gotowej na wszystko psychofanki przyniosła Bates pierwszego Oscara. W pierwszym planie pokonała wtedy m.in. Julię Roberts („Pretty Woman") i Meryl Streep („Pocztówki znad krawędzi").

Gdy odbierała statuetkę, miała 43 lata. Była dwie dekady po debiucie w filmie Miloša Formana „Odlot" (1971, w którym zaśpiewała skomponowaną przez siebie piosenkę) i po wielu rolach w często drugorzędnych produkcjach. Dających jednak szansę na granie.

FILMOWA ZMIANA

Oscar przyniósł mnóstwo filmowych propozycji. Rok po jego zdobyciu Bates znalazła się m.in. w obsadzie „Cieni we mgle" Woody'ego Allena, „Zabaw w Boga" Héctora Babenco, ale przede wszystkim „Smażonych zielonych pomidorów" Jona Avneta. Od tamtej pory zagrała w ponad 80 produkcjach. Najwięcej, bo 26, przypadło na pierwszą dekadę po Oscarze. Były wśród nich m.in. „Dolores" (1995) Taylora Hackforda i „Titanic" (1997) Jamesa Camerona.

Telewizyjny film „Nocna zmiana" przyniósł jej nagrodę Złotego Globu 1997 (pierwszego dostała za „Misery", w sumie ma sześć nominacji do tej nagrody). Za rolę w „Barwach kampanii" Mike'a Nicholsa zdobyła nominację do Oscara w 1999 r. Kolejna szansa na statuetkę Amerykańskiej Akademii Filmowej (AAF) pojawiła się wraz z postacią stworzoną u boku Jacka Nicholsona w filmie „Schmidt" (2002).

Bates próbowała też sił jako reżyser (za serial „Dasha i Lily" z 1999 r. nominowano ją do Emmy), stawała na planie niektórych odcinków m.in. „Sześciu stóp pod ziemią" (2001–2003), ale też „Wydziału zabójstw Baltimore" (1996), „Nowojorskich gliniarzy" (1997) czy „Fargo" (2003).

ZAWALCZYĆ O SIEBIE

W wyjątkowo szczodrym 1991 r. ułożyła sobie też życie prywatne. I chociaż małżeństwo z aktorem Tonym Campisim przetrwało tylko sześć lat, przynajmniej zawodowo aktorce się powodziło.

W 2003 r. przyszła jednak groźna diagnoza: rak jajnika. Bates nie poddała się, pokonała chorobę, ale kinowe oferty przestały napływać. Pozostała telewizja – do grania lub reżyserowania.

W 2011 r. dostała propozycję głównej roli w serialu „Harry's Law". Mimo aktorskiej nominacji do Emmy po dwóch sezonach produkcję zakończono.

W tym samym czasie przyszedł jeszcze silniejszy cios. Kathy Bates usłyszała, że ma raka piersi. Poddała się podwójnej mastektomii, usunięto jej też węzły chłonne, co poskutkowało znacznym ograniczeniem w ruchu oraz silnym bólem jeszcze długo po operacji. Bates zamknęła się w domu. Wspominała później, że czuła się tak, jakby sięgnęła dna. Z czasem postanowiła jednak o siebie zawalczyć. Wyprosiła rolę u producenta serialu „American Horror Story". Dostała za nią nagrodą Emmy i propozycję udziału w kolejnych częściach. Powoli wróciła do zawodu.

Jeśli rola tego nie wymaga, nie zakłada protez. Tłumaczyła w jednym z wywiadów: – Nie mam piersi, więc dlaczego mam udawać, że jest inaczej? To naprawdę nie jest ważne. Jestem wdzięczna, że urodziłam się w czasach, które pozwalały osobom z moją diagnozą przeżyć. Czuję się niezmiernie szczęśliwa, że żyję.

WOJOWNICZKA CLINTA

Amazonka za sprawą choroby, wojowniczka w życiu i pracy, na ekranie reprezentuje kobiety, które nie są ani piękne, ani młode, ani bogate, którym los czasem niesie ciężar trudny do udźwignięcia, ale muszą sobie dać z nim radę. Jak matka tytułowego bohatera w filmie „Richard Jewell". Postać budowana po spotkaniu z prawdziwą Bobi Jewell, z myślą o niej i – co podkreśla aktorka – o oddaniu sprawiedliwości jej synowi. To dla Bates niezwykle ważne.

A czy ta rola przyniesie 71-letniej aktorce Oscara? Decyzje AAF potrafią być zaskakujące.

eprasa.pl 05b6a45e9a

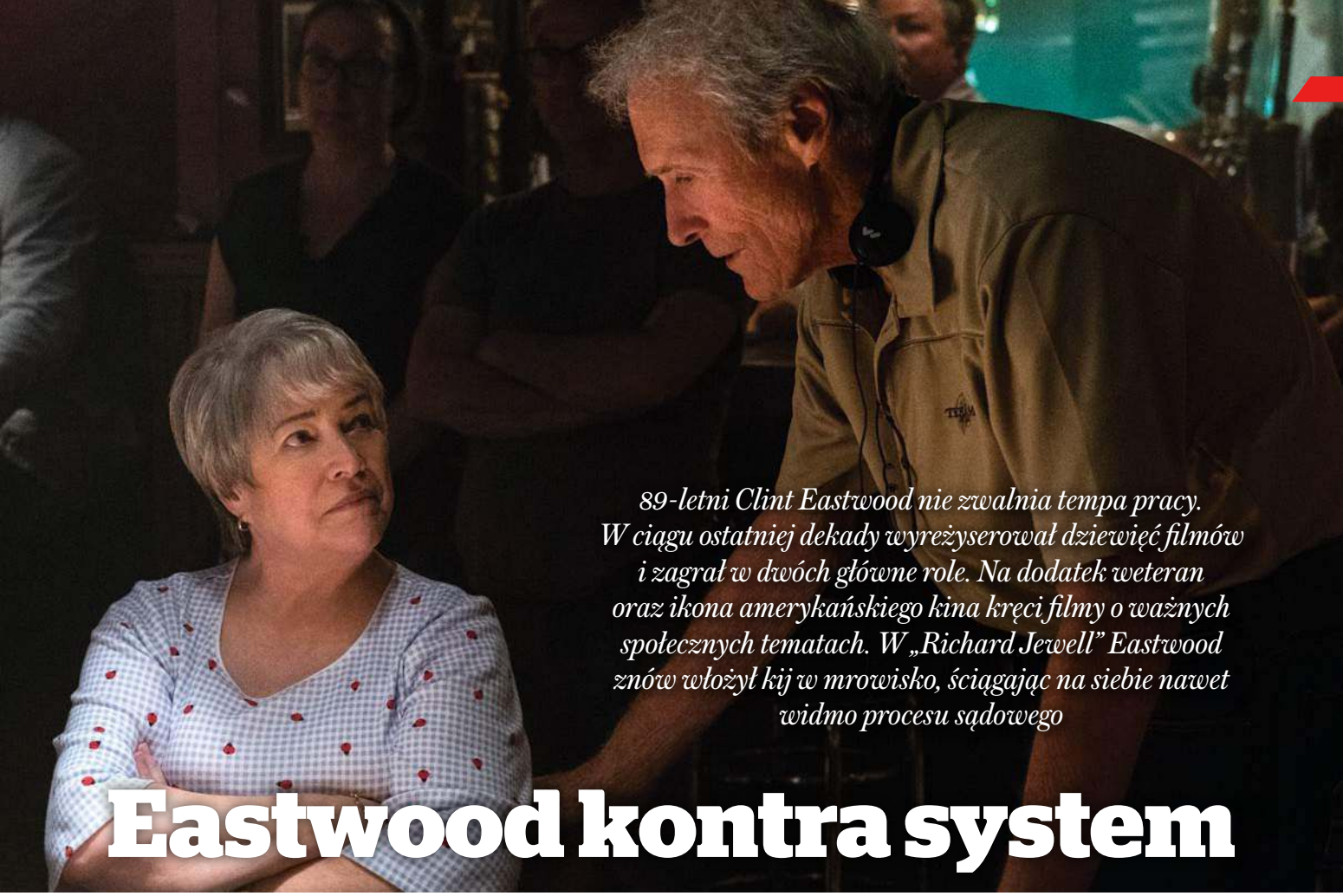

89-letni Clint Eastwood nie zwalnia tempa pracy. W ciągu ostatniej dekady wyreżyserował dziewięć filmów i zagrał w dwóch główne role. Na dodatek weteran oraz ikona amerykańskiego kina kręci filmy o ważnych społecznych tematach. W „Richard Jewell" Eastwood znów włożył kij w mrowisko, ściągając na siebie nawet widmo procesu sądowego

Eastwood kontra system

ŁUKASZ ADAMSKI

Clint Eastwood w ostatnich latach bardzo chętnie sięga po jeden temat. Eastwood zawsze był libertarianinem, nieufającym władzy i celebrującym indywidualizm jednostki. „Richard Jewell" wpisuje się w cykl takiego kina, na który składają się: „Oszukana", „Przemytnik", „Gran Torino" czy „Sully". Eastwood opowiada też o bohaterach, którzy samotnie stanęli w obronie innych. O tym samym był „15:17 do Paryża". O tym jest jego najnowsze dzieło.

Richard Jewell pracował jako ochroniarz Centennial Olympic Park w Atlancie, gdzie 27 lipca 1996 r. (podczas igrzysk olimpijskich) w trakcie koncertu Jack Mack and the Heart Attack doszło do terrorystycznego zamachu. To właśnie on dostrzegł, że pod ławką leży plecak, który był wypełniony ładunkami wybuchowymi. Tylko dzięki jego spostrzegawczości szybko rozpoczęto ewakuację. Gdyby nie jego reakcja (i licho skonstruowana bomba), wybuch zabiłby wielu ludzi. Skończyło się na jednej ofierze śmiertelnej i 112 rannych. Jewell został okrzyknięty bohaterem narodowym. Wywiady, rozpoznawalność na ulicy mimo trwającej olimpiady i propozycja wydania książki – ochroniarz stał się celebrytą.

BOHATER ZAMACHOWCEM?

Szybko sytuacja odwróciła się o 180 stopni. Media ogłosiły, że FBI podejrzewa, iż to Jewell podłożył bombę. Po co, skoro uratował tylu ludzi? Aby stać się herosem i trafić w końcu do policji, o czym zawsze marzył. Jewell pasował do profilu zamachowca. Otyły, mieszkający tylko z matką entuzjasta broni palnej, który przez swoje dziwactwa został zwolniony z funkcji zastępcy szeryfa małej mieściny i ochroniarza w kampusie studenckim – czego policja mogła chcieć więcej? FBI potrzebowała szybko winnego i, według wersji Eastwooda, próbowała go wrobić w zamach. Eastwood nie przez przypadek sięgnął wcześniej po historię Chesleya „Sully'ego" Sullenbergera, który wylądował bohatersko na rzece Hudson, ratując życie 150 pasażerów. Śledztwo w sprawie „uchybień" w procedurach niemal kosztowało go karierę. Jewell jest podobnym bohaterem. Mimo że z narażeniem własnego życia uratował setki osób na koncercie, został przewalcowany przez media i organa ścigania w sprawie, która mogła kosztować do życie. W Georgii za zamach terrorystyczny dostałby krzesło elektryczne.

Eastwood nie tylko wkłada znów kij w mrowisko, przypominając wstydliwą kartę FBI. On bierze swój miecz i tnie po równo wszystkich, którzy byli zamieszani w oczernianie Richarda Jewella (Paul Walter Hauser). Dostaje się „The Atlanta Journal-Constitution", gdzie pojawiły się tabloidowe materiały o śledztwie FBI. Gwiazda gazety Kathy Scruggs (Olivia Wild) została przedstawiona jako cyniczna karierowiczka

Fot. Claire Folger

eprasa.pl 05b6a45e9a

sypiająca z agentem FBI (Jon Hamm) po to, by dostać od niego informacje o śledztwie.

SEKSISTOWSKI FILM?

„Pani Scruggs była doświadczoną reporterką, której metodologia była profesjonalna i odpowiednia, w przeciwieństwie do tego, jak przedstawiona jest w filmie" – napisał w imieniu gazety adwokat Martin Singer. Adwokat dodał, że film pomawia ją o to, że uzyskiwała informacje w zamian za usługi seksualne. Singer zwrócił się do twórców filmu, aby wydali oświadczenie i sprostowanie, w którym „publicznie przyznają się, że niektóre wydarzenia zostały zmyślone". Redaktor naczelny gazety Kevin Riley przypomina, że Scruggs nie może się nawet bronić, bo zmarła w 2001 r. Film został za to mocno skrytykowany przez recenzentów z „New York Times" i „The Rolling Stone". Melissa Gomez z „Los Angeles Times" napisała nawet, że Hollywood od lat pokazuje dziennikarki sypiające ze swoimi źródłami informacji w zamian za dobry temat. Gomez określiła to mianem seksizmu. Clint Eastwood nie pierwszy z takim zarzutem ze strony feministek się spotkał. Scenarzysta filmu Billy Ray bronił się, pisząc, że krytycy skupiają się tylko na jednej minucie z filmu trwającego 129 minut.

Ray miał jednak pewne podstawy, by tak nakreślić dziennikarkę. W książce prokuratora Kenta Alexandra i reportera „Wall Street Journal" Kevina Salwena „The Suspect: An Olympic Bombing, the FBI, the Media, and Richard Jewell, the Man Caught in the Middle" opisują Scruggs jako kobietę na tyle wyzywająco ubierającą się, że wzbudzała niesmak w redakcji swojej gazety. Autorzy napisali nawet, że miała ona „opinię osoby sypiającej ze swoimi źródłami informacji". Jednak już po premierze filmu autorzy książki w rozmowie z „Vanity Fair" przyznali, że ich pięcioletni research nie pozwala postawić tezy, że kobieta rzeczywiście sypiała z mężczyznami za informacje do tekstów. Sama Olivia Wild, grająca dziennikarkę, napisała na Twitterze, że w jej interpretacji Scruggs miała romans z agentem FBI jeszcze przed sprawą Jewella i scenariusz nie sugeruje, że uprawiała z nim seks za przecieki ze śledztwa. „Stała się niestety częścią ogromnej układanki, która doprowadziła do brutalnego i niesprawiedliwego oczerniania niewinnego mężczyzny, Richarda Jewella. I to ta tragedia jest tym, na co ten film próbuje rzucić światło" – napisała aktorka.

NISZCZYCIELSKI SYSTEM

Niestety awantura o postać dziennikarki przysłoniła trochę debatę o Richardzie Jewellu, który był niszczony zarówno przez media, jak i organa ścigania. Eastwood skupia się na tym, jak agenci FBI za wszelką cenę próbują w filmie wykorzystać dobroduszność Jewella. Manipulują nim i łamią jego prawa. Tylko dzięki przebojowości bezczelnego prawnika Watsona Bryanta (znakomity Sam Rockwell) nie udaje im się wymusić od Richarda zeznań. Eastwood buduje akcję według prostego schematu: zaszczuty obywatel kontra skorumpowany system.

Choć nominację do Oscara za rolę matki Jewella dostała Kathy Bates, to największe laury należą się Paulowi Walterowi Hauserowi. Doskonale pokazuje introwertyzm Richarda i jednocześnie jego dziecinną ufność wobec otoczenia. Z drugiej strony jego dziwaczne i niejednoznaczne zachowanie pozwalają zrozumieć wątpliwości FBI. Jedyne, czego pragnął ten facet, to bycie policjantem. Chciał służyć systemowi. To właśnie kurczowe trzymanie się przez niego procedur uratowało ludzi na koncercie. System go oskarżył i niemal zniszczył. On jednak nawet w momentach upokorzeń, jakich doświadczał od FBI, traktował funkcjonariuszy z ogromnym szacunkiem. „Synu, władzę masz za oknem. Ona chce cię pożreć" – mówi do niego zirytowany Bryant. Gdy odkrywają, że w domu Jewella może być podsłuch, oskarżony łamiącym się głosem pyta: „Jak oni mogli to zrobić?". „To proste. Ty się nie liczysz" – odpowiada mu prawnik. Cały Eastwood, znów mówiący, że nigdy nie można ufać władzy.

Clint Eastwood nakręcił film w swoim stylu. Bez żadnych fajerwerków, w tradycyjny sposób pokazuje historię zwykłego faceta zaszczutego przez system. Nie pokazuje procesów, jakie Jewell wytoczył mediom po tym, gdy schwytano prawdziwego zamachowca. Jewell dostał od NBC pół miliona dolarów odszkodowania. Nie wiadomo, jaka była wysokość ugody z „The New York Post" i CNN. Sprawa sądowa z wydawcą „The Atlanta Journal-Constitution" ciągnęła się kilka lat i trafiła aż do sądu najwyższego stanu Georgia. Niestety w jej trakcie w 2007 r. Jewell zmarł w wieku 44 lat przez powikłania związane z cukrzycą. W 2011 r. sąd stanął po stronie niesłusznie oskarżonego ochroniarza.

NAJBARDZIEJ AMERYKAŃSKI REŻYSER

Eastwood tej walki już nie pokazuje. Jego interesuje mechanizm zgniatania jednostki przez państwo i hart ducha, jaki jest potrzebny, by temu walcowi się postawić. Eastwood pozostaje jednak patriotą kochającym swój kraj. Kraj zbudowany na idei wolności i równości wobec prawa. „Oni nie są rządem USA. Oni są fiutami pracującymi dla rządu. Nikt w tym pokoju nie jest lepszy od ciebie" – słyszy przed przesłuchaniem Jewell od swojego prawnika. Władza nie jest lepsza od jednostki – mówi nam Eastwood. System nigdy nie jest lepszy od indywidualizmu. Eastwood od czasu „Wyjętego spod prawa Josey Walesa" pozostaje najważniejszym libertariańskim filmowcem w USA przypominającym nam, na czym polega wolność jednostki i koszmar zaufania sile państwa.

Eastwood znów dowodzi, że jest najbardziej amerykańskim ze wszystkich żyjących filmowców, wierzącym w ostatniego sprawiedliwego kowboja (tym razem w garniturze prawnika), rzucającego, niczym Henry Fonda w „12 gniewnych ludziach", wyzwanie systemowi. Nie jest „Richard Jewell" osiągnięciem na miarę „Snajpera" ani „Million dollar baby". Nie jest też osobistą spowiedzią jak zeszłoroczny „Przemytnik". To solidny, staroświecki (w najlepszym rozumieniu tego słowa) film starego fachury Eastwooda, który – mam nadzieję – będzie kręcił takie filmy do końca swojej kowbojskiej drogi.

REKLAMA | 48/0120/F

eprasa.pl 05b6a45e9a

[1] Na premię w wysokości 600 zł składają się: 200 zł za otwarcie Konta Przekorzystnego Biznes, 200 zł za umowę o terminal płatniczy oraz 200 zł za zawarcie umowy o pierwszy produkt kredytowy – kredyt, pożyczkę lub kartę kredytową Mastercard. Warunki konieczne do spełnienia przez uczestników promocji oraz szczegółowe zasady przyznania nagrody w promocji „600 zł premii i 0 zł za wpłaty PeoPay – III edycja" znajdują się w regulaminie promocji dostępnym na pekao.com.pl/przedsiebiorcy/aktualne-promocje i w oddziałach banku. Promocja trwa do 31.03.2020 r.

Szczegóły dotyczące Konta Przekorzystnego Biznes, w tym warunki darmowego prowadzenia konta, obsługi karty debetowej, a także inne opłaty i prowizje, znajdziesz na pekao.com.pl/przedsiebiorcy i w oddziałach banku. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego. I **Bank Pekao S.A.**

eprasa.pl 05b6a45e9a

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Igraszki na granicy

Sofia (Cécile De France), pełniąca w Watykanie funkcję odpowiedzialnej za marketing, mówi do kardynała sir Johna Brannoxa: „Jest eminencja podobny do mojego ulubionego aktora Johna Malkovicha". Rzecz w tym, że to Malkovich gra Brannoxa. To scena z trzeciego odcinka serialu „Nowy papież". Czyli dalszego ciągu „Młodego papieża".

Zachwalanego przeze mnie z wątpliwościami. Miałem poczucie, że Paolo Sorrentino, którego rozbuchana kreacyjna wyobraźnia uczyniła następcą Federica Felliniego, igra na granicy. Próbuje opowiadać o instytucji, którą tylko częściowo rozumie. Dotyka zagadnień religii, którą rozumie jeszcze słabiej. Niemniej uważałem, że takie spojrzenie z zewnątrz może być ożywcze. I że jako film „Młody papież" bywa sugestywny, a nawet celny w rozmaitych obserwacjach.

Przypomnę, że w „Młodym papieżu" mieliśmy do czynienia z wymyślonym, alternatywnym Watykanem nałożonym na z grubsza realny świat naszej współczesności. Konstrukcja, w następstwie której papieżem został arogancki, błyskotliwy amerykański integrysta Lenny Belardo, grany przez Jude'a Lawa, pozostała wydumana. Ostatnie dziesięciolecia odznaczają się generalnie marszem w inną stronę. Ale pozwoliło to zadać kilka pytań, wyostrzyć parę zjawisk. A urok owego konserwatywnego „reformatora", próbującego w roli Piusa XIII zawrócić historię, był po trosze urokiem samego katolicyzmu z jego jakkolwiek było nakazem miłości.

Tu mamy dalszy ciąg. Pius XIII zapadł w śpiączkę. Następuje krótki pontyfikat Franciszka II, który staje się parodią obecnego papieża, rzecznikiem Kościoła ubogiego, a potem niczym zbawca ma przybyć Brannox, zwolennik „drogi środka". Sorrentino zderza Watykan z anglosaskim, intelektualnym katolicyzmem, ze światem brytyjskiej arystokracji. Temu papieżowi, jak Lenny'emu, funduje rodzinne tajemnice wymagające opieki psychoanalityka. No i znów konfrontuje Kościół z dziesiątkami wątków politycznych, cywilizacyjnych, obyczajowych. Przy okazji czaruje aktorskimi kreacjami. Law, Malkovich są z pewnością wielcy, ale wszystkich przyćmiewa Silvio Orlando jako kardynał Voiello, sekretarz stanu.

Miejscami oczarowany pięknymi zdjęciami i wnętrzami po trzecim odcinku doznaję wrażenia eleganckiego pustosłowia przemieszanego z frywolnym żonglowaniem efektami. Te wszystkie pląsy ponętnych dziewcząt w watykańskich wnętrzach – ich sens pozostaje mocno niejasny. Zarazem są chwile, kiedy się zasłucham. Jak wtedy, gdy w mowie do kardynałów Jan Paweł III (tak, tak) przeciwstawia namiętność czułości.

Są i momenty, kiedy się zastawiam, o co chodzi. Pius XIII jako duch oderwany od ciała przekonuje Brannoxa, że Bóg nie oferuje nam od razu miłości, że trzeba się jej samemu dobić. Cóż, najwyraźniej mamy inne informacje. Ale te wędrówki wokół religijnych mniemań bywają prowokujące do własnych poszukiwań. Choć nie szukajmy tu nadmiernej głębi.

Pewna neutralność świetnego filmowca wobec wewnątrzkościelnych sporów pozwala odbierać serial nie jak agitkę, co zawsze grozi dziełu liberalnego artysty. Choć nadal nie mam pojęcia, co o tym wszystkim twórca filmu o Silvio Berlusconim myśli naprawdę. Na pewno rację miał Jan Komasa, kiedy zauważył, że to jest wyraz zaciekawienia Zachodu religijną duchowością. Tyle że ono nie musi oznaczać realnej woli poznania. Sam Komasa jest w „Bożym ciele" mniej przewrotny – nie w próbie opowiadania o instytucji, a w poszukiwaniu sensu chrześcijańskiej miłości.

Piotr Zaremba

Reklama | 68/0120/F

epraza.pl 0[illegible]45e9a

PGL
Polska Grupa Lotnicza

PGL wraz z **PLL LOT** witają linię lotniczą **Condor**

Condor to największa wakacyjna linia lotnicza w Niemczech. Jej główną bazą jest port lotniczy we Frankfurcie. Nieprzerwanie od 1956 roku Condor przewozi turystów do najpiękniejszych miejsc na świecie. W 2019 roku 9,4 mln pasażerów podróżowało na pokładach Condora z ośmiu niemieckich lotnisk do około 90 miejsc w Europie, Afryce i Ameryce. Condor dysponuje flotą niemal 60 samolotów utrzymywanych przez spółkę zależną Condor Technik zgodnie z najwyższymi standardami bezpieczeństwa w bazach we Frankfurcie nad Menem i Düsseldorfie.

Polska Grupa Lotnicza jest wiodącym podmiotem lotniczym w Europie Środkowo-Wschodniej. PGL jest właścicielem Polskich Linii Lotniczych LOT – jednego z najstarszych i najszybciej rosnących przewoźników w Europie, z dwoma dynamicznie rozwijającymi się hubami w Warszawie i Budapeszcie. LOT ma w swojej ofercie ponad 120 połączeń, w tym 18 połączeń dalekodystansowych z Ameryką Północną i Azją. W 2019 roku LOT przewiózł ponad 10 mln pasażerów, ponad dwa razy więcej niż 4 lata wcześniej. LOT dysponuje flotą 80 samolotów, w skład której wchodzi 15 Boeingów 787 Dreamliner.

24 stycznia 2020 r. zawarta została umowa inwestycyjna przejęcia linii lotniczej Condor przez PGL. Przejęcie jest uzależnione m.in. od uzyskania zgód właściwych organów antymonopolowych.

Cieszymy się, że LOT i Condor, działające wspólnie w ramach Grupy PGL, będą jedną z największych grup lotniczych w Europie.

Zapraszamy na pokłady naszych samolotów!

eprasa.pl 05b6a45e9a

Wojciech Stanisławski

Przeklęty dom

Ta książka to okazja do najbardziej poważnej rozmowy o komunizmie w Polsce od 1989 r.

Paweł Pietrowicz Postyszew – pełnomocnik rządu Republiki Dalekowschodniej, sekretarz KC, szef Wydziału Agitacji i Propagandy – mieszkał wraz z żoną Tatianą Siemionowną, synami Walentinem, Leonidem i Władimirem oraz matką Tatiany Marią Ignatiewną w lokalu nr 274. Ivars Smilga (dowódca strzelców łotewskich, komisarz polityczny Frontu Zachodniego, potem wiceprzewodniczący Najwyższej Rady Gospodarki Narodowej ZSRS) z żoną Nadieżdą Wasiliewną oraz córkami, Tatianą i Natalią – niemal po sąsiedzku, pod nr. 230. A Matwiej Dawidowicz Berman – naczelnik zarządu GUŁagu i ludowy komisarz łączności – w pięciopokojowym mieszkaniu nr 141.

A mieszkania były piękne! Wysokie na trzy i pół metra, cztero- lub pięciopokojowe, z osobną toaletą, łazienką oraz wyłożoną płytkami ceramicznymi kuchnią ze zsypem i wyciągiem. A co dopiero sam dom! Tonące w zieleni dziedzińce, schody z taruskiego marmuru. Sala teatralna na 1,3 tys. miejsc, pokój do gry w bilard i strzelnica, korty, boiska, natryski, bank, poczta, żłobek i sklepy, kino Przodownik Pracy i biblioteka, windy zwykłe, szybkobieżne i towarowe. Nawet współczesny deweloper nie powstydziłby się takiego standardu, może z wyjątkiem nazwy kina. Na tle ówczesnej nieludzko przeludnionej Moskwy oraz archipelagu wiejskich chatek, baraków i ziemianek, w których mieszkała ogromna większość radzieckiej prowincji, dom nad rzeką Moskwą był zjawiskiem nie z tego świata.

Tyle że szczęśliwcy nie pomieszkali w tych luksusach długo: Smilga został skazany na rozstrzelanie 10 stycznia 1937 (karę wykonano tego samego dnia), skremowany i pochowany anonimowo. Postyszew podzielił jego los (a wraz z nim – żona i najstarszy syn) w lutym 1938 r., Berman – w marcu 1939.

Trylogia amerykańskiego historyka o rosyjskich korzeniach nie jest jednak ani opowieścią o luksusach, w jakich pławiło się pierwsze pokolenie bolszewików, ani nawet o „wielkiej czystce", jaka ich pochłonęła. Yuri Slezkine stworzył coś nieporównanie większego: opowieść o narodzinach komunizmu i jego twórcach i wreszcie – o ich zmieniającym się postrzeganiu i rozumieniu świata. Opowieść ta wykorzystuje kilkanaście narracji, metod badawczych i technik pisarskich, oferuje kilkanaście przybliżeń (od mikrohistorii, przez biografię naszkicowaną w jednej poetyckiej frazie, po umieszczony w środku książki esej o przemianach ludzkiej religijności, obejmujący trzy tysiące lat). Ta opowieść to prawdziwe „dzieło totalne", przytłaczające wielością faktów, odsłon, perspektyw, obezwładniające – skalą emocji, które przyjdzie przeżyć czytelnikowi. Slezkine nie poprzestał bowiem na jednej sprzeczności (od bezczasowych „kolaży", ukazujących niczym zdjęcie panoramiczne, przekrój stanów i zawodów ludzkich w Moskwie roku 1910 czy 1934, po syntezę przemian nowożytności): gotów jest się odwołać do wszystkich uczuć czytelnika. Nie ma w jego prozie żadnej taryfy ulgowej wobec komunizmu: opisy przesłuchań, masakr czasu wojny domowej czy dzieci skazanych po śmierci rodziców na kanibalizm obezwładnią nawet czytelnika, który miał już w ręku „Cichy Don" czy świadectwa o Wielkim Głodzie. A jednocześnie pokazanie, w największym możliwym przybliżeniu, sprawców tych nieszczęść – najpierw kilkunastoletnich, chudych i żarliwych, potem ubranych w (jak pisze świadek) „coś w rodzaju skorupy z czarnej skóry", puchnących od sadła, krzepnących w granitowych popiersiach, a wreszcie złamanych obłędem, konwejerem, głodówką – czyni ich, po raz pierwszy może w oczach wielu, postaciami prawdziwie ludzkimi.

Rdzeniem tej opowieści totalnej, szpulą, na którą nawinięte zostały wszystkie wątki, jest opowieść o tytułowym Domu: gigantycznym, luksusowym kompleksie budynków wzniesionych w początku lat 30. niemal vis-à-vis Kremla, w podrzędnej dotąd dzielnicy zwanej Bagniskiem. Jego oficjalna nazwa brzmiała: Pierwszy Dom Rad lub Dom Rządowy. W żarcikach (szeptanych w Moskwie czasów Chruszczowa, kiedy już wolno było szeptać) określano go nieraz mianem „Aresztu Tymczasowego" lub „pierwszego etapu GUŁagu", nawiązując do tego, że w latach czystek uwięziono ponad 700 jego mieszkańców, w większości ojców rodzin. Do literatury trafił za sprawą powieści syna jednego z tych 700, Jurija Trifonowa, autora pisanej rozpaczliwie półgębkiem, aluzyjnej,

eprasa.pl 05b6a45e9a

a jednak przejmującej książki „Dom nad rzeką Moskwą".

Pomysł na mikrohistorię był doskonały: rzeczywiście mieszkańcy 505 mieszkań i ich losy stanowią idealną z badawczego punktu widzenia, już wyselekcjonowaną, próbkę rzeczywistej elity władzy. Tyle że Slezkine miał do powiedzenia o komunizmie i jego budowniczych stukrotnie więcej. Mniejsza już o dziesiątki dygresji, traktujących o etapach „rozkułaczania" w Kazachstanie, technikach balsamistycznych wypróbowanych na ciele Włodzimierza Ilicza, dogmatyce tajpingów w XIX-wiecznych Chinach, koncepcjach urbanistycznych lat 20. i echach industrializacji w literaturze. Mniejsza o wspomnianą już wielość stylów i technik (mamy do czynienia w tej książce z „portretem zbiorowym" pokolenia rosyjskich studentów i robotników angażujących się u schyłku XIX w. w działalność rewolucyjną; z przeplataniem się setek biografii; z wpleceniem w tekst, na prawach rozbudowanego cytatu, dziesiątków „świadectw ducha": fragmentów powieści, pamiętników i listów). Mniejsza nawet o niezwykłe, migawkowe „odsłony" biograficzne, za których sprawą widzimy tego samego człowieka piszącego list do ukochanej („Świt, który rzuca swoje wspaniałe, czarowne i przejrzyste światło na wszystkich, jest już blisko"), pijącego z przyjaciółmi czaj na zesłaniu, kąpiącego dzieci, rozwiązującego Konstytuantę, nakazującego palenie zwłok kontrrewolucjonistów i wołającego swojego syna w malignie, na chwilę przed śmiercią. Mniejsza, choć wystarczyłoby tego na tuzin książek.

Ukoronowaniem „Domu władzy" jest jednak koncepcja, w której myśl wizja rewolucji i jej etapów – szczególnie w wariancie, jaki ziścił się w Rosji pierwszej połowy XX w. – nie jest tak naprawdę samoistna. Okazuje się ona – w rozumieniu Slezkine'a – niepokojąco zbieżna z wizjami i zamiarami entuzjastów myślenia apokaliptycznego: anabaptystów Thomasa Müntzera, purytanów czasów Cromwella, ale i ich odleglejszych krewnych, trawionych tym samym żarem. Tak, Smilga, Swierdłow i Skriabin (który później przyjął partyjny pseudonim „Mołotow") czytali oczywiście za młodu Marksa, czytali też Nieczajewa i Puszkina (a także Goethego, Heinego i Verne'a – „horyzont lektur" młodych rewolucjonistów to osobny, fascynujący wątek „Domu władzy") – ale, jak się okazuje, na swoje, Rosji i nasze nieszczęście czytali też Apokalipsę świętego Jana...

Zarówno ta hipoteza (trudna do streszczenia w akapicie, lecz u uważnego czytelnika pierwszego tomu wywołująca zawrót głowy), jak i łatwiejsze do oswojenia perspektywy, np. wspomniany portret zbiorowy młodych rewolucjonistów, wydają mi się niesłychanie istotne, szczególnie może dla polskich czytelników. Polska ma pełne prawo czuć się ofiarą komunizmu w wydaniu rosyjskim – w roku 1920, 1939, 1943 i litanii kolejnych dat – i z prawa tego hojnie korzysta. Twarze bolszewików – Lenina, Dzierżyńskiego czy cytowanego powyżej („czarowne światło świtu") Swierdłowa zastygły dla nas w krwawe maski, które odsuwamy ze wstrętem, czcząc nasze ofiary, naszych zmarłych. Herbertowa fraza „Hegel leżał już od stulecia pod darnią, a kąsał Berman, kąsał Sokorski" tłumaczy nam zaś bez reszty przypadki polskiego zaangażowania w komunizm.

Fraza ta jest rzeczywiście niezłym wytłumaczeniem polskich zaangażowań (zwłaszcza inteligencji) w komunizm lat 50. i 60. – a jeśli do grona „kąsających" dodać jeszcze widoki na stypendium Forda i talon na fiata, to również późniejszych o dekadę akcesów doń aktywistów SZSP ze skłonnościami do nadwagi. Jeśli jednak pragniemy zrozumieć genezę komunizmu – musimy się zgodzić z tym, że zęby Hegla również istniały, ostrzejsze i zjadliwsze od innych. Feliks Kon, jedna z „krwawych masek", bête noire, o którym pamiętamy już tylko przy okazji wspomnień o roku 1920 i lektury „Na probostwie w Wyszkowie", urodził się w Warszawie, w całkowicie spolonizowanej, patriotycznej rodzinie żydowskiej (jego wuj był adiutantem Langiewicza w powstaniu styczniowym). Prześledzenie jego drogi od Warszawy popowstaniowej przez Proletaryat do Polrewkomu to jedna z wielu gorzkich przyjemności, jakie oferuje nam I tom „Domu władzy". Bez lektury Slezkine'a nie zrozumiemy tej ani wielu innych biografii.

Yuri Slezkine, „Dom władzy. Opowieść o rosyjskiej rewolucji" (t. I „W drodze", t. II „W domu", t. III „Przed sądem"), tłum. Klaudyna Michałowicz z zespołem, PIW, 2019

eprasa.pl 05b6a45e9a

Adamski poleca

Majstersztyk

Nie jest to pierwszy film nakręcony „jednym ujęciem". Alfred Hitchcock zastosował już ten trick w „Linie" w 1948 r. To samo zrobił jego fan i najzdolniejszy naśladowca Brian de Palma w otwarciu „Oczu węża" (1996). Potem oczywiście był m.in. „Birdman" i kilka innych filmów. Nigdy jednak nie zastosowano tej techniki w takim wymiarze ani z takim rozmachem.

Sam Mendes dał nam techniczny majstersztyk. Nominowany do 10 Oscarów „1917" ogląda się – wiem, że to wyświechtane sformułowanie, ale pasuje tutaj doskonale – jednym tchem. Fabuła jest prosta. Francja. Trwa I wojna światowa. Dwaj brytyjscy szeregowcy Schofield (George MacKay) i Blake (Dean-Charles Chapman) mają się przedrzeć za linię wroga i przekazać rozkaz odwołujący atak Brytyjczyków, który może kosztować życie 1,6 tys. żołnierzy, w tym brata Blake'a. Przez 119 minut obserwujemy misję żołnierzy, którzy doświadczają wszystkich wojennych demonów. Jest to historia osobista dla zdobywcy Oscara za „American Beauty" i reżysera Bondów („Skyfall", „Spectre") Sama Mendesa. Film oparty jest bowiem na opowieściach jego dziadka Alfreda H. Mendesa, który w czasie I wojny światowej był posłańcem.

„1917" jest innym filmem niż większość wojennych dzieł. Nie znajdziemy tutaj antywojennego przesłania w stylu „Czasu apokalipsy". Nie ma metafizyki rodem z „Cienkiej czerwonej linii" i hollywoodzkiego patosu z „Szeregowca Ryana". Nie ma też estetyzowanej przemocy, jak u Gibsona w „Przełęczy ocalonych" i żadnej podprogowej ideologii w stylu „Plutonu". Oczywiście pojawiają się rozmowy o sensie chwalenia się medalami (jeden z żołnierzy swój wymienia na francuskie wino, drugi traktuje medal honorowo), ale Mendes nie ma ambicji robienia moralitetu. „1917" jest opowieścią o braterstwie broni. O przyjaźni na placu boju i walce nie dla flagi i górnolotnych haseł, ale dla brata stojącego obok.

Mendesowi zależało, byśmy mieli poczucie wejścia w sam środek piekła razem z dwoma bohaterami. Złudzenie jednego długiego ujęcia rozpoczynającego się i kończącego pod drzewem daje nam poczucie podążania za żołnierzami. Doświadczamy frontu każdym zmysłem. Czuć z ekranu smród rozkładających się ciał i strach unoszący się poda okopami. Nie ma w tych obrazach kiczu. Nie ma zabawy elementami gore. Jest surowy realizm.

Zdobywca Oscara za „Blade Runner 2049" Roger Deakins dokonał z Mendesem rzeczy niezwykłej. Nie tylko dali nam poczucie oglądania filmu kręconego jednym, trwającym dwie godziny ujęciem, ale pokazali, jak bez wszechobecnych dziś efektów komputerowych z blue boxów można zachwycić widza. Choreografia bitew, gonitwy i strzelaniny w ruinach, katastrofa samolotu (sic!) i porwanie jednego z żołnierzy przez wodospad – to wszystko jest pociągnięte jednym ujęciem. Tak przynajmniej wygląda. Dzięki magii i inwencji filmowców. „1917" po prostu przypomina nam, czym jest magia kina i za co kochamy X muzę.

„1917", REŻ. SAM MENDES, DYSTR. MONOLITH

VOD

Żegnajcie, kowboje!

Ten dzień musiał nadejść. Nastąpił koniec mojego ukochanego sitcomu o ranczerach z Colorado. Rodzina Bennettów po czterech sezonach żegna się z widzami. Sam Elliot w roli zakochanego w Ronaldzie Reaganie i bojącego się Clintonów jak diabeł wody święconej ojca rodziny stworzył jedną z najlepszych kreacji aktorskich w swojej długiej karierze. Ashton Kutcher pokazał natomiast, że o ile w kinie idzie mu słabo, o tyle jest królem specyficznego gatunku, jakim jest sitcom („Rancho" było nagrywane przed żywą publicznością w studiach Netflixa). Szkoda, że z serialu wyleciał za aferę #MeToo Danny Masterson, ale dostał godne następstwo (brawo pomysłowi scenarzyści!). „The Ranch" to pierwszy od dekad serial, gdzie konserwatywna rodzina, broniąca dostępu do broni palnej i głosująca na republikanów, jest sympatyczna. Oczywiście bohaterowie przeszli odpowiednią ścieżkę tolerancjonizmu w ostatnim sezonie (to w końcu serial Netflixa), ale i tak pozostają do końca typowymi kowbojami patrzącymi z przerażeniem na Berniego Sandersa. Będzie mi brakować tego mądrego, słodko-gorzkiego sitcomu, podlanego klasyką country. Jedno wam zdradzę – rodzina w tym serialu ostatecznie wygrywa. To ona jest w końcu solą amerykańskiej ziemi.

„THE RANCH" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 05b6a45e9a

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Jednego „Rambo" za dużo

Dałem jeszcze raz szansę piątemu „Rambo". Po obejrzeniu pokracznego powrotu Pasikowskiego z trzecimi „Psami" chciałem sprawdzić, czy może oglądając w kinie kontynuacje kultowego dzieła Sylvestra Stallone'a, nie dałem się ponieść emocjom. Niestety nie. Seans na DVD „Rambo: Ostatnia krew" (notabene Pasikowski w drugich „Psach" użył tego samego tytułu) jest równie traumatyczny jak wizyta w kinie.

Gdyby Stallone chciał z klasą zakończyć mitologię tej archetypicznej już postaci, poprzestałby na „Johnie Rambo" z 2008 r. Dostaliśmy wówczas brutalną opowieść o ostatniej walce mieszkającego w azjatyckiej dżungli komandosa, toczącego walkę nie tylko z birmańskimi siepaczami, ale też własnymi demonami. W finale tego filmu Rambo po latach tułaczki i toczonych wojnach w Wietnamie i Afganistanie wrócił do domu w Arizonie. Czy odzyskał spokój? Czy pokonał wroga w swoim sercu? Powinniśmy pozostać z tą myślą sami.

„John Rambo" wyeksploatował wszystko, co powinniśmy wiedzieć o tej postaci. Nabrała ona głębszego wymiaru niż w dwóch klasykach kina akcji z lat 80. (część II i III). Syndrom stresu pourazowego, alienacja i próba odkupienia własnych win – wszystko to satysfakcjonująco Stallone uwypuklił. Nie był to film na poziomie dwóch „Creedów", ale rozwijał przynajmniej w ciekawym kierunku ikonograficzną postać. To główny powód, dla którego nie widzę najmniejszego sensu w nakręceniu „Rambo. Ostatnia krew".

John Rambo mieszka na ranczo w Arizonie z przybraną córką Gabrielle (Yvette Monreal) i jej babcią. Matka Gabrielle nie żyje. Dziewczyna tuż po skończeniu szkoły średniej trafia na ślad swojego ojca, który zostawił rodzinę i uciekł do Meksyku. Tam wpada w ręce karteli narkotykowych handlujących kobietami. John nie chce już walczyć. Pragnie jedynie spokoju na swojej farmie, gdzie zamienił się w kowboja. Ma jednak kolejną wojnę do stoczenia.

Jest to kopia z poprzedniego filmu. Birmańską juntę wojskową zastępuje meksykański kartel, a bronionych chrześcijan – przybrana córka Johna. Przemoc ekranowa jest w wydaniu wręcz gore (wyrywane z ciała kości, serca i rozpryskujące się mózgi), natomiast John nadal nie może odgonić od siebie wspomnień z Wietnamu i Afganistanu. To już było! Teraz jest w mniej dramatycznym sosie.

DVD

Zaskakuje jednak to, że tym razem nie działa zupełnie sentymentalna opowieść o zagubionym w nowych czasach twardzielu, kierującym się starotestamentalną zasadą oko za oko. Ja jestem dzieciakiem ery VHS, więc zawsze prostolinijna mądrość moich bohaterów z dzieciństwa chwyta mnie za serce. Tym razem czułem wyłącznie znużenie i momentami zażenowanie.

„RAMBO. OSTATNIA KREW", REŻ. ADRIAN GRUNBERG, DYSTR. MONOLITH

Król jest nagi

DVD

Totalne zażenowanie wywołał u mnie natomiast ten film. Patryk Vega zapowiadał, że „Polityka" zmieni polityczne oblicze Polski. Z szumnych zapowiedzi nic nie zostało. Film okazał się kapiszonem i marną kopią „Ucha Prezesa". Poza ciekawymi rolami aktorskimi Andrzeja Grabowskiego (wiadomo jaki prezes) i Antoniego Królikowskiego (wiadomo jaki Bartłomiej) nie ma w „Polityce" niczego, co mogłoby porównać ten film z nawet najbardziej odjechanymi politycznymi satyrami. Emitowany przez Canal Plus serial, rozwijający wątki filmu, nie jest lepszy. Vega pewnie nawet już nie pamięta o „Polityce", skoro w najbliższych dwóch miesiącach do kin wchodzą jego dwa nowe filmy (sic!) o świecie piłki nożnej („Bad boy") i międzynarodowej szajce pedofilów („Small world"). A miał przecież Vega nakręcić kolejne części „Polityki". Wyniki box office skłoniły go do szukania innych „sprzedających" się tematów? Po jego dwóch „Kobietach mafii" miałem nadzieję, że król polskiego kina komercyjnego ma jakiś pomysł na rozwój tego gatunku. Najwidoczniej poszukiwania z czasów „Służb specjalnych" i starych „Pitbulów" przysłoniły już tylko banknoty.

„POLITYKA", REŻ. PATRYK VEGA, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 05b6a45e9a

Życząc Polsce wspaniałego roku 2020

List otwarty do przyjaciół polskich

Musimy być wszyscy tego świadomi: rok 2020 będzie dla Polski i dla Europy przełomowy. Będzie decydować o przyszłości Polski i kontynentu na długi czas. Albo Andrzej Duda zostanie ponownie wybrany na prezydenta i wówczas droga do dalszej i decydującej odnowy Polski godnej, sprawiedliwej, humanistycznej staje się otwarta, albo po kilku latach blokady i walki między prezydentem a Sejmem powrócimy do Polski czasów PO, czyli Polski na kolanach przed możnymi biznesu międzynarodowego, władcami Brukseli i Berlina, Polski korupcji i mafii, Polski bez sprawiedliwości społecznej, Polski odrzucającej swoje chrześcijańskie korzenie. Tym samym upadłby najważniejszy bastion obrony przed neoliberalizmem europejskim.

W rzeczy samej w tym roku to nie będą zwykłe wybory prezydenckie. Od ich wyniku zależy wybór cywilizacyjny. Państwo mnie znają. Całe moje życie jest długim marszem ku polskości jako największego dobra. Mam prawie 82 lata. Nie kandyduję do niczego ani nie aspiruję do żadnych honorów. Niedługo zapewne zakończy się tutaj moja pielgrzymka z ziemi francuskiej do Polski. Przez te wszystkie lata starałem się bronić wizerunku Polski, mówić oraz pisać poważnie i uczciwie o rzeczach naprawdę ważnych. Proszę zrozumieć, że nie czas teraz, abym się zachował inaczej.

A więc, kto na Boga może w nadchodzących wyborach głosować na jakiegokolwiek kandydata opozycji? Obywatel taki może wywodzić się z różnych kategorii. Może to być:

– ***Przedstawiciel „kasty" czy „układu"***, który chce powrócić do czasów, kiedy wszystko było dobre dla wąskiej elity, ale była odrzucona każda polityka prorodzinna czy wręcz prospołeczna. Przeto wspiera on politykę neoliberalną forsowaną przez Brukselę.

– sędzia, który wywodzi się z ducha „okrągłego stołu" i, zamiast myśleć o sprawiedliwości, należy do „kasty" i broni jej interesów politycznych i materialnych.

– ***Skorumpowany polityk czy biznesmen***, który pragnie, aby dalej wyprzedawać majątek Polski, jeśli tylko on będzie miał z tego odpowiednie korzyści. Ludzie tego pokroju cieszyli się, że po latach władzy PO 80 proc. banków i mediów, a także 2/3 przemysłu należało do kapitału zagranicznego. Chcą dokończyć dzieło.

– ***Człowiek, który nie myśli, że Polska*** – jak mawiał Naczelnik – ***„albo jest wielka, albo jej nie ma"***, ale zgadza się na to (jeśli to będzie w jego interesie osobistym), by Polska była na kolanach, bez godności, skolonizowana, posłuszna rozkazom Berlina czy Brukseli. Taki człowiek pragnie znaleźć daleko od Polski „wielkiego brata". Wczoraj był on w Moskwie, dziś w Brukseli. Nieważne. Można nawet – mamy na to wiele dowodów – odnowić duch Targowicy i działać z zewnątrz przeciwko interesom własnego narodu!

– Co za tym idzie, może głosować przeciwko Andrzejowi Dudzie ***ten, który – jak pan Tusk – wstydzi się polskości, gardzi własnym krajem i żałuje, że jest Polakiem***. Po co takiemu Polska godna i mocna?

– Tak samo może głosować człowiek, który ***odrzuca chrześcijańskie korzenie Polski***, nie chce słuchać o wartościach chrześcijańskich ani o cywilizacji miłości. Od niej woli zachodnioeuropejską pseudocywilizację śmierci. Symbolicznie, zabicie życia poczętego jest dla niego egzemplifikacją „nowoczesności" i „postępowości" wspaniałego Zachodu! (Przeto a contrario nie można sobie wyobrazić, aby człowiek autentycznie wierzący mógł głosować na kandydata opozycji!).

– Wreszcie w duchu chrześcijańskiej miłości muszę dodać jeszcze inną kategorię osób, które nie będą głosować na Andrzeja Dudę (pamiętajmy, iż każdy głos na innego kandydata – obojętnie na którego – będzie de facto głosem na rzecz powrotu do Polski PO-wskiej): ***uczciwi ludzie, którzy zostali „brain-washed"*** (poddani praniu

> Nie wolno dopuścić do tego, aby Polska przestała być Polską! Od tego zależy jej godność, jej przyszłość. Ale od tego zależy też godność i przyszłość całej Europy

eprasa.pl 05b6a45e9a

mózgu) przez propagandę mediów w ogromnej większości kontrolowanych przez kapitał zagraniczny.

To są ci, którzy nie wybiorą Andrzeja Dudy. Mam zbyt wielką miłość do Polski, aby sądzić, że taka grupa ludzi zagubionych, skorumpowanych, alienowanych od polskości, odrzucających sprawiedliwość społeczną, dalekich od wszelkiego patriotyzmu, nienawidzących wartości moralnych i chrześcijańskich mogła reprezentować większą część narodu polskiego. To niemożliwe! Prezydent Duda ma w dodatku ogromne szczęście: ma przeciwko sobie mizerną opozycję. I kandydują przeciwko niemu ludzie słabi, bez osobowości i bez wizji.

Skądinąd nawet gdyby opozycja była wspaniała, miała porywający program i szanowała polskość – i nawet gdyby miała światłego kandydata – to i tak ponowny wybór Andrzeja Dudy powinien być ewidentny. Urósł bowiem wspaniale w roli prezydenta i potrafił się utożsamiać z Polską i polskością. I robił, i robi to w sposób zarówno pryncypialny, jak i zrównoważony, w duchu chrześcijańskiego personalizmu. Co więcej, rządzący w ostatnich latach – na czele z prezydentem – pokazali, na przekór brukselskiej ideologii neoliberalnej, że można prowadzić politykę prospołeczną i jednocześnie uzyskać wyjątkowy wzrost gospodarczy, nie zapominając przy tym o obronie wartości moralnych i duchowych.

ZMAGANIE, OD KTÓREGO ZALEŻY PRZYSZŁOŚĆ EUROPY

Wchodzimy więc w rok 2020 pełni optymizmu, ale – jak mówiłem na wstępie – świadomi wagi chwili. Chodzi o to, aby Polska dalej była Polską! Nie wolno dopuścić do tego, aby przestała być Polską! Od tego zależy jej godność, jej przyszłość. Ale od tego zależy też godność i przyszłość całej Europy. Europa będzie ponownie Europą tylko i wyłącznie (przeciwnicy o tym wiedzą), jeśli Polska będzie Polską i będzie inspiracją i przykładem na drodze do Europy ducha, Europy wartości, Europy nowego humanizmu.

W tym roku w Polsce wybija godzina prawdy. Święty Jan Paweł II zapowiadał w sposób proroczy w roku 2005 w książce „Pamięć i tożsamość", iż ten moment decydującego wyboru jest bliski. Podkreślając, że kraje Europy Zachodniej zatraciły swoją tożsamość, kiedy kraje Europy Środkowej, a przede wszystkim Polska, ją nawet umocniły w walce z komuną, pisał: „Na czym wobec tego polega ryzyko? Polega ono na bezkrytycznym uleganiu wpływom negatywnych wzorców kulturowych rozpowszechnionych na Zachodzie. Dla Europy Środkowo-Wschodniej, w której tendencje te mogą jawić się jako rodzaj »promocji kulturowej«, jest to dzisiaj jedno z najpoważniejszych wyzwań". W rzeczy samej byłoby dramatycznym paradoksem, żeby Polska, która zachowała swoją duszę i swoje ideały, dołączyła teraz do zagubionego Zachodu, w momencie kiedy neoliberalizm zaczyna eksplodować od wewnątrz, bliski tej implozji, która dotknęła komunizm 30 lat wcześniej! Widać już bowiem jak na dłoni, że nawet żałosne próby reformowania neoliberalizmu przyspieszają jeszcze jego upadek. Prezydent Macron, działając w tym kierunku, staje się tylko „Gorbaczowem neoliberalizmu". Starając się reformować to, co reformowalne nie jest, tak jak ongiś sowiecki lider prowadzi system do szybszego upadku.

Nie czas więc, aby Polska przestała być Polską i przyjęła dziś „negatywne wzorce kulturowe rozpowszechnione na Zachodzie". Reelekcja prezydenta Dudy pokaże, iż Polacy mają świadomość, że zrozumieli i przyjęli sobie do serca ostrzeżenia świętego polskiego papieża, który w tej samej książce dodał: „Myślę, iż właśnie z tego punktu widzenia toczy się tutaj jakieś wielkie duchowe zmaganie, od którego zależeć będzie oblicze Europy tworzące się na początku tego tysiąclecia".

Życzę więc u progu nowego roku Polakom i sobie, aby 2020 r. stał się początkiem drugiego mandatu Andrzeja Dudy, a więc rokiem kontynuacji odnowy Polski i początkiem odnowy Europy.

Bernard Margueritte

Fot. Andrzej Wiktor

P jak projekt PO

Dr Hanna Karp, medioznawca

Projekt Platformy Obywatelskiej nieodwołalnie się dopala. Andrzej Stankiewicz z portalu Onet, Jacek Żakowski z „Polityki" i Ewa Ivanova z „Gazety Wyborczej" zapewniali o tym zadziwiająco zgodnie w swoich komentarzach 26 stycznia w TVN24, w programie „Loża prasowa". A wszystko w dniu, gdy nowy przewodniczący PO Borys Budka przejął schedę po poprzedniku. Najbardziej rozczarowany wydawał się Jacek Żakowski. Zapewne takich jak on jest wielu. Już nie wspomnę o Tomaszu Lisie, który po pobycie w szpitalu wciąż zbiera siły. Przy okazji – jak wielka luka zapanowała po redaktorze Lisie w lewicowym mainstreamie świadczy to, że w audycjach Tok FM prowadzonych przez Jacka Żakowskiego fotel komentatorski szefa „Newsweeka" zajął sam „Alik", czyli Aleksander Smolar, prezes Fundacji Batorego.

POZOSTAŁY TYLKO PIENIĄDZE

Komentatorzy z TVN24 zgodzili się, gdy mowa była o dawnej partii Donalda Tuska, że dziś realny jest nie jej program czy kadry, ale wyłącznie wielomilionowy fundusz partyjny. Wydmuszka toczyć się więc będzie z hałasem, dopóki nie skończą się pieniądze. W ciągu ostatnich lat partia w szybkim tempie z 40 tys. członków zmniejszyła się do 10 tys. 816. Tylu uprawnionych wzięło bowiem udział w wyborach na nowego przewodniczącego. Trudno było ostatnio nie zauważyć, że nie było tam chętnych na stanowiska ani przewodniczącego, ani kandydata na prezydenta w majowych wyborach. Można było odnieść wrażenie, że są brani albo z łapanki, albo histerycznie zgłaszają się na wyznaczone stanowiska po tak zwanym dobrowolcu. Po czym przekazują potencjalne głosy na siebie innym.

Założyciel i patron partii Donald Tusk swoim konstruktem (czy do końca swoim?) posłużył się, zużył go i porzucił. W tej chwili to bardziej widmo z wiszącym na nieaktualnych stronach internetowych gabinetem cieni. Jego politycy już tylko robią rejwach w telewizyjnych studiach. Po wyborach prezydenckich partia z 10 tys. zapewne skurczy się do 5 tys. Z pewnością nie zniknie dominujące w niej także dziś pustosłowie. Tak wygasa projekt Platformy Obywatelskiej. Któż by pomyślał, że finał odbywać się będzie w ciszy zaprzyjaźnionych – jak o nich mówił Andrzej Wajda – mediów, które już tylko na paskach alarmują o „ustawie represyjnej" czy „kagańcowej".

W Radiu Tok FM w porannych serwisach 27 stycznia, następnego dnia po zwycięstwie Budki, regularnie powtarzano, że PO jest partią, do której już nikt się nie zapisuje. Tak oto odwraca się pańskie oko od projektu PO. Donald Tusk powiedziałby, że przestawiona zostaje medialna wajcha.

Wielu dawnych zwolenników tej partii upatruje ratunku już tylko w sędzi Sądu Najwyższego Małgorzacie Gersdorf. Już nie w Trybunale Konstytucyjnym, nie w Krajowej Radzie Sądowniczej – bo te są już przecież „pisowskie". Ostatni „bastion praworządności" pod wodzą Gersdorf ma zastąpić rząd, parlament i prezydenta RP. A więc jeszcze wiele zobaczymy. Pozostała też zagranica, czyli unijna biuro-

eprasa.pl 05b6a45e9a

kracja. Ale wszystko jakieś słabe, miałkie i bez werwy. Kadencja Gersdorf wygasa 30 kwietnia 2020 r. i do tego momentu prezes będzie urzędować. A to znaczy, że przez najbliższe trzy miesiące jej złotych myśli, czyli bareizmów, nie zabraknie. Szkoda, że nikt tego nie sfabularyzuje.

ZDANIE MIESIĄCA: LOGIKA GRABCA

„Grzegorz Schetyna nie brał udziału w tych wyborach, nie można więc mówić o jego porażce" – powiedział poseł PO Jan Grabiec w rozmowie z portalem wPolityce.pl. Zgodnie z logiką Grabca, jeśli Platforma Obywatelska nie weźmie udziału w przyszłych wyborach parlamentarnych, także nie będzie można mówić o jej porażce.

POST SCRIPTUM

Nie wiem jak czytelnicy tej rubryki, ale ja mam czasem nieodparte wrażenie, że zaczyna mnie otaczać śliska magma peerelowskiej beznadziei. Albo – jak kto woli – straszno-śmiesznych najnowszych bareizmów. Oto: Bemowo, dzielnica Warszawy położona w lewobrzeżnej części miasta. 1 stycznia 2019 r. liczba jej mieszkańców według oficjalnych statystyk wynosiła 123 932 osoby. Pod Kampinosem, wielka warszawska szara sypialnia. Kwintesencja nastrojów PRL w okresie stanu wojennego, gdy zamiast chodników była tu jedna błotnista breja, a z centrum mieszkańców łączyły z rzadka kursujące rzężące autobusy. Tutaj mistrz Krzysztof Kieślowski kręcił jeden ze swoich odcinków „Dekalogu". Bohaterami byli ludzie z blokowisk, sponiewierani przez życie i nieustannie stawiani przed trudnymi wyborami. Dziś to zagłębie galeriowe stolicy. Wielkie markety, przeważnie francuskie, ale też brytyjskie i niemieckie, których główne zaplecze kasowo-techniczno-usługowe stanowi personel ze Wschodu. Jeśli chodzi o usługi, to głównie kosmetyczno-fryzjerskie, ale i niższy personel w szpitalach czy gabinetach stomatologicznych.

Niemal w każdej z klatek schodowych znajdziemy ogłoszenia gotowych od ręki kupić tam mieszkanie. A wszystko na wynajem. Interes się kręci, bo – podobnie jak na pobliskim Żoliborzu – pełno tam szukających lokum na krótki pobyt i szybki zarobek. Wynajmują kwatery zbiorowo po pięciu, dziesięciu w jednym mieszkaniu. Łatwo zauważyć, że często przypadkowo spotkany tam przechodzień z trudem mówi po polsku. Taka nowa Polska.

BEMOWO I PATRON UBEKÓW

Podczas dekomunizacji ulic prasa pisała o ogłoszonej 10 listopada 2017 r. liście 47 ulic, które zmienią patronów. Na Bemowie podpułkownika Wacława Witolda Szadkowskiego zamieniono na majora Hieronima Dekutowskiego „Zaporę". Długo jednak to nie trwało, ulicę podpułkownika Szadkowskiego przywrócono, a ulica majora „Zapory" została do dziś tylko w ciepłym głosie mojej samochodowej nawigacji.

> Komentatorzy z TVN24 zgodzili się, gdy była mowa o dawnej partii Donalda Tuska, że dziś realny jest nie jej program czy kadry, ale wyłącznie wielomilionowy fundusz partyjny. Wydmuszka toczyć się więc będzie z hałasem, dopóki nie skończą się pieniądze

Przypomnijmy więc te dwie postaci. Wacław Szadkowski (1900–1967) to od 1928 r. członek Komunistycznej Partii Polski. Podczas okupacji hitlerowskiej związany z organizacją Młot i Sierp, a także Stowarzyszeniem Przyjaciół ZSRR. Jako członek Polskiej Partii Robotniczej (od 1942 r.) podczas powstania warszawskiego w stopniu podpułkownika walczył w szeregach Armii Ludowej. W czasach komunistycznych był zastępcą komendanta Centrum Szkolenia Oficerów Polityczno-Wychowawczych w Łodzi, jako zaś działacz PZPR udzielał się w jej Komitecie Dzielnicowym Warszawa-Mokotów.

I drugi patron, i wyrzucone na śmietnik już gotowe, wiszące przez jakiś czas, bemowskie tablice z jego wyklętym imieniem i nazwiskiem. Hieronim Kazimierz Dekutowski „Zapora", „Odra", „Reżu", „Stary", „Henryk Zagon", „Mieczysław Piątek" (ur. 24 września 1918 r. zmarły 7 marca 1949 r. w Warszawie). Major Polskich Sił Zbrojnych, cichociemny, dowódca oddziałów partyzanckich Armii Krajowej, Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj i Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. W 1988 r. pośmiertnie mianowany pułkownikiem przez władze RP na uchodźstwie. Jak można wyczytać nawet w Wikipedii, 7 marca 1949 r. wykonano na nim karę śmierci; stracono też sześciu jego byłych podkomendnych. Za przeprowadzenie egzekucji odpowiedzialni byli: wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej major Stanisław Cypryszewski, naczelnik więzienia na Mokotowie kapitan Alojzy Grabicki, lekarz podpułkownik Marek Charbicz, ksiądz pułkownik Michał Zawadzki oraz dowódca plutonu egzekucyjnego starszy sierżant Piotr Śmietański. W chwili śmierci „Zapora" miał 30 lat, wyglądał jak ludzki wrak, posiwiały, bez zębów, z połamanymi rękami, nosem i żebrami i pozrywanymi paznokciami. Jego ostatnie zawołanie to słowa: „Przyjdzie zwycięstwo! Jeszcze Polska nie zginęła!". Pochowany w tajemnicy, w nieznanym przez lata miejscu. Chciałoby się dziś powtórzyć za „Zaporą" jego ostatni krzyk, ale przede wszystkim chciałoby się, by choć przez chwilę o nim pamiętali ci, co mieli czelność bezkarnie zdjąć tablicę z jego imieniem i przywrócić starą, z patronem komunistów i ubeków.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Symetria – co do milimetra

To proste pojęcie ma dziś dla Polski kluczowe znaczenie jako metoda w relacjach międzynarodowych. Więcej: jako żelazna zasada.

Od dawna apeluję, by uzdrawianie polskiego sądownictwa pokazywać w kontekście systemów w innych krajach Europy. Robił to w PE Patryk Jaki, robili inni, ale wciąż zbyt lakonicznie. Na świetny więc pomysł wpadł minister Ziobro, proponując w Polsce taki sam system wyłaniania sędziów, jaki jest w Niemczech: wybieranie ich przez parlament. Brukselscy urzędnicy zbaranieli, nasza opozycja także. Kto śmie ogłosić, że niemiecki system jest zamachem na sądy?

Gdyby na obrazach policji pałującej francuskich strażaków czy prawników rozpostartych na posadzce francuskich sądów napisano „Warszawa", brukselska armia urzędników zatrzęsłaby się z oburzenia, wystosowała rewizorów i reprymendy, żeby prowincję przywołać do porządku. Ale to się dzieje we Francji, więc urzędnicy położyli uszy po sobie i ani pisną, bo Francji wolno więcej. Musimy mozolnie wbijać w zakute łby, że Polska nie jest prowincją Brukseli ani Berlina i żąda stosowania tych samych reguł dla wszystkich państw Unii. Warchoły to oni – urzędnicy, którzy próbują Unię zamienić w cesarstwo brukselskie albo berlińskie. Żądając tych samych standardów dla wszystkich, to Polska walczy, by ocalić Unię przed zamachowcami.

Symetria konieczna jest także w relacjach z przyjaciółmi. Wiceprezydenta Mike'a Pence'a cenię za wystąpienie w Jerozolimie, gdzie wziął na siebie rolę obrońcy polskiego punktu widzenia. Nie miał trudno, bo bronił prawdy, ale należy docenić, że USA uznały obronę dobrego imienia Polski za ważną i dla siebie korzystną. Nie podobało mi się natomiast, że 11 listopada na warszawskim pl. Piłsudskiego tenże sam Mike Pence spóźnił się na uroczystości, podjechał limuzyną na środek placu, po czym długo gramolił się z owej limuzyny, pozwalając polskiemu prezydentowi (i milionom Polaków obserwującym tę scenę), czekać jak na łaskę imperatora. Wyobraźmy sobie, że prezydent Trump i cały rząd USA pokornie czekają na placu kilka minut, aż się marszałek Karczewski wygramoli z limuzyny. Podobnie niefortunne było podpisywanie przez prezydenta RP dokumentu na stojąco, gdy prezydent USA siedział. Proszę, by polska dyplomacja nie dopuszczała więcej do podobnych niesymetrii. To kwestia wizerunku i pozycji państwa i narodu oraz jego międzynarodowych relacji.

Mamy wokół siebie trudnych partnerów. Asertywnych, wpływowych i skutecznych. Wyposażonych w wiele narzędzi nacisku. Naszą bronią jest właśnie symetria. Spokojna, formalna, niekwestionowalna. Polska ma moralne i międzynarodowe prawo, by wyegzekwować od Niemiec bilionowe reperacje, ale zacznijmy od twardego żądania zwrotu zrabowanych Polakom przez państwo niemieckie dzieł sztuki, dóbr kultury, dóbr materialnych, których Niemcy ukradli nam tysiące wagonów. Dlaczego nie oddają? A czy Polacy mieszkający w Niemczech mają takie same prawa jak Niemcy mieszkający w Polsce? Nie mają. Dlaczego? Wszak już 30 lat z Niemcami „jesteśmy przyjaciele", dlaczego nie egzekwujemy pełnej symetrii?

Rosja ma w Warszawie sporo nieruchomości oddanych jej w ramach symetrycznej wymiany. Tyle że ta „wymiana" jest jednostronna. Wedle umowy Polska powinna mieć w Moskwie taką samą liczbę nieruchomości. Nie ma. Czy umowa z Rosją nie stanowi, że w przypadku jej niewykonania przez jedną ze stron wygasają symetryczne uprawnienia, stają się nieważne? Skoro Rosja nie przekazała Polsce w Moskwie adekwatnych nieruchomości, „rosyjskie" nieruchomości w Warszawie już od dawna nie są rosyjskie i Rosja zatrzymuje je nielegalnie. Dlaczego nie egzekwujemy symetrii?

Symetria jest kluczem dla dobrych i obustronnie korzystnych relacji polsko-żydowskich i polsko-izraelskich. Tak samo potępiać należy antysemityzm, jak antypolonizm. Tak samo potępiać kłamstwa i obelgi dotyczące Żydów, jak kłamstwa i obelgi dotyczące Polaków. Zawsze w wyobraźni odwracajmy sytuację. Może na warszawską konferencję poświęconą wojennym losom Żydów i Polaków Polska zaprosi do wygłoszenia przemówienia prezydenta Iranu (z wdzięczności za ówczesną pomoc), a prezydentowi Izraela każe słuchać i milczeć? Brawa dla prezydenta RP, że do Jerozolimy nie pojechał, brawa dla premiera, że w Berlinie zażądał symetrii dla ofiar nazizmu i komunizmu.

Znaczenie Polski rośnie, presja na Polskę rośnie i będzie rosnąć. Z wielu stron, bo wielu asertywnych partnerów chce wzrost Polski zatrzymać lub przejąć jego owoce. Dla polskiej asertywności symetria co do milimetra jest dolną granicą, poniżej której schodzić nam nie wolno.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 05b6a45e9a

Kampania prezydencka w USA będzie brutalna, bo Trump jest brutalnym politykiem. Jeśli kandydatem demokratów zostanie Bloomberg, który osobiście bardzo nie lubi Trumpa, wówczas z obu stron zostaną odpalone najmocniejsze działa

Heca z impeachmentem wzmocni Trumpa

Z amerykanistą prof. Zbigniewem Lewickim rozmawia Dorota Łosiewicz

Czy demokraci mają szanse z Donaldem Trumpem?

Zbigniew Lewicki: W mojej ocenie Donald Trump jest niemal pewnym kandydatem na drugą kadencję. Demokraci są rozbici i nie potrafią wyłonić wyraźnego, mocnego kandydata. Już niedługo odbędą się niewiele znaczące, ale symboliczne prawybory demokratów w stanach New Hampshire oraz Iowa. Zobaczymy wówczas, jak rozkładają się szanse. Te prawybory są o tyle istotne, że odpowiednio nastroją media. Okaże się wówczas, który z tych średnich demokratycznych kandydatów będzie w stanie zdobyć nominację partyjną. Jedyny sensowny kandydat po tamtej stronie wciąż się czai. Chodzi o Michaela Bloomberga, który zgłosił swoją kandydaturę, ale nie prowadzi

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05b6a45e9a

jeszcze kampanii. Zacznie startować w prawyborach nieco później. To polityk, który ma potężne środki finansowe, był dobrym merem Nowego Jorku. I wreszcie osobiście bardzo nie lubi Trumpa, co byłoby jego siłą napędową. Jeżeli więc demokraci zdecydują się na Bloomberga, wówczas mają pewne szanse. Jeżeli jednak zdecydują się na poprawność polityczną i wybiorą liberalną kobietę, czyli senator Elizabeth Warren, lub Joego Bidena, wówczas Trump reelekcję ma zapewnioną.

A jakie są nastroje w obozie republikanów?

Bardzo wielu republikanów za Trumpem nie przepada, bo jest kontrowersyjny, niegrzeczny, łamie reguły. Obecny prezydent ma więc przeciwników także we własnym obozie. Jest jednak potężną lokomotywą wyborczą i bardzo niewielu republikanów zaryzykowałoby odcięcie się od Trumpa. Raczej będą liczyli, że prezydent pociągnie wyborców, którzy zagłosują na niego i innych republikańskich kandydatów. Toczące się w Senacie postępowanie przeciw Trumpowi niemal na pewno urzędującego prezydenta wzmocni.

Próba zdjęcia Trumpa z urzędu, o której pan wspomniał, to był objaw słabości w obozie demokratycznym?

Tak. Cała ta historia wygląda na mocno naciąganą. Jednoznacznie mówiono podczas niedawnych wystąpień w Senacie, że nie można usunąć prezydenta z urzędu pod błahym pretekstem. Gdyby nawet oskarżenia dotyczące nadużycia władzy i utrudniania pracy Kongresu były prawdziwe, to nie są na tyle poważne, by można było usuwać wybranego przez naród prezydenta. Widać wyraźnie, że to spisek demokratów, ja to nazywam nawet kongresowym zamachem stanu. Taka ocena wyraźnie przebija się do opinii publicznej i nie ma powodu sądzić, że heca z impeachmentem osłabi prezydenta. Raczej pokaże, w jak beznadziejnej sytuacji są demokraci, którzy muszą się chwytać tego typu zabiegów, by próbować wyeliminować Trumpa z wyścigu o prezydenturę.

Może chodziło także o to, żeby zohydzić Trumpa wyborcom?

Na pewno. Ale to był nietrafiony plan. Wyciągnięto fakty, które Amerykanów w ogóle nie interesują. Kogo obchodzi, czy Ukraina dostała 550 mln dol. trzy tygodnie wcześniej czy później. Zrobiono z tego aferę, która okazała się mało przekonująca. To przemówiło wyłącznie do przekonanych. Jest część kręgów liberalnych, która obarcza Trumpa winą za wszystko. I to się raczej nie zmieni. Poza tym cała masa amerykańskich liberałów z Partii Demokratycznej, z mediów nie znosi Trumpa i uważa go za niegodnego piastowania urzędu. Oni sami się napędzili i zapędzili w kozi róg, dochodząc do momentu, który jest logiczną konsekwencją tego, co dotychczas robiono, czyli krytykowania i walki z urzędującym prezydentem na wszystkich frontach. To zaszkodzi demokratom, podobnie jak republikanom zaszkodziła walka z Clintonem i próba usunięcia go z urzędu. W tym przypadku najwyższą cenę przy wyborach zapłacą prawdopodobnie ci przedstawiciele Izby Reprezentantów, którzy najostrzej z Trumpem wojują.

Mówi pan o przekonaniu przekonanych, a co z pozostałymi Amerykanami?

Dla ludzi, którzy śledzą sprawę w mediach, całe zamieszanie i jego pobudki wydają się dość oczywiste. Tu warto przywołać słowa o „milczącej większości" wypowiedziane przez prezydenta Nixona w kontekście wojny w Wietnamie. Ci, którzy krzyczą i demonstrują, są widoczni, o nich się pisze i mówi, ale oni nie stanowią większości. Większość, która popiera Trumpa, po prostu się nie wypowiada. Zrobiła to, wybierając prezydenta, ale nie chodzi na demonstracje popierające rząd, nie pisze, nie krzyczy. I niedługo znów wybierze. To, że ją mniej słychać, nie znaczy, że jej nie ma.

Jakie pozycje w tej rozgrywce zajmują media?

Te media, na które często powołuje się Europa i które są tu cytowane, czyli prasa Wschodniego Wybrzeża i główne sieci telewizyjne, są zdecydowanie opanowane przez dziennikarzy liberalnych, którzy w czambuł potępiają Trumpa. Media niedocierające do Europy, media miast środkowego zachodu czy środka Ameryki już wcale tak się nie zachowują. Główne sieci telewizyjne są przeciwko Trumpowi, za to Fox News, który sprzyja prezydentowi USA, zachowuje się przyzwoicie i nie stroni od krytyki, ale robi to w bardzo wyważony sposób. Jeśli chodzi o media społecznościowe, to trudno rozróżnić, ile tam autentycznych wypowiedzi, ile botów, a ile opinii ludzi wynajętych.

Zostańmy przy mediach społecznościowych. Trump chyba umie je wykorzystywać?

Zdecydowanie. Wciąż trzyma się taktyki, którą wybrał w 2016 r., żeby pominąć główne media, czyli zwraca się do Amerykanów bezpośrednio za pomocą właśnie mediów społecznościowych. W ten sposób pokazał, że można rozmawiać z ludźmi, przekazywać im swoje poglądy i stanowisko z pominięciem pośrednika. Za to także media głównego nurtu Trumpa nienawidzą. A on wykorzystuje media społecznościowe, zwłaszcza Twittera, wyjątkowo intensywnie. Być może nawet zbyt intensywnie. Często w sposób żywiołowy, nieprzemyślany, ale widać, że pisze sam. Nikt tego za Trumpa nie robi. To wynika z jego potrzeby natychmiastowego skomunikowania się z wyborcami. Na żywo, uczciwie, bezpośrednio. Moim zdaniem to wzorcowe i bardzo autentyczne wykorzystywanie mediów społecznościowych. Ludzie widzą i czują, że to nie są wygładzone, zredagowane przez fachowców tweety, jak w przypadku innych polityków. Trump okazał się pod tym względem bardzo nowatorski. Z tego powodu zagrożone poczuły się główne media, bo wcześniej miały monopol na przekazywanie tego, co chciały, w komunikacji między władzą a społeczeństwem. Teraz straciły kontrolę nad tym przekazem. To trochę nawiązuje do demokracji ateńskiej i bezpośredniego spotkania władzy z obywatelami. To nie

eprasa.pl 05b6a45e9a

jest możliwe w sensie dosłownym, ale dzieje się właśnie dzięki mediom społecznościowym.

Na jakich jeszcze płaszczyznach Trump okazał się nowatorski?

Prezydent USA to polityk, który łamie reguły, zasady dobrego wychowania, potrafi być bardzo brutalny, bardzo bezpośredni, ostro atakuje przeciwników, wytykając im ich faktyczne słabości. To łamie reguły dyskursu publicznego. W prawyborach republikańskich potrafił powiedzieć jednemu kandydatowi, że jest za niski, innemu, że za gruby, a kobiecie, że jest nie dość ładna. Choć jest to nowa jakość, to akurat nie wiem, czy to jest godne pochwały. Trump jest szczery, bezpośredni, ale czy to przykład pozytywny?

Za co ceni Trumpa wspomniana przez pana milcząca większość, która go wybrała i możliwe, że znów wybierze?

Za to, że jest bezpośredni, nie owija w bawełnę, mówi to, co myśli, wyraża się jak większość ludzi, czyli nie do końca poprawnie gramatycznie, bez sztucznej gładkości. To go odróżnia od całej rzeszy polityków, którzy zachowują się tak, jak zwykły wyborca się nie zachowuje. Poza tym Trump złożył wiele obietnic dotyczących amerykańskiej gospodarki i jego hasło, by uczynić Amerykę znów wielką, jest wdrażane w życie. Pomysły gospodarcze Trumpa mają na celu przywrócenie USA właściwych korzyści z handlu międzynarodowego. Ameryka bardzo traciła latami na różnych układach handlowych, płaciła za bezpieczeństwo świata. Trump żąda, by ci, którzy na tym korzystają, odpłacali się za to. Amerykanom się ta retoryka podoba. Jasne, że po wojnie trzeba było pomóc zrujnowanej Europie, ale teraz ona radzi sobie bardzo dobrze, kwitnie dobrobyt. Chiny wykorzystują Amerykę nie tylko w odczuciu wyborców, ale i realnie. Kanada, Meksyk korzystały z dobrodziejstw układu NAFTA kosztem USA. Trump powiedział: „Dość tego". Mamy być silni i jesteśmy silni, nie damy się wykorzystywać – to trafia do wyborców, choć przecież Ameryka korzysta na wielu aspektach handlu międzynarodowego.

A jaką rolę Ameryka chce dziś odgrywać w świecie?

Przede wszystkim Ameryka nie może zrzec się przywództwa. Jest największym, najbogatszym, najsilniejszym państwem o ogromnym potencjale militarnym, więc przywództwo to jej naturalne miejsce w świecie. Pytanie tylko, czy inne państwa doceniają to i są Ameryce wdzięczne za to, że ich broni i pozwala nie płacić za własne bezpieczeństwo.

> Trump okazał się pod względem wykorzystania mediów społecznościowych bardzo nowatorski. Z tego powodu zagrożone poczuły się główne media

Po co Polsce Ameryka, a Ameryce Polska?

Jeżeli uznamy – a trudno tego nie zrobić – że jesteśmy potencjalnie zagrożeni ze Wschodu, to musimy mieć sojusznika, bo sami sobie z tym nie poradzimy. Nie wiadomo oczywiście, czy w razie kryzysu USA przyjdą nam z pomocą, ale wiadomo, że nikt inny nam z pomocą nie przyjdzie. Bo albo jest za słaby – Niemcy, albo jest za daleko – Francja, albo po prostu nie jest zainteresowany Polską – Wielka Brytania. Tak więc cała nasza nadzieja na pomoc w przypadku kryzysu ogniskuje się na Stanach Zjednoczonych. I nie ma alternatywy. Ani Unia Europejska, ani żadne państwo członkowskie nie chce, nie może lub nie jest w stanie zastąpić USA pod tym względem. Natomiast po co Polska Ameryce? Trump chce stworzyć alternatywę w tej części Europy dla Niemiec, które są negatywnie nastawione do USA, krytykują Amerykę, mają bliskie związki z Rosją (np. Nord Stream 2) itd. W związku z tym Trump chce stworzyć przeciwwagę, by Niemcy nie były jedynym państwem, z którym USA mogą się silnie związać. Polska jest oczywiście słabsza ekonomicznie, to nie jest ten potencjał, który reprezentują Niemcy, jednak inwestując w Polskę, pomagając jej rozwojowi gospodarczemu i militarnemu, Trump chce stworzyć silnego partnera w Europie.

Gdyby jednak listopadowe wybory wygrali demokraci, jak zmieniłaby się polityka USA wobec Polski?

Polityka zagraniczna całkowicie się nie zmieni, ale na pewno inaczej byłyby rozłożone akcenty. Prawdopodobnie Stany Zjednoczone stałyby się bardziej życzliwe Rosji. Żołnierze z Polski pewnie nie zostaliby wycofani, ale mniej by się mówiło o ich znaczeniu, o zagrożeniu ze strony Rosji, itp. Wiele zmieniłoby się w sferze symboliki.

Jakie wnioski mógł wyciągnąć Trump z kryzysu po zabiciu gen. Kasima Sulejmaniego?

Nie było żadnego kryzysu. To było działanie wojskowe przeciwko dowódcy wrogiego państwa. Jednak jego skutkiem nie był jakiś wyjątkowy kryzys. Jak się okazało, w samym Iranie Sulejmani nie był jednoznacznie oceniany. Ta sytuacja wywołała raczej kryzys wewnętrzny w samym Iranie, doszło do demonstracji, ale były to wiece antyrządowe, a nie antyamerykańskie.

Czy nadciągająca w USA kampania będzie bardzo brutalna?

Będzie brutalna, bo Trump jest brutalnym politykiem. Nie będzie oszczędzał swoich przeciwników i będzie mocno atakował. Oni będą się odpłacali albo tym samym – Bloomberg lub będą w pokorze to znosili – Biden. Jeśli kandydatem demokratów zostanie Bloomberg, wówczas z obu stron zostaną odpalone najmocniejsze działa.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Patrzeć, jak świat płonie

Psycholodzy ostrzegają: dzieci i młodzi dorośli nie radzą sobie z proroctwami zagłady płynącymi ze strony klimatologów i ekologów. Coraz częściej wymagają leczenia lekami psychotropowymi w celu zmniejszenia emocjonalnego stresu

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Zuzia ma osiem lat i chodzi do jednej z warszawskich szkół podstawowych. Niedawno wychowawczyni pokazała dzieciom film, na którym rybacy obcinają płetwy rekinom. Płetwy uchodzą za przysmak w Azji. Okaleczone i wciąż żywe zwierzęta wrzuca się z powrotem do morza, gdzie wykrwawiają się na śmierć lub toną. Krwawy film doprowadził Zuzię do płaczu. Nie po raz pierwszy. Jak mówi mama Zuzi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci", dziecko już ma stany lękowe wywołane podobnymi filmami – o ociepleniu klimatu i związanymi z nim katastrofami naturalnymi. Dziewczynka w nocy śni o tym, że świat płonie.

BRAK NADZIEI

„»Lęk klimatyczny« (climate anxiety/eco anxiety) – tak psycholodzy nazywają stan, na który zapada coraz więcej młodych ludzi, bez względu na to, czy aktywnie angażują się na rzecz ochrony klimatu, czy nie" – pisze niemiecki dziennik „Die Welt". Przekonanie, że świat ginie na ich oczach, że to, co widzą za oknami, za chwilę przestanie istnieć, wywołuje u nich depresję, a czasami nawet psychozę. Hamburska psycholog Katharina van Bronswijk opowiedziała w rozmowie z tygodnikiem „Die Zeit" o swojej pracy z dziećmi i młodzieżą cierpiącymi na „ekologiczny smutek". Nazwała to trwałym stanem depresyjnym wywołanym „utratą naturalnych przestrzeni życiowych" poprzez zanieczyszczenie środowiska. Ponad 2/3 młodych ludzi w wieku od 14 do 24 lat w Niemczech „bardzo boi się zmian klimatycznych", jak wynika z sondażu instytutu badań rynkowych i społecznych Sinus. W Stanach Zjednoczonych 57 proc. nastolatków przyznało w badaniu „Washington Post" i Kaiser Family Foundation, że ma napadu lęku związane z ociepleniem klimatu i emisjami CO_2. Zaledwie 29 proc. z nich jednocześnie optymistycznie patrzy w przyszłość.

To m.in. efekt wysiłków takich działaczy klimatycznych jak Greta Thunberg, która oświadczyła na światowym forum gospodarczym w Davos w styczniu 2019 r.: „Nie chcę, byście mieli nadzieję". „Chcę, byście panikowali" – dodała. Jej rówieśnicy więc panikują. Psycholodzy z uniwersytetu w Bath w Wielkiej Brytanii ostrzegali w ubiegłym roku na łamach „The Sunday Telegraph", że dzieci i młodzi dorośli nie radzą sobie z proroctwami zagłady płynącymi ze strony klimatologów i ekologów. Coraz częściej wymagają leczenia lekami psychotropowymi w celu zmniejszenia emocjonalnego stresu. „Symptomy są identyczne do tych występujących w przypadku zwykłych stanów lękowych, tyle że przyczyna jest inna. Dzieci pytają psychologów: »Po co mam chodzić do szkoły? Uczyć się? I tak nie dożyję studiów«" – podkreśla psycholog Caroline Hickman w rozmowie z „The Sunday Telegraph". Jej zdaniem nie należy dzieciom mówić, że świat się kończy. „Nie mówcie im, że wszyscy zginiemy, bo to zwyczajnie nieprawda, a odbiera im chęć do życia. Nie pozostawia żadnej nadziei" – dodaje Hickman.

Lęk klimatyczny dopada także dorosłych, ze szczególnym uwzględnieniem działaczy klimatycznych. Niemiecki dziennik „Die Welt" przytacza przykład 30-letniej aktywistki Extinction Rebellion, Brytyjki Holly-Ann Petersen. Gdy wgłębiła się w temat ochrony klimatu, zaczęła cierpieć na stany lękowe. „Miałam wrażenie, że moje ciało płonie. Robiło mi się ciasno w piersi, było mi niedobrze" – mówi Petersen w roz-

eprasa.pl 05b6a45e9a

mowie z gazetą. Kobieta przyznaje, że zdarzało jej się płakać podczas wykładów o zmianach klimatycznych na uniwersytecie. Dziś wciąż czuje duży niepokój. „O kryzysie klimatycznym myślę w zasadzie cały czas. Czasami czuję frustrację, czasami strach, a czasami głęboki smutek" – podkreśla. Niemiecka blogerka i ekolog Jennifer Hauwehde napisała artykuł o swoich lękach. „Mieć świadomość, że Ziemia płonie, a jednocześnie dalej normalnie żyć, to szpagat, który nie zawsze mi wychodzi. Czasami, gdy myślę o sensie życia i środowisku, nie mogę oddychać" – przyznaje blogerka, która określa się sama jako „wzorowego milenialsa".

KLIMATYCZNE SAMOBÓJSTWO

Pojęcie „lęk klimatyczny" nie weszło jak dotąd do fachowej terminologii. Nie pojawia się ani w podręczniku Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego (DSM 5), ani w podręcznikach Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Psycholog Katharina van Bronswijk jest jednak przekonana, że to tylko kwestia czasu. W Szwecji termin „klimatångest" jest w użytku już od 2011 r. Według niej psycholodzy zaczynają dostrzegać to zjawisko, które jej zdaniem przypomina zespół stresu pourazowego (PTSD), wywołanego „wizją klimatycznej zagłady". Jak dotąd zjawisko to dotyczyło głównie ludzi, którzy przeżyli katastrofy naturalne. Teraz wystarczy wyobrażenie o katastrofie, by przeżyć traumę. 17-letni uczestnik protestów Fridays for Future w Niemczech Jonathan Heckert mówił w telewizji publicznej ZDF o smutku, który go dopada, gdy jeździ pociągiem po kraju i wyobraża sobie, jak jego ojczyzna będzie wyglądała za 30 lat. W mediach społecznościowych młodzi ludzie zastanawiają się, czy za kilkanaście lat Ziemia będzie się wciąż nadawała do zamieszkania. Bzdurne tezy forsowane przez niektórych aktywistów, jak ta, że za kilka lat w Europie będzie tak gorąco, że nie będzie można chodzić boso po chodniku, a starsi ludzie będą umierali na ulicach od emisji CO_2, padają tu na podatny grunt. To, że klimatolodzy, nawet najbardziej zaangażowani, ich nie potwierdzają, nie jest w stanie złagodzić lęków. Pokolenie zetów jest przekonane, że będzie ostatnim pokoleniem. Renomowany psycholog dziecięcy Christian Luedke apeluje w rozmowie z „Die Zeit" do rodziców, by chronili dzieci przed nadmiernym aktywizmem klimatycznym. U bardziej labilnych jednostek może to doprowadzić bowiem „do rodzaju psychozy, do ataków paniki".

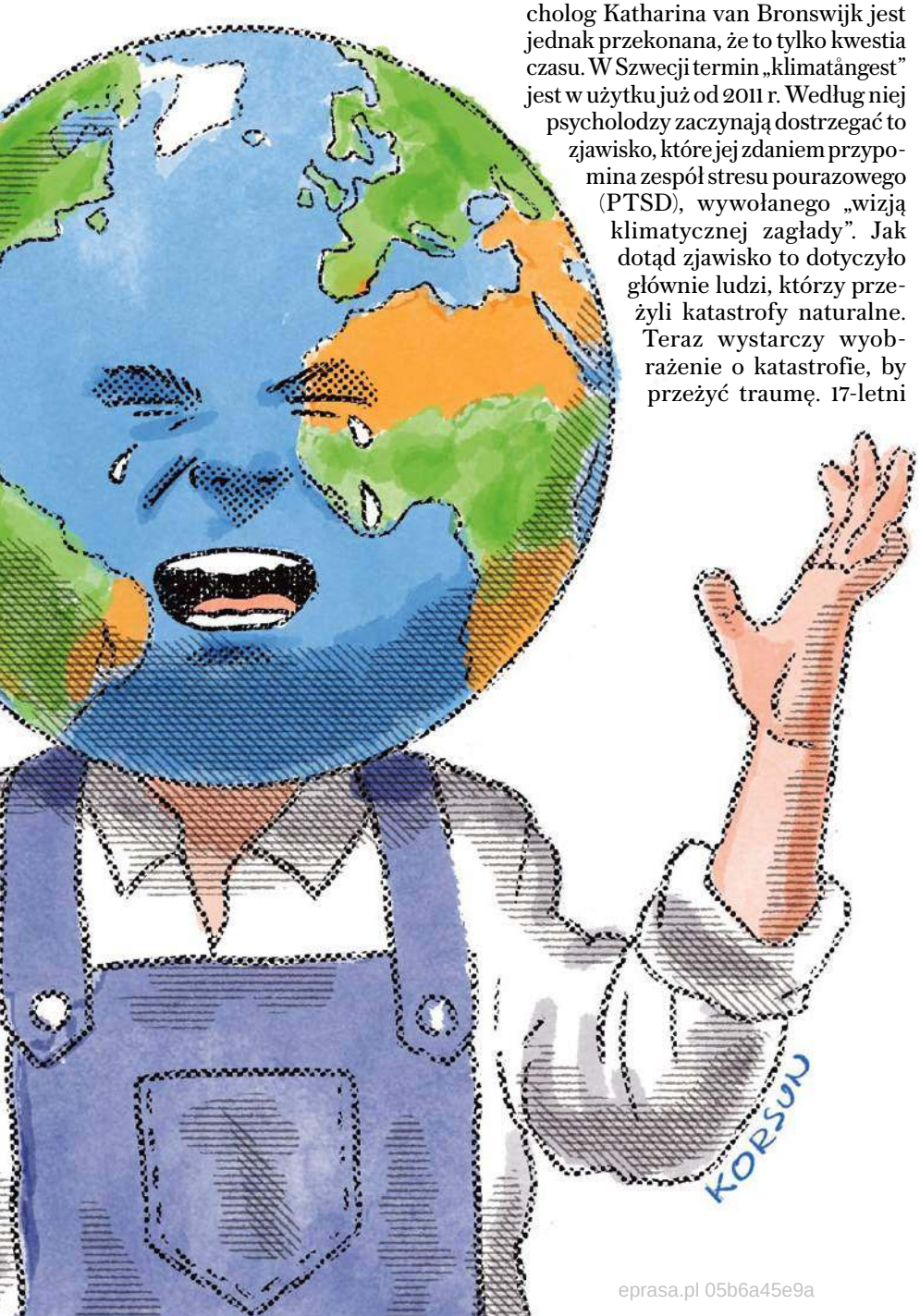

Inni apelują do pokolenia Y, by „nie panikowało", bo to może zaszkodzić ruchowi klimatycznemu, sparaliżować go. Niemieckie media szeroko opisywały przypadek 21-letniej holenderskiej działaczki Frederike, która codziennie myśli o zmianach klimatycznych. Gdy spotyka się z przyjaciółmi, gdy siedzi na wykładach. Wieczorami kładzie się zmęczona do łóżka, rozmyślając nad tym, ile centymetrów lodowców właśnie stopniało. Te myśli jej tak ciążą, że zastanawia się nad tym, czy nie rzucić wszystkiego, przestać się angażować, bo „i tak wszyscy umrzemy". Na końcu Frederike popada w głęboką depresję, z której dźwiga się dzięki terapii. Podobnie jak wielu innych początkowo entuzjastycznych aktywistów niemogących się pogodzić z tym, że ich żądania nie są natychmiast realizowane przez polityczne elity, choć są przecież całkowicie słuszne. Brytyjski aktywista klimatyczny Finn Harris przyznał przy tej okazji publicznie, że z powodu codziennego napływu informacji o stanie środowiska naturalnego „dopada go coraz częściej rozpacz, smutek i depresja". Stowarzyszenie Psychologists for

eprasa.pl 05b6a45e9a

Future, popierające ruch klimatyczny, zaczęło więc wysyłać na demonstracje terapeutów, którzy mają pomóc ich uczestnikom radzić sobie ze strachem i frustracją.

Takie kolektywne, nieracjonalne stany lękowe nie są oczywiście niczym nowym. W latach 80. panował lęk przed wojna atomową, odbywały się marsze na rzecz pokoju, potem było umieranie lasów i dziura ozonowa. To strach wypędzał ludzi wtedy na ulice i tak jest dziś. Greta Thunberg & Co. mają zresztą żywotny interes w tym, by tak pozostało. Gdy ludzie przestaną się bać, panikować, przestaną maszerować. Ten lęk, który ich paraliżuje, napędza machinę klimatycznych proroków zagłady. Jednocześnie wystawia młodych aktywistów na drwiny, nawet z własnego obozu. Była niemiecka polityk Zielonych Jutta Ditfurth nazwała Extinction Rebellion ezoteryczną sektą. Inni mówią o rozhisteryzowanej młodzieży skupionej na własnych emocjach. W Szwecji uczy się młodzież równolegle do aktywizmu redukować własny ślad węglowy, by urealnić doświadczenie klimatyczne i wywołać większy optymizm. W USA organizacja Good Grief oferuje 10-krokowy program radzenia sobie z kolektywną żałobą w kwestiach dotykających całe społeczeństwo, jak rasizm, masowe strzelaniny i zmiany klimatyczne. Program celuje w osoby „poniżej 30. roku życia", które są zachęcane do „konfrontowania się ze swoimi lękami". Portal NBC News przytacza przykład matki trójki dzieci z Salt Lake City, która załamała się z powodu raportu ONZ o wzroście temperatur na Ziemi. Program Good Grief pomógł jej wyjść z rozpaczy i poczucia bezsilności. Dr Lise Van Susteren, psychiatra z Waszyngtonu, twierdzi, że jeszcze kilka lat temu ludzie nie czuli się aż tak osobiście dotknięci zmianami klimatycznymi. „Teraz przestało to być abstrakcją. Coraz częściej mam do czynienia z ludźmi, którzy są w rozpaczy i panikują. Tracą nadzieję" – zaznacza psychiatra. Jak dodaje, jej pacjenci nie chcą mieć dzieci, bo „będą one miały straszne życie". „Słuchanie codziennie, że świat się kończy, wykańcza ich nerwowo" – tłumaczy lekarka. Megan Ruttan Walker, 37-letnia była nauczycielka z Ontario, chciała popełnić samobójstwo z powodu „zbliżającej się apokalipsy". Zamiast tego zgłosiła się do szpitala psychiatrycznego, gdzie została na noc.

EKONIHILIZM

Niektórzy nazywają te stany lękowe „ekonihilizmem", jak skrajnie lewicowa amerykańska filozof Wendy Lynne Lee, lub „środowiskową melancholią", jak prominentny psycholog Renee Lertzman. Sama Greta Thunberg opisała w 2018 r., jak zmiany klimatyczne zaciążyły na jej psychice, gdy miała 10 lub 11 lat. Przestała jeść i mówić. „W przeciągu dwóch miesięcy schudłam 10 kg" – wyznała. Później zdiagnozowano u niej zespół Aspergera i zaburzenie obsesyjno-kompulsywne (OCD).

> W USA 57 proc. nastolatków przyznało w badaniu „Washington Post" i Kaiser Family Foundation, że ma napady lęku związane z ociepleniem klimatu i emisjami CO_2

O to, jak należy zareagować na lęk klimatyczny, toczy się oczywiście ostry spór. Ekolodzy twierdzą, że należy usunąć jego przyczynę, zmiany klimatyczne, i wszystko wróci do normy. Krytycy zaś oskarżają ekologów o to, że sami wywołują panikę, zupełnie niepotrzebnie, bo czerpią z tego zysk. Tymczasem niektórzy psycholodzy apelują o to, by leczyć tych, którzy nie wierzą w klimatyczną zagładę.

W kwartalniku niemieckich psychoterapeutów („Psychotherapeuten Journal") ukazał się artykuł dyplomowanego psychoterapeuty Fabiana Chmielewskiego pt. „Negacja apokalipsy. Kryzys klimatyczny z perspektywy psychoterapii egzystencjalnej", w którym autor przekonuje, że negację zmian klimatycznych da się leczyć. I powinien to robić każdy psychoterapeuta i psycholog. „Duża część społeczeństwa nie interesuje się grożącym zniszczeniem świata. I tylko ziewa ze znudzeniem na myśl o apokalipsie" – pisze Chmielewski. Jeszcze bardziej wątpliwa, jego zdaniem, „jest motywacja ludzi, którzy określają zmiany klimatyczne jako kłamstwo". „Jak wytłumaczyć tak ewidentną negację rzeczywistości? Czy tu nie chodzi o życie lub śmierć? Czy to nie nasza egzystencja jest zagrożona?" – zastanawia się psychoterapeuta. Świat ginie, a oni popijają herbatkę, zamiast dołączyć do Grety & Co. Terapeuta powinien więc zachęcać pacjenta do działań przeciwko ociepleniu klimatu. Na szczególnie opornych pomoże zaś wywoływanie „poczucia winy". „Należy podkreślać odpowiedzialność danej osoby za obecny stan klimatu i krytykować jej zachowanie" – podkreśla Chmielewski. Najtrudniej będzie jego zdaniem przekonać tych, którzy uważają, że to wszystko tylko histeria. Oni posiadają bowiem „własną ideologię nieśmiertelności, złożoną z absurdalnej wiary we wzrost gospodarczy oraz międzynarodową konkurencję". To szczególnie poważny stan chorobowy i w tym wypadku pomoże tylko apel do wyższych wartości pacjenta, przekonywanie go do „rezygnacji z własnej autonomii (jazdy samochodem choćby) dla dobra przyszłych pokoleń". Stworzenie poczucia globalnej przynależności, wspólnego cierpienia.

To pranie mózgu jest zdaniem Chmielewskiego niezbędne, by wyciągnąć ludzi z „egzystencjalnej neurozy", jaką ma być negacja powodowanych przez człowieka zmian klimatycznych.

Można by rzec: wszystko już było. Za czasów sowieckich wsadzano negujących osiągnięcia komunizmu do psychuszki. Siedzieli tam tak długo, aż zrozumieli swój błąd. Niemieccy psychoterapeuci nie są jeszcze na tym etapie (bolszewickiej) mądrości. Ale jak tak dalej będzie, to w końcu do niego dotrą.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Pod koniec stycznia okazało się, że Sofia jest kolejną europejską stolicą, która przestała współpracować z Rosją „w tradycyjnie konstruktywnym duchu". Co się kryje za tym enigmatycznym stwierdzeniem?

MAREK BUDZISZ

Bułgaria pod presją rosyjskich szpiegów

eprasa.pl 05b6a45e9a

Właśnie wtedy do bułgarskiego MSZ został wezwany rosyjski ambasador Anatolij Makarow, którego poinformowano o decyzji rządu nakazującej natychmiastowe opuszczenie kraju przez jednego z rosyjskich dyplomatów oraz Rosjanina pracującego w misji handlowej. Tego samego dnia miejscowa prokuratura poinformowała na dodatek o wniesieniu oskarżenia i wystawieniu międzynarodowego listu gończego za jeszcze trzema Rosjanami. Działania te to pokłosie ciągnącej się od kilku miesięcy sprawy związanej z próbą otrucia, najprawdopodobniej znanym z brytyjskiego Salisbury gazem nowiczok, bułgarskiego przedsiębiorcy i handlarza bronią Emiliana Gebrewa.

Cała afera, w którą notabene włączyli się brytyjscy eksperci (Sofia zwróciła się do nich o pomoc), zdarzyła się jeszcze w 2015 r., kiedy Bułgar, ale również jego syn i księgowy zostali zatruci „nieznaną substancją" zakwalifikowaną w specjalistycznym laboratorium w Helsinkach do grupy środków zaliczanych do bojowych gazów paraliżująco-drgawkowych.

Specjalizująca się w tropieniu rosyjskich szpiegów dziennikarska grupa dochodzeniowa The Bellingcat ustaliła, że za próbą otrucia bułgarskiego przedsiębiorcy stoi grupa ośmiu rosyjskich oficerów wywiadu wojskowego GRU, którzy kilkakrotnie przyjeżdżali w tym czasie do Sofii. Wśród nich był m.in. znany pod nazwiskiem Siergiej Fiedotow Denis Siergiejew, którego brytyjskie służby specjalne zidentyfikowały jako współpracownika trucicieli z Salisbury, oraz inny oficer rosyjskiego wywiadu, oskarżany przez władze Czarnogóry o próbę zorganizowania w tym kraju zamachu stanu, którego celem miało być zablokowanie akcesji do NATO (notabene wcześniej pracował w warszawskiej placówce dyplomatycznej Rosji).

CZYM SIĘ NARAZIŁ GEBREW

Jednak najciekawsze w całej sprawie są ustalenia dziennikarzy na temat powodów, dla których miano podjąć próbę zgładzenia bułgarskiego dyplomaty. Otóż śledczy, początkowo biorący pod uwagę albo scenariusz zemsty Rosji na Gebrewie, który w 2008 r. dostarczał broń do Gruzji, albo wiążący całą sprawę z dostarczaniem przez jedną z firm bułgarskiego przedsiębiorcy broni dla syryjskiej opozycji antyasadowskiej, obecnie raczej przyjmują inną wersję. Cała operacja miała być zrealizowana na zlecenie lokalnego konkurenta, firmy „zaprzyjaźnionej" z Moskwą. Mielibyśmy w takiej sytuacji albo do czynienia z „prywatyzacją" operacji szpiegowskich, zjawiskiem, w którym rosyjskie szwadrony śmierci działają w Europie na zlecenie konkurujących z sobą przedsiębiorców, albo ze znacznie bardziej wyrafinowanym działaniem, którego celem jest takie ukształtowanie wrażliwego z punktu widzenia Federacji Rosyjskiej rynku, aby to kontrolowane przez nią podmioty odgrywały na nim największą rolę.

SENSACYJNY SERIAL

To, co się wydarzyło kilka dni temu, jest tylko kolejnym odcinkiem serialu szpiegowskiego z udziałem Rosjan, który w ostatnich miesiącach wstrząsa Bułgarią.

Pod koniec października ubiegłego roku przedstawiciel bułgarskiego MSZ spotkał się z ambasadorem Rosji w Sofii i poprosił w trakcie rozmowy o to, aby pierwszy sekretarz ambasady opuścił w ciągu najbliższych dni kraj. Bułgarskie media informowały, że prośba związana była z wynikami oficjalnego dochodzenia, w którego świetle udowodniono wydalonemu dyplomacie, że przez czas nie krótszy niźli rok prowadził działalność szpiegowską. Ujawniono również, że dyplomata odbył w tym czasie wiele spotkań z bułgarskimi urzędnikami mającymi dostęp do tajnych i poufnych dokumentów dotyczących zarówno Bułgarii, jak i Unii oraz NATO. Kilkanaście dni później media informowały, że Sofia odmówiła udzielenia wizy i wpuszczenia na swe terytorium attaché wojskowego rosyjskiej ambasady. Kroki te spotkały się wówczas z symetryczną odpowiedzią Moskwy, która zażądała w grudniu, aby jeden z pracowników bułgarskiej placówki opuścił Rosję.

> Ostatni nakaz opuszczenia kraju przez jednego z rosyjskich dyplomatów jest tylko kolejnym odcinkiem serialu szpiegowskiego z udziałem Rosjan, który w ostatnich miesiącach wstrząsa Bułgarią

Na początku września bułgarskie władze oskarżyły też byłego deputowanego do bułgarskiego parlamentu z list partii socjaldemokratycznej Nikołaja Malinowa, lidera ruchu Rusofile, o współpracę z rosyjskimi think tankami, które są przykrywką dla działalności służb specjalnych (Malinow został aresztowany, a po przedstawieniu zarzutów wyszedł na wolność po wpłaceniu kaucji). Chodzi przede wszystkim o Instytut Studiów Strategicznych (ISS) oraz Towarzystwo Dwugłowego Orła. W opinii bułgarskiego prokuratora generalnego Sotira Tsatsarowa Malinow przekazywał informacje będące tajemnicą państwową. Jednak w tym przypadku, jak wynika z wypowiedzi Tsatsarowa, głównym „odcinkiem" działalności Malinowa była polityka – chodziło o zdestabilizowanie sytuacji wewnętrznej kraju, ale przede wszystkim o zmianę orientacji jego polityki zagranicznej na prorosyjską.

Z tego też powodu równolegle bułgarskie władze wydały oficjalny 10-letni zakaz wjazdu na teren kraju dla generała porucznika Leonida Reszetnikowa, emerytowanego oficera wywiadu ZSRR i Rosji, biegle władającego bułgarskim oraz serbskim, który wielokrotnie w przeszłości odwiedzał Bułgarię, a w latach 2009–2017 był dyrektorem w ISS. W opublikowanym niedawno przez Atlantic Council specjalnym

eprasa.pl 05b6a45e9a

raporcie na temat najważniejszych rosyjskich think tanków Instytut Studiów Strategicznych, wywodzący się z rosyjskich służb specjalnych, zaliczony został do jednej z czterech najważniejszych instytucji tego rodzaju w Federacji Rosyjskiej, bezpośrednio uzależniony od administracji prezydenckiej oraz za kadencji Reszetnikowa odpowiadający za „konserwatywny i religijny" front oddziaływania. Reszetnikow był jednym z najbliższych współpracowników doradcy Putina Wladislawa Surkowa, który „nadzorował" nieuznawane przez świat separatystyczne republiki Abchazji i Osetii Płd., a także „ludowe" republiki Donbasu. Surkow właśnie poinformował o odejściu ze służby państwowej, choć powodem jego dymisji nie były zapewne niepowodzenia w Bułgarii.

Bułgarskie służby specjalne w trakcie rewizji w biurach Malinowa znalazły raport, w którym, prócz kwestii politycznych, omawiane są finansowe transfery z Rosji, dzięki którym będzie można zbudować, jak pisze jego autor, „ekonomiczne podstawy naszego ruchu". Mówi się o przekazaniu jeszcze w 2015 r. przez bankiera Tzwetana Wasiliewa rosyjskiemu przedsiębiorcy Konstantinowi Małofiejewowi aktywów w postaci udziałów w firmach telekomunikacyjnych, produkujących broń i amunicję oraz kanały telewizyjne o łącznej wartości ok. 1,5 mld dol.

Małofiejew jest znanym rosyjskim „prawosławnym oligarchą" finansującym wiele działań Moskwy głównie w krajach bałkańskich. Wymieniany był jako jeden z organizatorów oraz sponsorów zamieszek, jakie wybuchły w Macedonii przed zmianą nazwy kraju. Jego związki z rosyjskimi służbami specjalnymi nie budzą wątpliwości. Ostatnio BBC opublikowało wyniki swego dochodzenia, w którym ujawnia, że za upadkiem – jaki nastąpił pod koniec ubiegłego roku – największej rosyjskiej giełdy kryptowalut Wex, z której zniknęło w jedną noc 450 mln dol., stał właśnie Małofiejew i FSB.

OTWARCIE NA USA

Wydarzenia ostatnich kilkunastu tygodni już doprowadziły do zmiany wektora polityki zagranicznej Bułgarii. Sofia zaliczana tradycyjnie do grupy europejskich państw zwolenników współpracy z Rosją, czego dowodem miało być choćby to, że nie zdecydowała się na antyrosyjskie sankcje wprowadzone przez wiele państw europejskich w geście solidarności z Wielką Brytanią po próbie otrucia w Salisbury Siergieja Skripala i jego córki, dziś prowadzi znacznie bardziej wyważoną politykę. Nie tylko zdecydowała się na zakup amerykańskich myśliwców F16, mimo iż wcześniej planowała nabycie szwedzkich gripenów, lecz również zmieniła swą politykę w zakresie zaopatrzenia w surowce energetyczne. W czasie niedawnej wizyty w Stanach Zjednoczonych bułgarska minister odpowiadająca za sektor energetyczny potwierdziła wolę władz dywersyfikowania źródeł dostaw węglowodorów w taki sposób, aby uniezależnić się od Rosji. „Kierunek dostaw gazu ziemnego do Bułgarii znacząco się zmieni i udział rosyjskiego surowca spadnie z obecnych 85 proc. do ok. 50 proc." – powiedziała w Waszyngtonie Temenużka Petrowa.

Jej deklaracje są zresztą tylko kolejnym potwierdzeniem tego, co wcześniej w czasie wizyty w Białym Domu mówił bułgarski premier Bojko Borisow. To wówczas padły deklaracje o bułgarskim zaangażowaniu w budowę rurociągu mającego połączyć system gazowy kraju z budowanym w Grecji portem dysponującym terminalem do przyjmowania skroplonego gazu LNG oraz o zainteresowaniu Sofii wspólnym grecko-cypryjsko-izraelskim przedsięwzięciem budowy gazociągu East Med. Borisow, który już wcześniej wypowiadał się za rezygnacją Bułgarii ze współpracy z Federacją Rosyjską w sektorze energetyki jądrowej, doprowadził też do ogłoszenia przez swój rząd w pierwszych dniach stycznia międzynarodowego zaproszenia skierowanego do firm ze Stanów Zjednoczonych, Japonii, Korei Płd., Francji oraz Rosji do rokowań w sprawie rozbudowy bułgarskiej elektrowni jądrowej w Belene. Specjaliści są przekonani, że szanse Rosjan na ostateczny sukces w rokowaniach i uzyskanie kontraktu są, eufemistycznie mówiąc, „dość ograniczone".

Może dlatego właśnie tradycyjnie prorosyjska bułgarska socjaldemokratyczna opozycja zgłosiła ostatnio wotum nieufności wobec gabinetu Borisowa. Powodem takiego kroku jest, jak poinformowano, „rosnące zaniepokojenie" stanem rodzimego środowiska przyrodniczego i perspektywą suszy oraz możliwymi przerwami w zaopatrzeniu w wodę. To ekologiczne wzmożenie opozycji w kraju, który do tej pory uprawiał wobec Rosji „politykę konstruktywną", w świetle opisywanych wydarzeń staje się nieco bardziej zrozumiałe.

REKLAMA

71/0120/F

eprasa.pl 05b6a45e9a

Kłótnia Litwinów o polskiego ministra

Jarosław Narkiewicz

Po raz pierwszy zdarzyło się w Wilnie, aby tamtejszy szef rządu zarzucił głowie państwa dyskryminację narodowościową Polaków żyjących na Litwie

JAN ROKITA

Co prawda Saulius Skvernelis zrobił to tak, aby nie można go wprost oskarżyć o uchybienie godności urzędu głowy państwa litewskiego, ale ani sens, ani adresat stanowczego napomnienia premiera nie budzą na Litwie wątpliwości. „Nie obwiniam prezydenta – mówi Skvernelis w opublikowanym 19 stycznia wywiadzie dla głównego portalu informacyjnego krajów bałtyckich DELFI – ale widzimy, jakie jest tego tło: coraz bardziej przypomina dyskryminację narodowościową".

Te ostre słowa padły jako reakcja na uporczywe oskarżenia i żądania dymisji ministra transportu i komunikacji Jarosława Narkiewicza, zgłaszane bezskutecznie już trzeci miesiąc przez prezydenta Gitanasa Nausėdę. Tymczasem premier uważa, że brakuje wystarczających podstaw dla zarzutów formułowanych przez prezydenta, a skierowana przeciw Narkiewiczowi kampania medialna wynika z tego, że minister reprezentuje w rządzie partię polskiej mniejszości – AWLP-ZChR. Takie dążenie do usunięcia Polaka z rządu Skvernelis nazywa „polityką krótkowzroczną", gdyż – jak argumentuje – „ostatnio ta siła polityczna, z której wywodzi się minister, szybko integruje się ze społeczeństwem i państwem litewskim". Skvernelisowi idzie oczywiście o AWLP-ZChR, czyli partię, która zaczynała swoją historię od daleko idącego sceptycyzmu wobec niepodległej Litwy, a w kręgu swoich przywódców ma działaczy o poglądach filorosyjskich.

Na razie prezydent przegrywa starcie z koalicją rządową, chociaż nie kryje tego, iż dalszą obecność Narkiewicza w rządzie uważa za „problem państwowy".

POLSKA PARTIA JĘZYCZKIEM U WAGI

Wszystko zaczęło się od ubiegłorocznego kryzysu rządowego, wywołanego słabym wynikiem Skvernelisa, który był kontrkandydatem Nausėdy w majowych wyborach prezydenckich. Po uzyskaniu 20 proc. głosów i niedostaniu się do drugiej tury wyborów premier podał się do dymisji. Skvernelis reprezentuje centrowy Litewski Związek Chłopów i Zielonych (LVLS), założony przez magnata biznesu rolnego Ramūnasa Karbauskisa, który po zwycięstwie swojej partii w wyborach 2016 r. oddał faktyczne kierownictwo polityczne partii i rządu premierowi, zachowując dla siebie (znaną dobrze także w Polsce) rolę „zwykłego posła". Dalsze utrzymanie władzy umożliwiło Skvernelisowi rozszerzenie dotychczasowej koalicji rządowej właśnie o partię mniejszości polskiej, której osiem mandatów w 141-osobowym litewskim Sejmie gra obecnie rolę języczka u wagi. Nic więc dziwnego, że AWPL-ZChR dostała w nowej koalicji aż dwa istotne resorty: sprawy wewnętrzne oraz transport i komunikację.

Kandydatem szefostwa partii do MSW był od początku 58-letni Narkiewicz, polityk blisko związany z szefem AWPL-ZChR europosłem Włodzimierzem Tomaszewskim. Już wtedy jednak oddanie tak znaczącej pozycji w rządzie człowiekowi Tomaszewskiego, uważanego w Wilnie za filorusa i niepopularnego w litewskiej elicie politycznej, budziło na tyle duże opory, że partia dokonała wówczas personalnego virement, na szefową MSW wskazując 46-letnią Ritę Tomaszun (jedyną obecnie kobietę w litewskim gabinecie), Narkiewicza kierując zaś do resortu transportu i komunikacji.

NAGONKA NA MINISTRA

Chmury nad Narkiewiczem zaczęły się zbierać niemal natychmiast po objęciu przezeń urzędu. W październiku udał się do Abu Zabi na globalną konferencję na temat drogownictwa, ale litewskie media wyśledziły, iż nie stawił się na zapowiedzianą prezentację (powierzając ją wiceministrowi), za to za 713 euro wydał kolację na koszt litewskiej Dyrekcji Dróg. Media zmusiły Narkiewicza do zwrotu pieniędzy za kolację i (jak to bywa w takich sytuacjach) roz-

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 05b6a45e9a

poczęły na niego polowanie. Wkrótce okazało się, że minister wynajmuje swoje mieszkanie, a w hotelu sejmowym nocuje czasem jego córka; że nie wpisał w odpowiedniej rubryce deklaracji majątkowej, że jego żona trudni się wynajmem nieruchomości; że przegapił termin formalnego zgłoszenia faktu kierowania oddziałem Związku Polaków w Trokach. Media twierdziły nawet, że Narkiewicz trudni się... kłusownictwem, gdyż łowi ryby bez zezwolenia, co wyśmiewał potem sam premier jako dowód kłamliwej nagonki na ministra.

Ale najpoważniejszy zarzut polityczny wobec Narkiewicza dotyczył w gruncie rzeczy promowania Polaków w administracji i rozdziale funduszów budżetowych. To właśnie prezydent oskarżył go o mianowanie „aż 20 Polaków" w podległych mu strukturach (głównie w Poczcie Litewskiej, gdzie Narkiewicz odwołał dotychczasowy zarząd), a także o uprzywilejowanie zdominowanego przez Polaków rejonu wileńskiego, przez przyznanie 300 tys. euro na remonty tamtejszych dróg (ok. 1/10 ogółu funduszów rządowych na ten cel przeznaczonych).

ZWROT SKVERNELISA

Cały ten „akt oskarżenia" wobec Narkiewicza nie wyglądałby nazbyt poważnie, gdyby nie tlący się w jego tle wewnętrzny spór pomiędzy litewskimi politykami o to, jak należy traktować partię mniejszości polskiej oraz generalnie – samą „kwestię polską".

Premier Skvernelis jest autorem wielkiego zwrotu w tej dziedzinie, jaki dokonał się pod jego rządami. Rozwiązanie wieloletniego konfliktu Orlenu z kolejami litewskimi, rozszerzenie dostępności polskiej telewizji, inwestycje w polskie szkolnictwo, spektakularne uroczystości 3 maja ub.r. oraz państwowy pogrzeb przywódców powstania styczniowego – to tylko niektóre, najbardziej widoczne przejawy nowej polityki Skvernelisa. Dowartościowanie AWPL-ZChR jest częścią tej strategii, za pomocą której premier chce budować coraz silniejszą więź lojalności z państwem litewskim Polaków z Wileńszczyzny i Solecznickiego. Przy czym tak się akurat składa, że ów projekt polityczny Skvernelisa wpasowuje się doskonale w interesy jego partii LVLS, która wyraźnie osłabła od czasu ostatnich wygranych wyborów w 2016 r., a w roku 2019 przegrała potrójne wybory: samorządowe, prezydenckie i europejskie. Partia rządząca nie tylko zatem potrzebuje obecnie głosów polskich w Sejmie dla utrzymania się przy władzy, ale liczy na trwałość tego sojuszu, w obliczu zbliżających się jesiennych wyborów powszechnych.

Tymczasem Nausėda, który wobec zwiększenia politycznej roli mniejszości polskiej był i pozostaje sceptyczny, zarzuca LVLS obronę Narkiewicza w imię „układanek partyjnych", obwiniając partię rządzącą o to, że „nie kieruje się interesem państwa". O ile więc prezydent próbuje zdefiniować istotę konfliktu o Narkiewicza jako spór o standardy rządzenia, których jego zdaniem koalicja rządowa nie respektuje, o tyle premier, trzeba przyznać – dość odważnie, negliżuje prawdziwą naturę tego konfliktu, za którą stoi różnica poglądów Litwinów na kwestię narodowościową.

> Partia rządząca na Litwie nie tylko potrzebuje obecnie głosów polskich w Sejmie dla utrzymania się przy władzy, ale liczy na trwałość tego sojuszu w obliczu zbliżających się jesiennych wyborów powszechnych

CO DALEJ?

Utrzymanie się Narkiewicza w rządzie aż do jesiennych wyborów nie jest przesądzone, ale całkiem prawdopodobne. Tym bardziej że kontrowersyjny minister ma dwóch – jak dotąd – bardzo silnych protektorów. Z jednej strony jest to twórca i lider LVLS „zwykły poseł" Karbauskis, który publicznie zaangażował swój autorytet w odpieranie zarzutów wobec Narkiewicza, i (jak się wydaje) darzy ministra osobistą sympatią. Z drugiej zaś przywódca AWPL-ZChR Tomaszewski, który najwyraźniej nie chce, nawet za cenę przewlekłego konfliktu partii z prezydentem, odpuścić Narkiewicza, zastępując go jakimś innym polskim politykiem. Taki ruch sugerują ci spośród działaczy polskich na Litwie, którzy od lat pozostają krytyczni wobec Tomaszewskiego i kontrolowanej przezeń ekipy kierowniczej w partii i Związku Polaków, np. były poseł Artur Płokszto. Wygląda jednak na to, że obrona pozycji Narkiewicza w rządzie jest dla Tomaszewskiego równoznaczna z obroną własnej pozycji niekwestionowanego lidera mniejszości polskiej.

Nausėda tymczasem próbuje publicznie dyskredytować Narkiewicza, m.in. ironizując na temat jego politycznej niesamodzielności i posłuszeństwa wobec Tomaszewskiego. „Wydaje mi się – mówi prezydent – że jest minister o innym nazwisku, który daje wytyczne, kiedy pan Narkiewicz ma mówić, a kiedy milczeć". Ostatnio Nausėda próbuje na własną rękę dotrzeć do litewskich Polaków, obchodząc kierownictwo AWPL-ZChR. Taki ewidentnie polityczny cel miała konferencja na temat problemów mniejszości polskiej, na którą prezydent zaprosił liczne grono polskich działaczy, zwłaszcza oświatowych, jednak bez udziału polskich ministrów i posłów.

Bardzo jednak wątpliwe, czy taka „licytacja o Polaków", która jest wynikiem napięcia pomiędzy aktualnymi głównymi ośrodkami władzy w Wilnie, przyniesie jakieś nowe koncesje wobec mniejszości polskiej na Litwie. Zwłaszcza gdyby miało się okazać, że filopolski premier Skverenelis, walczący nie tylko z przeciwnościami politycznymi, ale także z własną ciężką chorobą, odejdzie z urzędu, a Związek Chłopów i Zielonych ulegnie konserwatystom w jesiennych wyborach do Sejmu.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Ani słowa o niepodległości

W drugiej dekadzie XXI w. istnieją dwa ośrodki polityczne ze słowem „Chiny" w nazwie: Chińska Republika Ludowa i Republika Chińska (potocznie Tajwan). Pierwsza zadanie modernizacji kraju oparła na dostosowanym do warunków Państwa Środka marksizmie, druga na wartościach demokratycznych państw Zachodu. Jak splatają się te dwie drogi?

PIOTR PLEBANIAK

Pierwsza połowa XX w. to dla Państwa Środka okres chaosu międzydynastycznego. Po rewolucji Xinhai i obaleniu mandżurskiej dynastii Qing w 1911 r. w tragicznie zacofanym państwie proklamowano Republikę Chińską. Ojcem Narodu, tytułowanym tak po obu stronach Cieśniny Tajwańskiej, został Sun Yat-sen (1866–1925).

Nieubłagane siły historii, jak przy każdym wcześniejszym domknięciu cyklu dynastycznego, przyniosły kilka dekad chaosu. Sun Yat-sen z Partią Narodową (Kuomintang, KMT) i Mao Zedong (KPCh), Japończycy i liczni tzw. warlordowie byli stronami, które w rozmaitych dynamicznych konfiguracjach rywalizowały i wchodziły z sobą w sojusze.

Rząd Narodowy pod wodzą generalissimusa Czang Kaj-szeka nie zdołał stworzyć ani jedności politycznej, ani siły duchowej i moralnej, która pozwoliłaby zapanować nad żywiołem historii. W 1949 r. ewakuował się na odzyskaną cztery lata wcześniej od Japończyków wyspę Tajwan. Tylko wybuch wojny koreańskiej uchronił pokonany reżim od

eprasa.pl 05b6a45e9a

Komitet wyborczy w położonej nad oceanem wiosce plemienia Yiwan

ostatecznej klęski. Stany Zjednoczone zrewidowały wcześniejszą decyzję i wsparły Czang Kaj-szeka militarnie oraz politycznie.

Bazą ideologiczną KMT były opracowane przez Sun Yat-sena tzw. trzy zasady ludowe. Pierwsza (Minzu) miała zjednoczyć grupy etniczne zamieszkujące Chiny w jeden naród definiowany zamieszkiwaniem w obrębie jednego państwa. Druga (Minquan, tłumaczona jako demokracja) ustanawiała dynamikę relacji między ludem a władzą, będąc hybrydą wzorców amerykańskich i tradycji konfucjańskich. Trzecia (Minsheng) definiowała mechanizmy ekonomiczne pozwalające ludności zapewnić dobrobyt.

OD STANU WOJENNEGO DO DEMOKRACJI

Musiały minąć cztery dekady, aby Kuomintang powrócił do demokratycznych korzeni ideologicznych. Był to okres stanu wojennego, a przy tym represji i opresji wobec kolonizującej przez stulecia Tajwan (wcześniej Formozę) ludności minnańskiej, hakka i innych grup etnicznych napływających głównie z przylegającej do Tajwanu prowincji Fujian. Odejście od ideałów demokratycznych na rzecz rządów twardej ręki usprawiedliwiano nie bez racji zagrożeniem zewnętrznym. Groźba inwazji z kontynentu była bardzo realna.

Od 1976 r. decyzją reżimu KMT Taiwan zaczął się zmieniać w „azjatyckiego tygrysa", co zaowocowało powstaniem silnej ekonomicznie, opartej na drobnej przedsiębiorczości klasy średniej wywodzącej się z ludności benshengren (dosł. urodzeni w tej prowincji). To ci mieszkańcy Tajwanu, którzy mają korzenie wcześniejsze niż czas przeniesienia administracji RCh na Tajwan w 1949 r. Ci, którzy przybyli na wyspę w wyniku wojny domowej, a więc w znacznej części aparat administracyjny i wojskowy Rządu Narodowego wraz z rodzinami, zwani byli waishengren (dosł. urodzeni poza prowincją).

By poznać pełniej obraz tajwańskich zawiłości historycznych, musimy jeszcze wiedzieć o wątku japońskim. Wyspa była wzorcową japońską kolonią w latach 1896–1945. Podejście Japończyków do ludności miejscowej i ich wkład w ucywilizowanie Tajwanu były zasadniczo lepsze od nastawienia i czynów żołnierzy armii Czang Kaj-szeka, zdemoralizowanych przegraną wojną i odczytujących niechęć miejscowych jako przejaw kolaboracji z drugim obok komunistów wrogiem Rządu Narodowego – Cesarstwem Japonii.

Skalę niechęci i animozji pokazał tzw. incydent 228 (28 lutego 1947 r.), kiedy sprzeczka policjanta ze sprzedawcą papierosów eskalowała do strzelania na ślepo w tłum... a zaraz po tym do wprowadzenia stanu wojennego i tzw. białego terroru. Sprowadzał się on do bezwzględnego zamordyzmu i brutalnego duszenia wszelkiej niesubordynacji ludności benshengren. Te mroczne czasy to kary więzienia za mówienie w języku (dialekcie) tajwańskim zamiast w narzucanym języku narodowym (zasadniczo zbieżnym z oficjalnym językiem putonghua obowiązującym w ChRL), palenie pamiątkowego munduru policji japońskiej na wieść o nadchodzącym do wioski patrolu wojska KMT (jedna z zebranych przez mnie miniopowiastek z lat 40.). To też morderstwo polityczne mieszkającego w Kalifornii niewygodnego dla prezydenta Tajwanu dziennikarza Henry'ego Liu – w 1984 r.!

Pożegnanie z autorytaryzmem i stanem wojennym nastąpiło w 1987 r. – z kalkulacji pragmatycznej, wobec zmieniających się warunków geopolitycznych. Na scenie pojawiła się Demokratyczna Partia Postępu (DPP), z największym poparciem na południu Tajwanu, będącym pod mniejszym wpływem Kuomintangu, którego ośrodkiem wpływu była stolica Tajpej na samej północy wyspy.

Formalnie rozliczenie z terrorem nastąpiło w 1995 r. Wiązało się z nim m.in. wskazanie Czang Kaj-szeka jako głównego winnego eskalacji przemocy. Nadal jednak pamięć o całym okresie stanu wojennego jest istotnym bagażem historycznym, a więc kluczowym elementem rozgrywek politycznych.

BURDY, BIJATYKI, PROWOKACJE

DPP, aby stworzyć kontrsiłę wobec KMT, w niezwykle profesjonalny i całkowicie spójny sposób skomponowało ofertę dla Tajwańczyków, zwłaszcza dla ludności benshengren. Z prawami człowieka, ideami wolności, z pakietem liberalnych i pseudoliberalnych zasad zmiksowano m.in. politykę równościową gender, promowanie subkultur mniejszości seksualnych, postulaty pseudofeministyczne. Natura tych ostatnich narzędzi walki, wykutych w dekadach konfliktów społecznych w państwach zachodnich, choć trudna kulturowo do przyjęcia dla Tajwańczyków, i tam zdobyła już mocne przyczółki.

Przykład. Kontaktując się ze sztabami partii konserwatywnych, a więc

eprasa.pl 05b6a45e9a

opozycyjnych wobec lidera DPP przed ostatnimi wyborami, zauważyłem, że ich decydenci są całkowicie niezdolni do konfrontacji z różnymi pseudorównościowymi teoriami, należącymi do pakietu tzw. polityki tożsamości, importowanymi z Zachodu. Jeden z asystentów kandydata tych partii na fotel prezydenta stwierdził znakomitym angielskim w rozmowie ze mną, że w tej chwili ruch LGBTQ+ na Tajwanie jest – cytuję – „nietykalny".

Konfrontacje między dwiema opcjami politycznymi miały w przeszłości bardzo emocjonalny charakter. W czasie obrad dochodziło do burd i bijatyk. Niektóre można do dziś zobaczyć w serwisie YouTube. Osobom zdegustowanym niskim poziomem debaty publicznej w Polsce polecam wpisanie frazy „Taiwan parliament brawl".

Jednym z zabawniejszych epizodów tajwańskiej demokracji były wybory prezydenckie 2004 r., w których o reelekcję starał się kandydat DPP Chen Shui-bian. Tuż przed wyborami dokonano próby zamachu na jego życie! Został postrzelony przez snajpera. Rozemocjonowanym wyborcom pokazano nawet ranę od kuli, która drasnęła kandydata. Rana niestety wyglądała mocno podejrzanie, była podobna do nacięcia wykonanego skalpelem. Mimo technicznej usterki, retoryka oparta na generowaniu skrajnych emocji oraz wywołane zamieszanie zapewniły Chenowi reelekcję.

UWIKŁANIA Z CHRL

Ostatnim istotnym elementem sceny politycznej Tajwanu jest sprawa relacji z ChRL. O czym mało kto wie, ale tzw. trzeci kryzys w Cieśninie Tajwańskiej z lat 1995–1996 miał skrzętnie wyciszany epizod. Ćwiczenia rakietowe w bezpośrednim sąsiedztwie wyspy, zapoczątkowane w 1995 r., były pokazem siły ChRL, ale zdarzyło się coś więcej. Sztab wyborczy kandydata prezydenckiego Lee Teng-hui tuż przed wyborami wyemitował spot pokazujący inwazję na Tajwan w wykonaniu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. To ten incydent doprowadził kryzys do apogeum.

Oczywiście do inwazji nie doszło, ale wojny dziś prowadzone nie muszą mieć

Prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen

charakteru militarnego. Kryzys był dotkliwym ciosem dla tajwańskiej gospodarki uzależnionej od eksportu. A to mogło doprowadzić do bankructwa wyspy. Dla wszystkich stało się jasne – i jest oczywiste do dziś – że jakiekolwiek poważne wyskoki proniepodległościowe automatycznie uderzą w prosperity wyspy. A niesforny „patriota" zostanie wykluczony z grona ludzi przyzwoitych także przez swoich własnych kamratów.

Uzależnienie gospodarcze Tajwanu od Pekinu jest na tyle duże, że ChRL może w istotny sposób wpływać na nastroje społeczne na wyspie. Przykładem są dotacje dla tajwańskich rolników, w tym też skupowanie ich produktów za ceny wyższe od rynkowych. Ale też potężnym instrumentem nacisku było niedawne ograniczenie ruchu turystycznego i wymiany towarowej po wyborze obecnej prezydent z „proniepodległościowej" DPP. Dokuczliwe uderzenie tajwańskich wyborców po kieszeni przełożyło się na spadek poparcia dla urzędującej prezydent Tsai Ing-wen.

Z kolei zaangażowanie kapitału tajwańskiego na kontynencie jest dźwignią dopływu gotówki tak dużą, że w zupełności wystarczającą na potrzeby wyspy. Kartę uzależnienia członków KMT od ich gigantycznych inwestycji na kontynencie regularnie i z wielką finezją rozgrywa DPP do celów stawiania działaczy KMT w roli kolaborantów Komunistycznej Partii Chin.

Z tych właśnie powodów działania militarne, w tym demonstracje siły, są z punktu widzenia logiki sytuacji kompletnie niepotrzebne. A przede wszystkim, moim zdaniem, nie są poparte żadnymi dowodami. To po prostu bzdury.

OSTATNIE WYBORY

Jeszcze przed wyborami, które odbyły się 11 stycznia 2020 r., zwycięstwo Tsai Ing-wen było przesądzone. Masowe protesty w Hongkongu wpłynęły na nastroje wyborców. Ale mało kto się spodziewał, że Tsai osiągnie tak miażdżące zwycięstwo: 57,1 do 38,6 proc. Wygrała nawet w okręgach będących „zawsze" matecznikiem zwolenników KMT.

Dlaczego protesty w Hongkongu miały takie znaczenie? Kapitał i obsługujący go biznes, odpływające z Hongkongu, trafił m.in. na Tajwan. Polepszenie się koniunktury i nastrojów, wraz z ambiwalentną retoryką partii KMT w kwestii niepokojów w Hongkongu, zdecydowanie pomogły zwyciężczyni.

Każda reakcja władz w KPCh, choćby najbardziej moderowana, przyczyniała się do tworzenia u mieszkańców Tajwanu atmosfery zagrożenia i niepewności co do dalszego losu wyspy i jej mieszkańców.

Do tego kampania Tsai Ing-wen była prowadzona w myśl najnowszych osiągnięć marketingu politycznego. DPP perfekcyjne wykorzystało mechanizm ekspozycji – Tsai była widoczna na praktycznie każdym plakacie do przeprowadzanych równocześnie wyborów parlamentarnych. Kampanię kierowano do ludzi młodych: na plakatach pojawiały się frazy w języku angielskim. Opublikowano nawet grę anime, której uczestnik mógł spotkać się z urzędującą panią prezydent. Różnice w prowadzeniu kampanii były, w mojej opinii, wręcz zdumiewające i świadczą o utracie „siły duchowej" i morale po stronie KMT.

DPP, z Tsai Ing-wen na czele, nie wypowiada się na temat niepodległości, choć jest zdecydowanie z takimi dążeniami utożsamiana. Zachowanie status quo jest bezpieczne i wygodne dla wszystkich.

Autor jest socjologiem, z zamiłowania sinologiem. Doktorantem historiografii w Tajpej na Tajwanie. Zajmuje się psychologią konfliktu i historią wojskowości. Napisał wiele artykułów, głównie o historii i kulturze Chin, oraz książek, m.in. bestseller „36 forteli. Chińska sztuka podstępu, układania planów i skutecznego działania" (2017) oraz „Drogi wędrownych doradców" (2019)

Fot. archiwum prywatne autora x3

eprasa.pl 05b6a45e9a

Dział przygotowywany we współpracy
z miesięcznikiem
GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

Fot. Andrzej Wiktor

Robimy biznes bez kompleksów

Szansa dana LOT polega na tym, że właściciel powołał dobry zespół zarządzający i zapewnił mu możliwość trwałego działania – mówi prezes PLL LOT Rafał Milczarski w rozmowie z Marcinem Wikłą

Dotychczas gdy w Polsce myśleliśmy o inwestycjach, to zazwyczaj były to firmy niemieckie wykupujące polskie zakłady. Teraz jest odwrotnie. Czy zakup niemieckich linii Condor przez Polską Grupę Lotniczą można traktować jako symbol?

Rafał Milczarski: Na pewno jest w tym element odwrócenia pewnego schematu myślenia. Rzeczywiście to zazwyczaj inwestycje niemieckie znajdowały miejsce w Polsce i należy przyznać, że często było to z korzyścią dla obu stron. Jako przykład podam Recaro w Świebodzinie, fabrykę wysokiej jakości foteli samolotów, w której my także się zaopatrujemy. Byłem w tym zakładzie, rozmawiałem z pracownikami, są zadowoleni i przychylni tej inwestycji. Jesteśmy bliskim sąsiadem Niemiec, nasze gospodarki są ze sobą powiązane, wzajemne inwestycje są więc czymś normalnym, choć na razie, jak wspomniałem, działało to raczej jednostronnie. Teraz przyszedł moment, w którym PGL daje sygnał, że polskie firmy będą inwestować w Niemczech. Bez żadnych kompleksów, na biznesowych zasadach.

Condor to dobra firma na takie wejście? Co PGL zyskuje biznesowo na tej transakcji?

Przede wszystkim dostęp do bardzo ważnego rynku przewozów wakacyjnych i czarterowych, ale nie tylko. Condor ma bardzo dobry system sprzedaży biletów indywidualnych. Z niewiadomych przyczyn LOT w 2010 r. zupełnie wycofał się z tego segmentu w Polsce, co pozwoliło

eprasa.pl 05b6a45e9a

praktycznie na przejęcie go przez prywatnych operatorów. To była porażka narodowego przewoźnika, kosztowna i trudna do naprawienia, o czym przekonałem się, gdy przyszedłem do firmy w 2016 r. Trzeba było mozolnie odbudowywać tę aktywność we współpracy z różnymi touroperatorami i biurami podróży. Teraz pojawiła się możliwość przejęcia chyba najbardziej rozpoznawalnego europejskiego przewoźnika wakacyjnego.

Słyszymy zarzuty, że kupujemy firmę upadającą. To będzie opłacalny biznes?

Bankructwo właściciela, czyli biura podróży Thomas Cook, nie ma niczego wspólnego z kondycją finansową linii lotniczych Condor. Lotnicza część biznesu była zdrowa. Dlatego zastosowano w Niemczech specjalną procedurę ochrony przed wierzycielami, wyłączono Condora z masy upadłościowej i wystawiono go na sprzedaż. Strategicznie widzę w tej transakcji – gdy uzyskamy wszystkie zgody i dojdzie ona już do skutku – same korzyści. Ta transakcja to dotychczas cztery miesiące ciężkiej pracy, które mogły nie przynieść żadnych owoców, bo wygrać mógł po prostu ktoś inny. Myślę, że zostaliśmy wybrani, bo jesteśmy inwestorem strategicznym, zainteresowanym rozbudową, rozwojem tej spółki, i to jest nawet ważniejsze od krótkotrwałych zysków. Chcemy, by firma Condor była jeszcze większa, bardziej zyskowna i żeby zdobywała kolejne rynki.

Ogłaszając informację o zakupie Condora, premier Morawiecki mówił także, że niewątpliwy sukces polskiego przewoźnika jest spowodowany tym, iż kiedyś podjęto decyzję o tym, by jednak „dać LOT szansę".

Rzeczywiście za sprawą obecnego rządu, a zwłaszcza premiera Mateusza Morawieckiego, dano LOT szansę. Ale nie w taki sposób, jak można by przypuszczać, nie znając realiów. LOT do 2024 r. nie może liczyć na żadną pomoc publiczną przez to, że spółka otrzymała ją w 2014 r. Szansa polega zatem na tym, że właściciel powołał dobry zespół zarządzający i zapewnił mu możliwość trwałego działania. Wielkim błędem poprzednich ekip były częste, właściwie co kilka miesięcy, zmiany na stanowisku prezesa LOT. W taki sposób nie da się prowadzić firmy. Jestem najlepszym przykładem zupełnie innej polityki właścicielskiej skarbu państwa. Rozmawiamy w dniu, kiedy mijają dokładnie cztery lata, od kiedy pełnię obowiązki prezesa Polskich Linii Lotniczych LOT. Dwa pierwsze lata były kluczowe. Wtedy rzeczywiście po stronie właściciela pojawiło się przekonanie, że to, co robimy, ma sens, że warto stworzyć taki podmiot jak Polska Grupa Lotnicza i spróbować skonsolidować zarządzanie całym sektorem lotniczym w Polsce.

A więc nie o pieniądze chodziło, lecz o pomysł na ten biznes?

Oczywiście, że nie o ciągłe dopłaty, bo każdą ilość pieniędzy można wydać. Chodziło o stworzenie warunków do robienia dochodowego interesu. Nie mam wątpliwości, że dzisiaj jesteśmy w tym miejscu, w którym jesteśmy, dzięki tym działaniom porządkującym. Kompleksowy rozwój lotnictwa w Polsce świetnie się zresztą wpisuje w tzw. plan Morawieckiego, czyli strategię zrównoważonego rozwoju. Transakcja zakupu Condora jest efektem szerokiego myślenia o biznesie, czyli znajdowaniu możliwości rozwoju i korzystaniu z nich. Podobnie zrobiliśmy kiedyś, przejmując udziały w firmie Regional Jet (linie lotnicze Nordica) w Estonii, która dobrze się rozwija i buduje wartość PGL.

Od niedawna LOT wykonuje bezpośrednie połączenia z jednym z najnowocześniejszych lotnisk na świecie Pekin-Daxing. Podczas inauguracyjnego lotu mówił pan, że nieskorzystanie z tej możliwości byłoby biznesowym błędem, choć nie rezygnujemy jednocześnie z lotów na lotnisko Pekin-Capital.

Nadal tak twierdzę. Daxing to przepiękne lotnisko i uważam za ogromny przywilej, że dostaliśmy istotną liczbę slotów jako jedna z pierwszych linii na świecie. To efekt naprawdę dobrej relacji ze stroną chińską, którą mamy nadzieję rozwijać. Docelowo chcielibyśmy latać na oba lotniska codziennie, a na jedno z nich nawet dwa razy dziennie.

LOT ma już swoje miejsce na Daxing, co przy tak silnej władzy centralnej w Chinach jest zapewne efektem nie tylko decyzji biznesowych, ale i ustaleń na szczeblu dyplomatycznym.

Jak każda polska firma, przy realizacji projektów zagranicznych, staramy się kierować radami i wsparciem naszych służb dyplomatycznych. Z tej ciągłej współpracy jestem bardzo zadowolony i bardzo za nią dziękuję ministrowi Jackowi Czaputowiczowi oraz wszystkim pracownikom MSZ, którzy nas wspierają. Mogą sobie państwo wyobrazić, że w kontaktach z takim partnerem, jak chiński rząd, taka pomoc jest szczególnie cenna.

Ta kosmiczna rozgwiazda, jak mówi się na budynek lotniska Pekin-Daxing, robi ogromne wrażenie. Czy z takim rozmachem architektonicznym ma być budowany w Polsce Centralny Port Komunikacyjny?

Lotnisko Daxing jest wybudowane jako obiekt większy niż planowany port CPK Solidarność. W tej chwili ma przepustowość ponad 70 mln pasażerów rocznie, a my chcemy w CPK w początkowej fazie obsłużyć ok. 45–50 mln. Według naszych analiz to jest dla nas optymalny rozmiar portu lotniczego. Skala tych przedsięwzięć pozwala jednak rzeczywiście myśleć o nich jako o projektach porównywalnych. Teraz, gdy jesteśmy na etapie prowadzenia różnorodnych analiz, staramy się patrzeć dużo szerzej. Miałem okazję ostatnio towarzyszyć premierowi podczas jego wizyty w Japonii. Tam na temat budowy CPK rozmawialiśmy z biznesmenami i z przedstawicielami lotniska Narita położonego niedaleko Tokio. Wielu inwestorów z Japonii jest naszym projektem żywo zainteresowanych i wcale mnie to nie dziwi, bo on jest po prostu ekonomicznie bardzo uzasadniony.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Czy zatem dziwią pana głosy, głównie ze strony polityków, którzy krytykują pomysł budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego?

To jest pułapka naszych czasów. Często bardzo dobre ekonomicznie pomysły są krytykowane z powodów politycznych. W tym przypadku to naprawdę zbędne, bo CPK jest w pełni ekonomicznie uzasadniony. Polska jest liderem środkowej Europy, mamy najlepsze położenie geograficzne w tym regionie, a to jest kluczowe dla takiego portu. Możemy więc na nim zarobić, dlatego uważam, że warto go zbudować. To jest pomysł, który powinien mieć poparcie ponadpolityczne. Koncentrujmy się na rzeczach dobrych dla Polski, byśmy byli lepiej połączeni ze światem, żeby polska gospodarka rozwijała się jeszcze dynamiczniej. Przy tym LOT, jako przedsiębiorstwo, też zyska, będziemy rośli w siłę, zarabiali, a zyski reinwestowali.

Od miesięcy wiemy o problemach firmy Boeing. Po katastrofach samolotów 737 Max producent był zmuszony wstrzymać ich produkcję. Te maszyny, które są we flocie LOT, zostały uziemione. Jak to wpłynie na wynik finansowy spółki za 2019 r.?

Uziemione maxy musieliśmy zastąpić innymi samolotami, które trzeba było wypożyczyć, i to oczywiście negatywnie odbija się na naszych finansach. Ostatecznie w ub.r. przewieźliśmy nieco ponad 10 mln pasażerów. To nie jest zły wynik, ale nie ukrywam, że plany na 2019 r. były dużo bardziej ambitne. Jesteśmy w stałym kontakcie z Boeingiem, to są konstruktywne rozmowy na temat wypłacenia nam konkretnych rekompensat. Dzisiaj nie pokuszę się więc o to, by podać, jaki będzie wynik finansowy LOT za ub.r., bo będzie on ściśle zależał od wysokości odszkodowań, które otrzymamy. Nie tylko od Boeinga, ale także od Rolls-Royce'a, czyli producenta silników do dreamlinerów, z którymi również były kłopoty.

Z jakimi planami spółka wchodzi więc w 2020 r.?

Ogłosiliśmy już daty kilkunastu premierowych połączeń. Przede wszystkim w czerwcu startujemy z Warszawy do Waszyngtonu. Bardzo się z tego cieszę, bo to jest ukoronowanie akcji „Bez wiz do USA", w którą bardzo się zaangażowaliśmy. Przez ponad półtora roku nasze załogi ponad 100 tys. razy przeczytały podróżnym informacje zachęcające do wypełnienia i złożenia wniosku wizowego tak, by nie dostać odmowy. To był ogromny wysiłek naszej firmy, ale i wielu partnerów, także ze Stanów Zjednoczonych. Opłaciło się, Polacy już nie potrzebują wizy, by lecieć do USA. Oczywiście nie wydarzyłoby się to bez woli ze strony amerykańskiej administracji, ale o to zadbał prezydent Andrzej Duda, utrzymując z nią świetne relacje. Ten efekt warto zdyskontować, dlatego naszą gęstą siatkę połączeń do USA uzupełniamy o wspomniane loty do amerykańskiej stolicy, a od sierpnia zapraszamy także na bezpośrednie loty z Warszawy do San Francisco. Oprócz tego mamy już zaplanowanych na ten rok sporo połączeń w Europie, z Warszawy, ale i z Budapesztu.

Fot. Andrzej Wiktor

Zwraca uwagę ekspansja LOT na rynku węgierskim. Jak wyglądało nasze wejście w to miejsce? Czy LOT był traktowany jak drapieżnik, który korzysta na upadku linii Malev, czy jesteśmy tam raczej jako ekipa ratunkowa?

Tutaj mówimy o polityce, która zawsze jest w tej branży istotnym elementem, ale nie zawsze od niej się wszystko zaczyna. Nasza relacja z rynkiem węgierskim zaczęła się od kontaktów z lotniskiem Bud Airport, które jest prywatnym, niezależnym organizmem. I to ta współpraca zdecydowała, że w ogóle było o czym rozmawiać na poziomie państwowym. Oczywiście należało zadać pytanie rządowi Węgier, czy nasze wejście na ten rynek jest z ich punktu widzenia pożądane. Jeśli mamy uczciwe, biznesowe zamiary, to w takiej kolejności należy to robić. Nasza reputacja jest na tyle dobra, że minister Péter Szijjártó, który jest w rządzie węgierskim odpowiedzialny za dyplomację ekonomiczną oraz inwestycje, podszedł do tematu wręcz entuzjastycznie. To jest sytuacja obustronnych korzyści. My zarabiamy, ale otwierane połączenia służą Budapesztowi i Węgrom jako krajowi. Zatrudniamy węgierskich pracowników, dynamicznie wdrażamy ustalone plany rozwoju. Z sukcesem wypełniamy miejsce po liniach Malev, które upadły. Wręcz uciera się takie stwierdzenie, że to my jesteśmy teraz narodowym przewoźnikiem Węgier. To dla nas naprawdę wielki zaszczyt i satysfakcja z ciężkiej pracy, którą wykonaliśmy.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Lekowa repolonizacja

Jest nowy pomysł na rozruszanie przemysłu farmaceutycznego w Polsce. Ustaliliśmy, że koncepcja uproszczenia i finansowego „odchudzenia" zapowiadanego od lat Refundacyjnego Trybu Rozwojowego zbiera niezłe recenzje w obozie władzy. Wydaje się, że tym razem trzeba będzie podjąć jakieś decyzje. Gra idzie o polityczną wiarygodność i, co ważniejsze, bezpieczeństwo lekowe Polaków

PIOTR FILIPCZYK

Zwolnienie z renegocjacji decyzji refundacyjnych i paybacku, a także ustalanie cen produktów po raz pierwszy wchodzących do refundacji na poziomie cen progowych zdefiniowanych w ustawie refundacyjnej – to najważniejsze założenia Refundacyjnego Trybu Rozwojowego Plus.

– RTR był pomysłem premiera Mateusza Morawieckiego na pobudzenie rozwoju gospodarki. Dziś okazuje się, że ma również kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa Polaków – przekonuje w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Tadeusz Chrzan, poseł PiS z sejmowej komisji zdrowia. – Stąd właśnie ten „plus" przy nazwie nowego rozwiązania – dodaje.

BEZPIECZEŃSTWO I ZAGROŻENIE

Bezpieczeństwo – to słowo przewija się dziś w niemal każdej dyskusji o rynku farmaceutycznym.

– O bezpieczeństwie lekowym powinniśmy mówić dokładnie tak jak o bezpieczeństwie energetycznym. To właśnie dostępem do leków można dziś szantażować państwa – mówił niedawno na łamach money.pl Marek Tomków, prezes Naczelnej Izby Aptekarskiej.

Mocne, prawda? Jeszcze niedawno o bezpieczeństwie lekowym rozmawiano wyłącznie na nudnych sympozjach. Kiedy latem zeszłego roku w polskich aptekach zabrakło leków stosowanych w przewlekłych chorobach, rozkrzyczały się o nim tabloidy i wietrząca okazje do awantury opozycja. Temat powrócił w grudniu, gdy okazało się, że stosowane przez około 2 mln Polaków leki na cukrzycę zanieczyszczone są (śladowo, ale to wystarczy, by pobudzić wyobraźnię) rakotwórczymi nitrozoaminami. Będzie ciąg dalszy: czekamy na wyniki kolejnych badań dotyczących zanieczyszczeń leków produkowanych z wytwarzanych w Chinach substancji czynnych. Swoje zrobi także zapewne szalejący w Państwie Środka koronawirus.

W Chinach (i w Indiach) jest najtaniej, dlatego produkuje się tam dziś ok. 70 proc. cząsteczek, z których wytwarzane są leki. Alternatywy nie ma, europejska konkurencja bankrutuje, więc jeśli w Azji coś pójdzie nie tak, w Europie mamy kryzys lekowy. Rozwiązanie? Produkować znacznie więcej w Polsce. Łatwo powiedzieć, trudniej (na razie) zrobić.

ROZWÓJ Z PRZESZKODAMI

„Zdrowie jest dla nas priorytetem, ale też szansą rozwojową. W Polsce 70 proc. leków, które kupujemy, pochodzi z zagranicy i tę zależność chcemy zmienić, chcemy, aby leki były coraz tańsze i coraz bardziej polonizowane" – mówił w 2017 r. premier Mateusz Morawiecki. Wcześniej, gdy wraz zespołem przygotowywał Strategię Odpowiedzialnego Rozwoju, sporo miejsca poświęcił w niej przemysłowi farmaceutycznemu. Produkcja leków znalazła się tam wśród sektorów strategicznych, które miały się stać motorami napędowymi polskiej gospodarki.

„Bezpieczeństwo farmaceutyczne kraju to przede wszystkim zapewnienie skutecznych i bezpiecznych leków, które zaspokajają potrzeby zdrowotne społeczeństwa. Szczególną rolę odgrywa tu krajowy sektor farmaceutyczny (...). Jest on gwarantem dostępności produktów farmaceutycznych w kraju ich wytwarzania, bez względu na okoliczności zewnętrzne" – czytamy z kolei w nowszym, ale równie ważnym dokumencie, jakim jest przygotowana przez resort zdrowia Polityka Lekowa Państwa 2018–2022.

Zarówno w planie Morawieckiego, jak i w Polityce Lekowej wymieniane jest rozwiązanie, dzięki któremu w Polsce będzie się produkować więcej dobrych i bezpiecznych leków. To Refundacyjny Tryb Rozwojowy. Idea jest klarowna: docenić firmy, które produkują i inwestują w Polsce. I w przeciwieństwie do koncernów posiadających tu głównie nadmuchane działy sprzedaży – dać im preferencje przy wprowadzaniu leków na listy refundacyjne.

Prace nad RTR ruszyły szybko i równie szybko utknęły w martwym punkcie. Obradował wprawdzie międzyresortowy zespół, a co jakiś czas do tematu wracała specjalistyczna prasa, jednak efektów nie było. I choć wiosną 2019 r. Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii pod wodzą Jadwigi Emilewicz opublikowało przygotowany przez zewnętrznych ekspertów raport kreślący legislacyjne ramy RTR, to od początku było jasne, że nie wypełnią

eprasa.pl 05b6a45e9a

się one treścią. Obserwatorzy uznali, iż zaproponowane mechanizmy są mało precyzyjne i premiują przede wszystkim dość labilnie pojmowane zaangażowanie w badania i rozwój. Sprawę zakończyła zaś wypowiedź wiceministra zdrowia Janusza Cieszyńskiego.

„RTR można byłoby wdrożyć, gdyby nie fakt, że MPiT zaproponowało, aby był on finansowany ze środków na świadczenia. Dlatego nie ma żadnych szans, by to rozwiązanie weszło jeszcze w tym roku" – powiedział w lipcu 2019 r. wiceminister.

NOWA NADZIEJA

– Problemy z RTR to niestety przykład Polski resortowej, silosowego przebiegu podejmowania decyzji. Brakowało koordynacji, wyznaczenia wspólnego celu, energii. Było za to urzędnicze odrzucanie gorącego kartofla – przedstawia nam kulisy sprawy urzędnik od początku zaangażowany w prace nad RTR.

Ostatni miesiąc, dość niespodziewanie, przyniósł kilka dobrych wieści dla polskiego przemysłu farmaceutycznego i polskich pacjentów. Najpierw premier Morawiecki zgodził się na dokapitalizowanie będącej w domenie skarbu państwa Polfy Tarchomin. Dołączony do wniosku o pieniądze biznesplan zakłada m.in. budowę nowych laboratoriów i modernizację infrastruktury genetycznej. Chwilę później premier przywiózł z Davos kolejną dobrą informację: biofarmaceutyczna AstraZeneca chce zainwestować w Polsce 1,5 mld zł. Servier, inna zagraniczna firma energicznie budująca u nas biznes, informuje z kolei, że do końca 2020 r. będzie produkować u nas 52 mln opakowań leków, z czego 65 proc. trafi na eksport. Nie śpią także krajowi potentaci. Kolejną, wartą 300 mln zł inwestycję w infrastrukturę produkcyjną – tym razem w Pabianicach – planuje Adamed. Polpharma rozbudowuje i unowocześnia zakład w Starogardzie Gdańskim, właśnie uruchomiła też nowy obiekt produkcyjny w Sieradzu.

Na wywołanej przyspieszonym ruchem w branży fali wraca też projekt Refundacyjnego Trybu Rozwojowego. Zwolennicy nowego rozwiązania przekonują, że RTR Plus jest znacznie prostszy od dotychczas rozważanych pomysłów. Zakłada właściwie skrupulatne stosowanie ustawy refundacyjnej i zwolnienie z paybacku, czyli kosztów ponoszonych w momencie przekroczenia limitu na refundację przez producentów. Takie rozwiązanie, w przeciwieństwie do zeszłorocznego projektu, ma w żaden sposób nie obciążać NFZ.

Nie trzeba ani jednej dodatkowej złotówki. Chodzi tylko o to, by sensownie i spokojnie kontrolować poziom cen, tak żeby firmy mogły budować strategie inwestycyjne. Nie ma też żadnych wysublimowanych kryteriów uprawniających do zakwalifikowania firmy do programu. Bo w zasadzie nie ma tu żadnego programu. Tylko bardzo proste rozwiązania, które de facto już istnieją – argumentują zwolennicy RTR Plus.

UPRAWNIENIA I ZOBOWIĄZANIA

– Jestem przekonany, że w ślad za uprawnieniami czy przywilejami powinny również zostać określone zobowiązania, np. do reinwestowania określonego procentu zysków. Coś za coś – przekonuje poseł Tadeusz Chrzan, według którego RTR Plus wymaga doprecyzowania, ale ma wiele zalet. Poza tymi oczywistymi wymienia zatrzymanie reshoringu (wracania przez zagraniczne firmy z produkcją do swoich krajów), a także uniemożliwienie sytuacji, gdy korzystające z RTR firmy zagraniczne prowadzą w Polsce badania kliniczne, potrzebne im jedynie do rejestracji leków, na które naszego państwa potem zwyczajnie nie stać.

– Bezpieczeństwo lekowe to kluczowy element, dla którego warto wspierać nasze firmy – mówi Anna Kwiecień (PiS), wiceprzewodnicząca sejmowej komisji zdrowia. – Jeśli rząd rzeczywiście zaproponuje rozwiązania, które to bezpieczeństwo zwiększają, będziemy je wspierać.

Szef sejmowej komisji zdrowia Tomasz Latos (PiS) potwierdza w rozmowie z nami, że „ministerstwa przygotowują konkretne zmiany, które mają poprawić bezpieczeństwo lekowe w Polsce", ale nie chce mówić o szczegółach związanych z RTR.

– Popieram wszystkie zmiany, które mają pomóc pacjentom. Jeżeli konkretne propozycje trafią pod obrady komisji zdrowia, zapewniam, że natychmiast się nimi zajmę – deklaruje.

Niezwykle lakonicznie na nasze pytania związane z RTR Plus odpowiada Ministerstwo Zdrowia.

– Trwają uzgodnienia z Ministerstwem Rozwoju – słyszymy w biurze prasowym resortu.

Nieco więcej udało nam się ustalić w resorcie rozwoju. Lada dzień ma zostać tam powołany nowy zespół roboczy do spraw RTR. Kiedy będzie można pytać o szczegóły?

„Do rozmowy wrócimy po feriach" – obiecała publicznie minister Jadwiga Emilewicz.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 05b6a45e9a

Zasady odpowiedzialnego korzystania z produktów nikotynowych

- Pamiętaj, że nikotyna jest substancją silnie uzależniającą. Jeżeli nigdy nie paliłeś, nie sięgaj po e-papierosy, podgrzewany tytoń ani inne wyroby tytoniowe. Po prostu nie zaczynaj palić.
- Zawsze zaopatruj się w liquidy pochodzące z legalnych, sprawdzonych źródeł, produkowane przez renomowane firmy. Nie szukaj okazji, nie stosuj substancji, co do których pochodzenia możesz mieć jakiekolwiek wątpliwości.
- W żadnym razie nie wykorzystuj urządzenia podgrzewającego do jakichkolwiek eksperymentów. Nie próbuj wdychać jakichkolwiek substancji do tego nieprzeznaczonych. Nie szukaj „mocnych wrażeń".
- Pamiętaj, że e-papierosy, podobnie jak podgrzewany tytoń i tradycyjne wyroby tytoniowe, są przeznaczone wyłącznie dla osób pełnoletnich. Sprzedaż czy zachęcanie dzieci i młodzieży do używania e-papierosów jest przestępstwem.

Musisz palić? Pal po nowemu

Rewolucja technologiczna, jaka dokonała się poprzez pojawienie się na rynku papierosów elektronicznych, ma – jak większość nowinek – zagorzałych zwolenników i przeciwników. Chociaż lekarze przestrzegają przed rozpoczynaniem palenia od e-papierosów, to niektóre badania francuskich czy amerykańskich naukowców potwierdzają, że e-papierosy mogą być mniej szkodliwą alternatywą dla osób, które nie potrafią zerwać z nałogiem lub wcale tego nie chcą

OGRANICZANIE SZKODLIWOŚCI

Koncerny tytoniowe nie dyskutują już dziś z tym, że tradycyjne papierosy bardzo szkodzą ludzkiemu zdrowiu. Gdy prawda ta przebiła się do powszechnej świadomości, producenci wyrobów tytoniowych postanowili wdrożyć wieloletnie badania nad opracowaniem produktów, które wyeliminowałyby w największym możliwym stopniu czynniki szkodliwe. Najbardziej toksycznymi i kancerogennymi związkami powstającymi przy spalaniu tradycyjnego papierosa są substancje smoliste, których liczba we wciąganym do płuc dymie wyraża się w tysiącach. Zatem ograniczenie szkodliwości palenia

eprasa.pl 05b6a45e9a

Fot. Shutterstock

w produktach nowej generacji musiało się wiązać właśnie z wykluczeniem procesu spalania.

W e-papierosach tradycyjne spalanie zastąpiono podgrzewaniem zawierającego nikotynę i aromaty roztworu gliceryny do 250°C, redukując w ten sposób liczbę substancji toksycznych. Założony efekt zmniejszenia szkodliwego wpływu na zdrowie tak generowanego dymu został potwierdzony w licznych badaniach klinicznych. Jedno z ostatnich, w grudniu 2019 r., przeprowadziło Centrum Badań nad Rakiem Uniwersytetu Stanowego Ohio w USA. Jego wyniki pokazały, że tzw. biomarkery u osób korzystających z e-papierosów wykazują wartości pośrednie między palaczami a osobami, które nigdy nie paliły, a na dodatek są bardziej zbliżone do tej drugiej kategorii.

FRANCUZI SKRYTYKOWALI WHO

Korzyści zdrowotne i społeczne, jakie może przynieść powszechne przerzucenie się palaczy z papierosów tradycyjnych na elektroniczne, dostrzegają już także agendy rządowe w Europie. Francuska Narodowa Akademia Medyczna zaangażowała się w promocję e-papierosów jako skutecznego narzędzia do walki z tradycyjną formą nałogu. Szacuje się, że już 700 tys. Francuzów porzuciło tradycyjne palenie na rzecz elektronicznego dymka. Francuscy naukowcy odważyli się nawet skrytykować raport Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) podkreślający szkodliwość e-papierosów. Francuzi zwrócili uwagę, że tezy zawarte w raporcie mogą odnieść zły skutek, polegający na odwiedzeniu wielu osób od pożądanego ze zdrowotnego punktu widzenia zamiaru porzucenia tradycyjnego palenia na rzecz e-wyrobów. Warto chyba, by wyniki te przebiły się do szerokiej świadomości także w Polsce, gdzie wciąż tradycyjne papierosy pali ok. 8 mln osób, a ok. 70 tys. osób rocznie umiera z powodu skutków nałogu.

– Wapowanie (używanie e-papierosów – dop. red.) umożliwiło ograniczenie osób palących tradycyjne papierosy. Jasne jest, że to bezpieczniejsza alternatywa – powiedział Robert Genet, dyrektor generalny Francuskiej Agencji Żywności, Środowiska oraz Bezpieczeństwa i Higieny Pracy.

Lawina krytyki spadła na e-papierosy w USA, gdy odnotowano tam liczne przypadki uszkodzeń płuc u użytkowników e-papierosów. Wnikliwe zbadanie tych incydentów przez Center for Disease Control and Prevention (agenda podległa amerykańskiemu Departamentowi Zdrowia) wykazało jednak, że poszkodowani wykorzystywali technologię e-papierosów niezgodnie z jej przeznaczeniem. Polegało to na podgrzewaniu olejków eterycznych, których opary nie nadają się do wdychania. Poszukiwacze „silniejszych doznań" odurzali się w ten sposób substancjami zawierającymi m.in. marihuanę oraz olejek z octanem witaminy E.

POMOC PRZY RZUCANIU PALENIA

Wobec powyższego warto wspierać kampanie przypominające o właściwym i odpowiedzialnym korzystaniu z nowej technologii, jaką są e-papierosy. Tym bardziej że stanowi ona silny oręż w walce z najcięższymi przypadkami nałogu, co podkreśla m.in. australijskie Królewskie Kolegium Lekarzy Internistów, które dostrzegło, że e-papierosy mogą być zalecane jako pomoc dla osób, które chcą rzucić palenie. Australijscy lekarze zalecają równocześnie ostrożność i przypominają o innych sposobach na porzucenie tradycyjnych form nałogu.

W styczniu br. do brytyjskiej Izby Lordów wpłynęło zapytanie o wyniki analizy efektów, jakie e-papierosy wywarły na zdrowie publiczne. Baronowa Nicola Blackwood z North Oxford, podsekretarz stanu z Departamentu Zdrowia i Pomocy Społecznej, napisała w odpowiedzi, że „e-papierosy nie są wolne od ryzyka, ale wciąż są mniej szkodliwe dla zdrowia niż palenie tytoniu. Każdego roku więcej niż 50 tys. osób, które nie rzuciłyby palenia z pomocą innych środków, rzuca tradycyjne palenie dzięki e-papierosom".

Przytaczając te wszystkie opinie na temat e-papierosów, nie należy zapominać, że największą szansę na zachowanie zdrowia mają osoby niepalące. Z tego względu należy bezwzględnie przestrzegać zakazu sprzedaży e-papierosów osobom nieletnim. Zaprzysięgłym palaczom warto jednak uświadamiać, że istnieje nowoczesna alternatywa, która nie wymaga całkowitego porzucenia tego nałogu, co często niestety przekracza możliwości ludzkiej woli. Papierosy elektroniczne mogą być także rozwiązaniem dla palaczy, którzy ze względu na zakaz sprzedaży tradycyjnych papierosów mentolowych nie znajdą ich w sklepach po 20 maja. Nie są one bowiem objęte tym zakazem.

(BZ)

eprasa.pl 05b6a45e9a

GRZEGORZ ZAWIERUCHA | ZDOBYWCA TYTUŁU MASTERCHEF

Na dysku serca

Nazywa się Zawierucha. Grzegorz Zawierucha. Jest starszym bratem Rafała, który w filmie Quentina Tarantino „Pewnego razu... w Hollywood" wcielił się w Romana Polańskiego. Grzegorz też zagrał. Na małym ekranie. W ósmej edycji programu „MasterChef". I zwyciężył, zdobywając – poza cennym tytułem i zawodowymi perspektywami – m.in. szansę na wydanie własnej książki kucharskiej.

Przedstawił się w niej nie tylko jako wytrawny znawca smaków i twórca wartych spróbowania dań, ale też sympatyczny, ciepły i dowcipny autor. Człowiek, który w gotowanie wkłada, co oczywiste, serce, jednakże ingrediencjami nie do przecenienia są w jego przypadku życiowe doświadczenia. Wyniesione z otwartego na ludzi rodzinnego domu, przywiezione z Irlandii, gdzie spędził parę ważnych lat; z podróży, które odkryły przed nim m.in. nowe kulinarne możliwości, czy z pasji żeglarskiej połączonej z łowieniem i gotowaniem.

W dzieciństwie, jak pisze, „zbierał smaki, zapachy i zapisywał je gdzieś głęboko na twardym dysku serca...". Były to ryby złowione z ukochanym wujkiem i grzyby zbierane z babcią w dębowym lesie, zaraz po letniej burzy. Była też „sadówka" – zupa ogrodowa gotowana w jabłkowym sadzie i ziemniaki pieczone z dziadziusiem na polu.

Z rodzinnego domu wyjechał na dłużej do Irlandii do miasteczka położonego nad Oceanem Atlantyckim. Oprócz miłości życia poznał tam ciekawą i różnorodną kuchnię wyspiarską. To tu spróbował jagnięciny pełnej aromatu lokalnych ziół, przede wszystkim jednak doświadczył różnorodności świeżych ryb i owoców morza. Dziś tylko jeden gatunek czeka jeszcze na jego degustację – żabnica.

Irlandia pozwoliła mu pracować i podróżować. „Egzotyczną destynacją, która smakowo rozłożyła go na łopatki", okazała się Tajlandia. Południe Europy połączyło dwie jego pasje – gotowania i żeglowania. Meksyk otworzył się przed nim za sprawą programu „MasterChef" i zafascynował go.

W książce „Zawierucha w kuchni" z ikrą, porywiście, ale nie niszczycielsko, na co wskazywałoby nazwisko, dzieli się ciekawością smaków i kulinarnych doświadczeń. Paletę potraw ma szeroką, jednak na dziś wybraliśmy przepis czerpiący ze wspomnień rodzinnego domu.

Jolanta Gajda-Zadworna

Faszerowane udka z kurczaka

(4 porcje)

Składniki: 4 udka z kurczaka, duży pęczek natki pietruszki, 10–12 suszonych pomidorów w oleju, 4 ząbki czosnku, 10 dag gorgonzoli, sól, kilka ziaren czarnego pieprzu i czosnek granulowany (do smaku) kilka wykałaczek.

Sposób przygotowania: Wyluzowujemy udka (usuwamy kości). Bardzo delikatnie solimy, posypujemy czosnkiem granulowanym. Suszone pomidory odsączamy z oleju. Drobno siekamy z natką pietruszki i czosnkiem. Wkładamy z pokruszoną gorgonzolą do miski. Wszystkie składniki dokładnie mieszamy z 2–3 łyżkami oleju z pomidorów i doprawiamy grubo zmielonym pieprzem. Tak przygotowanym farszem nadziewamy udka i dokładnie spinamy wykałaczkami, aby farsz nie wypłynął. Udka wkładamy do naczynia żaroodpornego, delikatnie podlewamy wodą (ok. ½ szklanki). Naczynie przykrywamy, wstawiamy do nagrzanego do temperatury 200–220°C piekarnika i pieczemy 15–20 minut, aż poczujemy zapach pieczonego mięsa. Następnie zmniejszamy temperaturę do 160°C i pieczemy kolejne 20 minut, aż mięso będzie miękkie. Smakuje równie dobrze i na ciepło, i na zimno!

eprasa.pl 05b6a45e9a

SŁODKO-SŁONY

Jak zdobyć witaminę słońca

ANNA MONICKA

Nie wiem jak na was, ale na mnie blue monday nie zrobił większego wrażenia, a i paskudny styczeń, który przypomina listopad. Mam dwie teorie, dlaczego tak się dzieje. Po pierwsze – jem witaminę D3. Dzień w dzień 2000 jednostek. Jej poziom, z żałosnych 14 ng/ml podskoczył mi do 32,5, mniej się męczę, nie łapię kataru, mniej mnie boli kręgosłup, choć dużo siedzę przy komputerze, i nie mam napadów wisielczego humoru (stany depresyjne często się zdarzają, gdy ludziom brakuje witaminy D3, bo wpływa ona na uwalnianie w mózgu serotoniny i dopaminy (neuroprzekaźników nazywanych hormonami szczęścia), a te dwa hormony mają olbrzymie znaczenie dla naszego samopoczucia.

Z witaminą D3 problem polega na tym, że powstaje na skórze lub sierści pod wpływem słońca. Dlatego koty uwielbiają się wygrzewać w jego promieniach, a potem raz koło razu, bardzo skrupulatnie wylizują futerko, pobierając z niego witaminę słońca. My nie zdobędziemy jej raczej w ten sposób, pozostaje więc opalanie (zima odpada), doświetlanie specjalnymi lampami, suplementacja albo jedzenie. Dlatego staram się jeść dużo jajek i sięgać jak najczęściej po tłuste morskie ryby.

I tu mamy kolejną zagwozdkę. Nie wystarczy zjeść np. porcji makreli, bo zawarta w niej witamina D3 dobrze się wchłania w towarzystwie witaminy K2, która powstaje w naturalnych kiszonkach – kapuście, ogórkach czy dojrzewających porządnych serach.

A więc do makreli warto dodawać jajko (ma sporo D3) i kiszone ogórki oraz zajadać ją w postaci pasty do pieczywa. Raz, dwa razy w tygodniu warto upiec łososia i podać go z kiszoną kapustą skropioną oliwą. Genialnie działa na poprawę humoru śledziowa sałatka z jajkiem, cebulką i ziemniakami.

Ale moją faworytką jest dynia. Właśnie zabrałam się do oprawiania siedmiokilogramowej Piena Lunga, którą kupiłam jesienią. Pieczona w plastrach, skropiona olejem z pestek dyni i cytryną, posypana orzeszkami pinii i parmezanem jest dla mnie jedna wielką pigułką szczęścia. Lepiej od niej działa tylko dynia zmiksowana z imbirem, która nie dość, że leczy z chandry, to jeszcze tłucze wirusy. A na talerzu wygląda jak doprawiona słońcem. Prawie jak pomarańcza.

WILCZYM OKIEM

Volám sa kofola!

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Narody zamieszkujące rejony górskie stosują różne metody, żeby poradzić sobie z wpływem dużej wysokości nad poziomem morza na organizm. Indianie andyjscy żują liście krasnodrzewu pospolitego *Erythroxylum coca*, czyli liście koki. Natomiast nasi południowi sąsiedzi – Słowacy – namiętnie piją kofolę.

Kofola to gazowany, bezalkoholowy napój o brązowej barwie. Sprzedaje się ją w butelkach lub leje z beczki tak jak piwo. Podczas gdy na całym świecie rządzą pepsi i coca-cola, Słowacja jest jedynym na świecie krajem, który nie poddał się temu dyktatowi. Na Słowacji króluje kofola.

Jest podobna w smaku trochę do kwasu chlebowego, a trochę do coli, od tej ostatniej zawiera jednak znacznie mniej cukru i dużo więcej kofeiny. Podstawą tego napoju jest kilkunastoskładnikowy syrop z ziół i owoców oraz karmel.

Chociaż siedziba koncernu Kofola ČeskoSlovensko znajduje się w Karniowie w Czechach, mnie kofola nieodparcie się kojarzy ze Słowacją – a może na odwrót – Słowacja z kofolą. Ilekroć znajomy Słowak z Bratysławy, pracujący przez pewien czas w Polsce, wyjeżdżał w ojczyste strony, tylekroć po powrocie jego szafa zapełniała się butlami kofoli. Była dla niego bardziej nawet niezbędna niż mate dla gaucho, herbata dla Anglika czy kumys dla Mongoła i pojawiała się przy każdym posiłku. Wszystkich zresztą Słowaków, których poznałem, cechowały trzy rzeczy: byli bardzo przyjaźni i spokojni, bardzo dobrze się z nimi rozumiałem i wszyscy pili kofolę.

Siła popularności kofoli nie wynika z dawnych tradycji. Nie mógł jej pić na przykład Janosik, produkowana jest bowiem od 1960 r. Mimo to ewidentnie utrafiła w gusta Słowaków i stała się kultowym napojem górali z Tatr i Fatry. Być może po części rzeczywiście poprzez zawartość kofeiny, jako dodająca energii na górskich szlakach, a może po prostu odkrywa jakąś ukrytą w słowackiej duszy nutę.

Gdybym miał stworzyć subiektywną listę elementów tożsamości Słowacji, na pewno znalazłby się na niej wspomniany Janosik, a także podwójny, wywodzący się od Cyryla i Metodego krzyż na trójwzgórzu (jak mówią Słowacy: „Tatra, Fatra a Matra"). Niewątpliwie też na liście tej na wysokim miejscu znalazłaby się kofola.

Fot. Tunatura/Shutterstock.com

eprasa.pl 05b6a45e9a

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Łagry i lagry

www.wojciechreszczynski.pl

Niemieccy naziści likwidowali wrogów rasowych, rosyjscy komuniści wrogów klasowych. Jedni uczyli się od drugich

Napisu „Arbeit macht frei" nad bramą wejściową do obozu Auschwitz nie widziały setki tysięcy Żydów idących na śmierć z rampy kolejowej wprost do komór gazowych. Napis, wykonany przez więźnia Jana Liwacza (numer obozowy 1010), kowala artystę, był widoczny tylko dla wychodzących i powracających do obozu licznych roboczych komand. Niewiele brakowało, a napis ten zaginąłby gdzieś w Rosji, gdyż po wyzwoleniu obozu radzieccy żołnierze postanowili go odpiłować i wywieźć, jak zresztą wszystko, co mogło stanowić jakąś wartość. I znowu inny Polak – więzień Eugeniusz Nosal (numer obozowy 693) – za butelkę wódki wykupił metalowe litery od strażnika kolejowego. W 2009 r. jakiś bezczelny Szwed postanowił ukraść napis, najprawdopodobniej na sprzedaż dla jakiegoś faszysty, i namówił kilku Polaków do kradzieży. Wszyscy zostali schwytani i ukarani.

Ten historyczny napis, który w tłumaczeniu na język polski brzmi: „Praca czyni wolnym", to haniebna parafraza cytatu z Ewangelii św. Jana, bo Janową „prawdę" czy niemiecką „Wahrheit", a więc tę, która czyni nas wolnym, zamieniono na pracę.

Sowieckie bramy obozowe niewiele się różniły od niemieckich. Widniał na nich ten sam napis pisany cyrylicą. Obozy powstawały jednak wcześniej niż hitlerowskie lagry, bo już w latach 20. XX w. Jednym z pierwszych obozów koncentracyjnych był łagier zlokalizowany na Wyspach Sołowieckich, gdzie w murach, a raczej w piwnicach dawnego prawosławnego klasztoru, więziono 45 tys. ludzi.

Wojskowa współpraca niemiecko-rosyjska rozpoczęła się tuż po podpisaniu w Wersalu traktatu pokojowego. Firma Junkers zawarła umowę na produkcję 300 samolotów bojowych w specjalnie budowanej fabryce pod Moskwą. Koncern Kruppa, też pod Moskwą, miał budować działa, mimo międzynarodowego zakazu, firma Bersol fabrykę gazów trujących w Troicku. Powstała też niemiecka fabryka amunicji w Tule i Piotrogrodzie. Swoimi doświadczeniami dzielili się lotnicy obu krajów oraz wyżsi dowódcy. Na przykład w kursach organizowanych przez Niemców dla Rosjan brali udział m.in.: oficerowie Sztabu Generalnego ZSRR: Gieorgij Żukow, Michaił Tuchaczewski, Ijeronin Uborewicz. Nie było zatem nic dziwnego w tym, że w latach 30., po dojściu Hitlera do władzy, niemieccy bonzowie wizytowali sowieckie łagry. System obozów zmuszających do niewolniczej pracy prawie 2 mln więźniów musiał im bardzo imponować, wszak gułagi stanowiły podstawę gospodarki stalinowskiego państwa. Bez niewolniczej pracy nie byłoby magistrali bajkalsko-amurskiej, kanałów: Wołga–Don, Morze Bałtyckie–Morze Białe, kopalń węgla i złota na Kołymie, portu Magadan itd. Szybko też powstawały niemieckie lagry, kacety (od Konzentrationslager). Jeden z pierwszych, Sachsenhausen-Oranienburg, założony w 1936 r., odwiedził 27 stycznia, w dniu wyzwolenia obozu Auschwitz, premier Mateusz Morawiecki. Złożył hołd pomordowanym, w tym dowódcy Armii Krajowej gen. Stefanowi Roweckiemu. Co charakterystyczne, po wyzwoleniu tego obozu w kwietniu 1945 r. Rosjanie zamienili go natychmiast w gułag, osadzając Niemców z NSDAP, przeciwników sowieckiej okupacji, tzw. wrogów ludu, oraz żołnierzy Armii Czerwonej podejrzanych o dezercję. W 1992 r. niemieccy neonaziści podpalili jeden z dwóch baraków zamienionych w specjalne muzeum upamiętniające martyrologię Żydów.

Nie można nie pamiętać o sowieckich łagrach w rocznicę oswobodzenia niemieckich lagrów przez Armię Czerwoną. Tym bardziej że setki tysięcy Polaków zesłanych do obozów pracy, obozów pracy poprawczej czy kolonii karnych wolność straciło wraz z sowiecką agresją na Polskę we wrześniu 1939 r. Głównym wrogiem Sowietów byli polscy ziemianie, przemysłowcy, kupcy, wojskowi, policjanci, urzędnicy. Oficjalne dane Zarządu Gułagów mówią o 381 tys. aresztowanych i zesłanych do obozów cywilów z terenów zajętych we wrześniu 1939 r. Wywieziono ich na Syberię, do obwodu archangielskiego, do Kazachstanu i wielu, wielu innych miejsc na „nieludzkiej ziemi".

W tym samym czasie, kiedy Niemcy wysiedlali Polaków z Poznańskiego, z Gdyni, Pomorza, wkrótce z Zamojszczyzny, Rosjanie zorganizowali cztery wielkie wywózki Polaków: 9 i 10 lutego, 12 i 13 kwietnia oraz 28 i 29 czerwca 1940 r. W tym roku mija dokładnie 80 lat od deportacji prawie 400 tys. Polaków na rosyjski wschód. Spośród 230 tys. polskich jeńców wojennych do 1941 r. przeżyło tylko 82 tys. Wśród zamordowanych było 25,7 tys. polskich oficerów i cywilów rozstrzelanych (Katyń) na podstawie dekretu Stalina z 5 marca 1940 r.

Niemieccy naziści likwidowali wrogów rasowych, rosyjscy komuniści wrogów klasowych. Jedni uczyli się od drugich.

Musimy o tym pamiętać i przypominać sobie i światu, im bardziej Rosjanie podkreślają swoje „wyzwolicielskie" zasługi wobec Polski.

eprasa.pl 05b6a45e9a

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Znikający punkt... Oby!

Witold Gadowski

Mam swoich kolegów po drugiej stronie. No tam, wiecie gdzie. Jednym z nich jest Alfred Kubin z Litomierzyc. Chyba najlepiej odmalował koszmar kontroli.

Trwa coraz trudniejsza walka o zachowanie wolności w zaciskającej się pętli technologii i władzy dzisiejszego świata. Po 11 września 2001 r. nieomal dobrowolnie zrezygnowaliśmy z naszej prywatności i praw obywatelskich na rzecz często iluzorycznego poczucia bezpieczeństwa. Za wzmożoną kontrolą poszły (przypadkowo?) coraz bardziej totalne kampanie marketingowe, które zalewają nas wszystkim, o czym ledwie zdążyliśmy gdzieś wspomnieć lub napisać. Na lotniskach dajemy sobą pomiatać. Ściągamy paski, buty, wybebeszamy nasze walizki, stajemy w komorach, gdzie prześwietlają nas i fotografują jak złoczyńców. Dziś właściwie bez powodu można nas zamknąć, przeszukać nam mieszkanie czy sprawdzić nasze wydatki i podróże. Można nieomal dowolnie podsłuchiwać nasze rozmowy, sprawdzać, co piszemy i oglądamy w komputerze. Wszystko w imię naszego bezpieczeństwa i spokoju. W Londynie wprowadzono właśnie system identyfikacji twarzy, który robi to bez naszej wiedzy. Poruszamy się wyposażeni w „mówiące" dokumenty, które mają w siebie wbudowane nasze dane biometryczne. Zdradzają nas nasze telefony i karty kredytowe. Już głośno mówi się o potrzebie wyeliminowania gotówkowego obrotu, tak aby każda nasza transakcja została zarejestrowana w globalnym systemie. Tzw. media społecznościowe także szalenie rozwinęły się po 11 września. Jak myślicie, dlaczego?

Walka z terroryzmem dała totalnemu państwu do ręki narzędzia, o jakich Hitler ze Stalinem mogli jedynie marzyć. Jednak żarłocznemu Lewiatanowi powszechnej kontroli i sterowania ciągle mało, bo istnieją ludzie, którzy myślą swoje i działają tak, jak chcą. Teraz nadchodzi więc nowa epoka. Zaczniemy, my „ludzkość", walczyć z globalną epidemią. To pozwoli kontrolerom na wkroczenie do sanktuariów naszych ciał. Będą nas szczepić, wprowadzając w nasze ciała mikroczipy, które będą transmitowały wszelkie procesy zachodzące w nas samych. Pocieszam się, że dzisiejsza nauka nadal nie może do końca rozwiązać fenomenu ludzkiej świadomości i myślenia. Tu tkwi źródło ich zmartwień i nasza szansa – jesteśmy wolni, dopóki nie potrafią się wedrzeć do naszego mózgu ani duszy. Chcą nas przenicować swoimi wścibskimi oczami, na samym końcu muszą więc zobaczyć moc Tego, który nam wolność podarował i zadał! Wtedy ich skanery oszaleją.

Obrona państwa wyznaniowego?

Lech Makowiecki

„Jeśli świat współczesny nie postawi na klarowną i stanowczą etykę, zdolną odeprzeć wszelkie atrakcje sztuki i humoru, pewnego dnia będzie wielbić każdego, kto zdoła popełnić zły uczynek w ciekawy sposób. Każdy morderca, który umie mordować rozrywkowo, będzie mordować do woli, a każdy złodziej, który kradnie w zabawny sposób, będzie kraść ile dusza zapragnie...". To były profetyczne słowa brytyjskiego pisarza konserwatysty, wielkiego przyjaciela Polski – Gilberta Chestertona. I to już się dzieje!

Przestępcy stają się celebrytami i – pyszniąc się swoją bezkarnością – brylują na salonach, w polityce, w mediach! Nie byłoby to możliwe bez przyzwolenia ludzi orzekających o winie bądź niewinności obywateli. Sędziowie respektujący wartości chrześcijańskie (dekalogowe: „nie kłam", „nie kradnij", „nie zabijaj", „nie zdradzaj", „kochaj ojca, matkę, bliźniego swego" itp.) są jeszcze gwarantem sprawiedliwych i mądrych wyroków. Silne poczucie sprawiedliwości może też ukształtować wychowanie wyniesione z domu (etyka, moralność) bądź wpojone instytucjonalnie (np. poszanowanie prawa). To nieprawda, że okazja czyni złodzieja. Uczciwy człowiek odnajdujący na ulicy portfel z gotówką nie przeżywa dylematów, lecz bez namysłu zwraca go właścicielowi. Delikwent o mentalności Kalego rozejrzy się tylko, czy przypadkiem nie znalazł się w ukrytej kamerze. Czy ktoś taki może orzekać o winie w sądzie? I czy zatrute drzewo zrodzi nam dobre owoce? Peerelowski wymiar sprawiedliwości premiował tych sędziów, którzy niszczyli uczciwych, lecz niewygodnych dla władzy ludowej Polaków. To środowisko nie uległo samooczyszczeniu, wręcz przeciwnie – zabetonowało się w familijno-korporacyjnych układach.

Nikt nigdy nie naprawił szkód wyrządzonych przez „kastę", która dziś wszelkimi sposobami (ulica, zagranica) walczy o zachowanie swych przywilejów i torpeduje konieczne reformy. W tej sytuacji nawet Kodeks Hammurabiego budzi respekt i szacunek.

eprasa.pl 05b6a45e9a

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Mięso

Aleksander Nalaskowski

Nikczemność i furia prześladowcza opozycji i jej akolitów, w tym byłych wojskowych, esbeków, partyjnych stupajek i etycznych olbrzymów w stylu wańka-wstańka, doprowadziła do trudnego do oszacowania upokorzenia naszej ojczyzny. Bo dla nich honor nic nie znaczy, a Polska jest tyle warta, ile można w niej ukraść, by się urządzić. Nie cofają się przed niczym, nie mają skrupułów w sprowadzaniu do nas różnych czeskich czy weneckich bubków. Co oznacza tekst jakiejś Jourovej czy jak jej tam, że oni przyjrzą się decyzji prezydenta RP? Prezydenta wybranego w powszechnych i demokratycznych wyborach. Co to za spoufalanie się z głową Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. I te spotkania z polskimi urzędnikami. Co za rozmach! Paniusia przyjechała nas uczyć demokracji i walki o wolność?! Skąd? Z Czech?! Mentorka od siedmiu boleści. Polski prezydent to za wysokie progi dla lewaków z Unii.

Bez wątpienia rośniemy w siłę, mamy spore osiągnięcia, prostujemy błędy Balcerowicza czy innych pomysłowych majsterkowiczów. Przekopiemy Mierzeję, bo się nam tak podoba. A jak zechcemy, to Giewont przeflancujemy do Gdańska, bo możemy coraz więcej, bo jesteśmy zdolnym i pracowitym narodem, dużym krajem. Krajem suwerennym i wolnym. Krajem tolerancyjnym i pobożnym, w którym nawet Żydzi czują się bezpieczniej niż gdziekolwiek w Europie. Wielu z nich głośno o tym mówi. Kto przemawiał w Yad Vashem, gdzie nasz prezydent miał milczeć? Prezydent kraju, który jak żaden inny wymordował miliony ludzi, w tym własnych obywateli, kraju hegemona, który siłą przymusił kawał Europy do komunizmu, nieludzkiego totalitaryzmu w imię dobra człowieka. Ustroju, z którego myjemy się do teraz. Przemawiał Francuz, który zapomniał o rządzie z Vichy i tysiącach Żydów wydanych Niemcom do gazu. Przemawiała Niemka z byłego NRD, która wytargowała, że obozy koncentracyjne nie były niemieckie, ale niemieckie nazistowskie. A były wówczas inne Niemcy?! Obozy były niemieckie, bo Hitler doszedł do władzy legalnie z wyboru samych Niemów. W tym towarzystwie nie mogło być miejsca dla polskiego prezydenta, bo nie ma miejsca dla nas tam, gdzie historię pisze się na nowo.

Przypomnę tym, którzy zapomnieli. Tym wszystkim eurorumuńskim, euroczeskim, eurobelgijskim czy eurohollenderskim durniom, że w Waffen SS na ochotnika służyło 40 tys. Belgów, 20 tys. Francuzów, 50 tys. Holendrów, 6 tys. Norwegów... i ZERO Polaków.

Rosnąca i krzepnąca Polska staje się coraz bardziej nie do zniesienia. Stąd banda pożytecznych idiotów działających na zlecenie i za pieniądze różnych fundacji co rusz nas wpycha w objęcia kolejnego problemu. A to w uchodźców, a to w pederastów, a to w praworządność, a to w antysemityzm, a to w ekologię. Byle nie dać Polsce spokoju, byle jątrzyć i oczerniać. Teraz kasta z furią kąsa i skarży się zagranicy. Przedtem Biedroń cyganił w Brukseli, że w Polsce są lokale, do których nie wpuszcza się sodomitów. Tak jakby każdy musiał się w knajpie opowiadać, z kim sypia. Głupia Bruksela uwierzyła, a opozycja zacierała ręce, bo może da się Polskę odciąć od unijnej kasy. Co to znaczy Polskę, czy aby nie chodzi tu o polskich obywateli, a nie rząd, który jak każdy poprzedni sam się wyżywi? Tak to ma właśnie wyglądać – poświęcić Polaków, by wrócić do władzy. Czy ktoś ma jeszcze wątpliwości?

Co mamy robić? Otóż, nie możemy się cofnąć nawet o centymetr. Musimy zacisnąć zęby i to wtrzymać, a tam, gdzie się da, walczyć. Walczyć na całego z lewactwem, zboczeniami, donosicielstwem nowych Ponińskich. Nie możemy popełnić błędu i dać się zastraszyć. Bo musimy to wygrać. Jeśli damy zielone światło obecnemu prezydentowi i nie pozwolimy, aby zastąpiła go wróżka zębuszka, to pomału będziemy wychodzić na prostą. Ale jeśli nas przekupią tańszymi volkswagenami, argentyńską wołowiną czy pomarańczami z Hiszpanii, to przegramy na amen i wtedy się okaże, że mamy nie jedną tylko kastę, ale wiele kast. A wielu zacnym i mądrym głowom powiedzą: „OK, boomer" i odeślą razem z historią, mądrością i religią do lamusa. Napiszą nową historię, a pani Holland założy nowy kościół.

Musimy to wygrać. Naprawdę nie mamy wyboru. Jeśli przegramy, to Bruksela ostatecznie zamieni nas w mięso do własnych konserw. Będziemy tanią siłą roboczą i imigrantami we własnym kraju.

Przypomina mi się takie zdarzenie. Jeden z pracowników naukowych – TW bodajże „Kapitan" czy „Żeglarz", nie pamiętam – na przyjęcie córki do Pierwszej Komunii Świętej zażądał od trzymającego go na smyczy esbeka dwóch kilogramów wołowej ligawy. Dostał i pokwitował. A jego kolega nie dostał paszportu i zrobiono mu w domu przeszukanie.

Nie bierzmy tego mięsa. Opozycja wystarczająco dużo tego tatara się najadła. My bądźmy wegetarianami, gardźmy bubkami z Brukseli. A gdy zechcą nas przekupić skrzynią złota, to dorzućmy do niej swój pierścień jak Jakub Skarbek i powiedzmy: „Idź złoto do złota". Bo to Polska właśnie. Bądźmy dzielni.

eprasa.pl 05b6a45e9a

PRZEZ ŚWIETLIK

Nostra culpa

Włoch David Sassoli, nowy szef Parlamentu Europejskiego, wydaje się sympatycznym człowiekiem. Różni ważni współcześni zachodni politycy europejscy, o ile akurat nie są Timmermansem ani Schulzem, w ogóle są dość sympatyczni. Na tym ich walory się kończą, a sympatyczność okazuje się najgorszą cechą, jaką można sobie wyobrazić. Właśnie ze względu na tę sympatyczność, by nikogo nie urazić, a najłatwiej nikogo nie urazić, jak się wszystkich urazi, w tym siebie, pan Sassoli ogłosił, że „Auschwitz zbudowali Europejczycy".

Trudno przewodniczącemu europarlamentu nie przyznać racji. Po prostu zastosował tzw. definicję rozszerzającą. Owszem, Auschwitz zbudowali Europejczycy, ludzie, ziemianie, ssaki, kręgowce, organizmy żywe. Problem w tym, że jeśli się rozprawia o odpowiedzialności, to się nie rozszerza, a zawęża i na tym polega cała sprawa z Holokaustem (albo „Kolokaustem", jak mawia kandydatka PO na prezydenta). Jeśli źle zaparkuję samochód, to najłatwiej stwierdzić: „My, mieszkańcy naszej ulicy, powinniśmy się poprawić". To nie mieszkańcy, a ja źle zaparkowałem, a Holokaust to robota Niemców, a nie żadnych tam innych Europejczyków. Chyba że pan Sassoli ma jakąś wiedzę na temat swoich przodków, ale w takim razie niech ją ujawni.

Francuski pisarz Pascal Bruckner napisał jakiś czas książkę pod tytułem „Tyrania skruchy" o skłonnościach Zachodu do samobiczowania. Żadna inna kultura dziś nie biega na lewo i prawo i wszystkich nie przeprasza za to, że istnieje. Przy czym Zachód samobiczuje się zbiorowo. To wygodne. W książce, skądinąd bardzo dobrej, „1491. Ameryka przed Kolumbem" jej autor Charles C. Mann rozważa, czy dzisiejsza Europa ponosi moralną odpowiedzialność za to, że Indianie chorowali na różne zarazy, które przywlekli Europejczycy.

Ciekaw jestem, czy jakiś marokański intelektualista rozważa winę średniowiecznych Maurów za podrzucanie przeciwnikom zarażonych zwłok, co zresztą posłużyło Mickiewiczowi za pomysł „Alpuhary". XVI-wieczni Hiszpanie czy Portugalczycy mieli o chorobach zakaźnych wiedzę podobną jak Indianie. Po prostu na nie umierali i nie za bardzo wiedzieli, o co chodzi. Równie dobrze można by rozliczać czterolatka z tego, że inne dzieci w przedszkolu pozarażał grypą.

Ale okazja do zbiorowego samobiczowania jest. Wszyscy razem jesteśmy winni. Wszyscy razem spalimy wrak Santa Marii Kolumba, skoro już nieszczęśnika kilka lat temu odnaleźliśmy. Wspomnianemu Brucknerowi w książce o samobiczowaniu umknęło jednak jedno. Że pod takie zbiorowy lamenty „wszyscyśmy winni" podczepiają się czasem autentyczni winni, bo przecież wiedzą świetnie, że jak wszyscy są winni, że jak zamiast winnego mówiącego „mea culpa", wszyscy razem zaczynają mówić „nostra culpa", to nikt nie jest winny.

REKLAMA

65/0120/F

eprasa.pl 05b6a45e9a

Przeszłość wyjaśnia teraźniejszość

Alina Czerniakowska

Gdy dzisiaj obserwujemy zachowanie tzw. totalnej opozycji, jej ujadanie na Polskę, szukanie sojuszników we wszystkich układach lewicowo-liberalnych na Zachodzie i w Rosji, trudno nie rozważać i nie zadawać pytań podstawowych: dlaczego w Polsce przez ponad 30 lat po 1989 r. nie przeprowadzono porządnej lustracji, uczciwego rozliczenia przeszłości? Wtedy wiedzielibyśmy, kto do nas tak, a nie inaczej mówi, i tak się zachowuje. Dlaczego pewne środowiska prawnicze skupione wokół pana Rzeplińskiego i pani Małgorzaty Gersdorf nie chcą dopuścić do jakichkolwiek zmian i naprawy wymiaru sprawiedliwości? Kto szuka sojuszników w nagonce na Polskę w Unii Europejskiej i poparcia u przedstawiciela Rosji w Radzie Europy A. Baszkina, ubolewającego, że „w Polsce łamana jest demokracja"?

Po tych wszystkich skargach lewackiej opozycji przyjechała właśnie w tych dniach do Polski wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Věra Jourová, była czeska minister, sprawdzać, jak reformujemy nasz kraj! Tym bardziej że te same systemy, które obecny rząd próbuje wprowadzić w Polsce, funkcjonują w krajach Unii Europejskiej, w Niemczech, ale też w Czechach, gdzie pani Jourová jako minister miała większy wpływ na powołanie sędziów niż u nas premier Morawiecki czy minister Ziobro.

Wszystko stałoby się jasne, gdybyśmy wiedzieli, kim są, jaka jest ich przeszłość, przynależność, komu służyli i na czyje zlecenie pracują wszyscy ci, którzy obecnie inicjują tę całą nagonkę na Polskę rządzoną przez Prawo i Sprawiedliwość?

Zaraz po transformacji ustrojowej ludzie oczekiwali jawności życia publicznego, prawdy o tych, którzy ubiegali się o najwyższe stanowiska w państwie, rozliczenia zbrodni komunistycznych, ujawnienia działań szkodzących Polsce ukrytych w dokumentach, które na potęgę niszczyli, palili na początku III RP. To był prawdziwy wyścig z czasem, by jak najwięcej dokumentów uchronić, zarchiwizować, skatalogować i zabezpieczyć. Janusz Kurtyka, niezwykły prezes Instytutu Pamięci Narodowej, który zginął pod Smoleńskiem, razem ze swoim zespołem pracował dzień i noc, by ubekom, agentom nie pozwolić na zniszczenie dowodów hańby i zdrady. Premier Jan Olszewski mówił w wywiadzie do mojego filmu: „Pełna dokumentacja jest w Moskwie, ale u nas mamy wystarczające dowody, by właściwie osądzić i poznać prawdę tak bardzo potrzebną dla dobra nas wszystkich".

Wyrosły nowe pokolenia w III RP i dzisiaj ta prawda jest coraz mniej komukolwiek potrzebna, cieszą się z tego agenci, różnej maści kapusie, TW, nawet czasami publicznie przyznają się do swoich haniebnych życiorysów, bo wiedzą, że mogą być bezkarni.

Warto sięgnąć do książki „(Nie)chciane dziecko III RP. Instytut Pamięci Narodowej 2000–2010", pracy naukowej Doroty Koczwańskiej-Kality, absolwentki Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr nauk humanistycznych, która od początku pracuje w IPN, a za prezesury Janusza Kurtyki kierowała jego biurem i inicjowała wiele świetnych projektów, jak kampania społeczna pod hasłem „Historia tworzy naszą tożsamość". We wstępie autorka stawia najważniejsze pytania: „Dlaczego idea powołania IPN po przeszło dekadzie od momentu odzyskania niepodległości w 1989 r. spotkała się z tak licznym gronem oponentów, szczególnie wśród polityków i dziennikarzy i czy mieli oni wpływ zarówno na uchwalenie ustawy, powołanie kolegium IPN, wybór prezesów, jak i kształtowanie opinii społecznej na temat prac Instytutu? Dlaczego sprostanie wymogom jawności życia publicznego, co jest charakterystyczne dla społeczeństw demokratycznych, obligując osoby publiczne do transparentności, wywołało tak duży opór wśród przeciwników lustracji?". Na te i inne pytania czytelnik znajdzie odpowiedź w tej publikacji.

Sędzia Bogusław Nizieński, jako rzecznik interesu publicznego w latach 1999–2004, podjął się lustracji, zawalczył o prawdę, o „przejrzystość życia publicznego". Jak mówił, już na początku był problem, nie można było znaleźć 21 sędziów w całej Polsce z czystą przeszłością, niewspółpracujących z UB! Nie mogła więc ruszyć lustracja. Kiedy już wreszcie udało się sędziemu Nizieńskiemu skierować konkretne sprawy do Sądu Apelacyjnego, tam zapadały wyroki uniewinniające. Tak było np. w głównym procesie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego – sędzia Nizieński przedstawił dokumenty, prezes Instytutu Pamięci Narodowej Janusz Kurtyka potwierdził, a ówczesny prezydent Kwaśniewski zaprzeczył i jeszcze groził...

Takich procesów było wiele. Prominenci, ludzie na najwyższych stanowiskach w państwie, byli uniewinniani przez sądy, mimo że zachowane dokumenty mówiły inaczej. Sądy im sprzyjały... „Gdy tu w Polsce były jawne dowody winy, odwoływali się do Strasburga, a Europa jak zwykle nie chce rozumieć, nie wie, nie chce zadrażniać z Rosją" – mówi sędzia Nizieński, człowiek do szpiku kości uczciwy, prawdziwie miłujący Polskę. „Niektórzy historycy twierdzą, że 80 proc. polskiego społeczeństwa jest uwikłane w różnego rodzaju współpracę agenturalną – jeśli nie osobiście to rodzinnie – dziadek, ojciec, wujek... Każdy element lustracji, dekomunizacji będzie dla nich i ich przyszłych pokoleń największym zagrożeniem. Gotowi takiego kogoś zniszczyć w każdym wymiarze, a już na pewno usunąć ze sceny politycznej".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 05b6a45e9a

Odznaczenia specjalne Senatu

Jerzy Jachowicz

Każdy upływający tydzień obecnej kadencji naszego parlamentu w coraz większym stopniu uwidacznia różnicę w jakości działań obydwu izb – Sejmu i Senatu. Dziś już nikt nie ma wątpliwości, iż nie bez powodu do Senatu przypisana jest nazwa „izba wyższa". W istocie dorobek Senatu w obecnej kadencji przewyższa swoim znaczeniem przygotowywane na kolanie projekty ustaw sejmowych. Z przykrością to trzeba powiedzieć, często wybrakowane i, co ważniejsze, zawłaszczające kolejne ważne obszary państwa przez obecny obóz władzy. Choćby służby specjalne, media, a nawet niektóre parki czy skwery, które następnie przekazuje pod jurysdykcję Kościoła, jak skwer Kardynała Wyszyńskiego w Warszawie.

Tymczasem Senat od początku kadencji podejmuje inicjatywy, które dźwigają polską demokrację na coraz wyższy poziom. To dzięki Senatowi praworządność i demokracja po latach duszenia się pisowskim smogiem zaczynają oddychać świeżym, zbawczym powietrzem. Senat otworzył też swoje podwoje dla gości zagranicznych. Mamy świeżo w pamięci wizytę przedstawicieli Komisji Weneckiej. Ich oceny okazały się bezcenne dla głębszego zrozumienia naszego wymiaru sprawiedliwości. Gorące podziękowania i wyrazy wdzięczności wyrażone przez marszałka Tomasza Grodzkiego były najlepszą nagrodą za ich wysiłek. Z inicjatywy marszałka Grodzkiego Senat ustanowił własne odznaczenie za „wybitne zasługi dla Polski" – Medal Senatu.

Wkrótce odbędzie się uroczystość odznaczenia tym zaszczytnym wyróżnieniem grupy polskich europarlamentarzystów, którzy w połowie stycznia głosowali za przyjęciem rezolucji Parlamentu Europejskiego domagającej się poprawy praworządności w Polsce i na Węgrzech. Oto lista laureatów:

Magdalena Adamowicz, Bartosz Arłukowicz, Krzysztof Hetman, Tomasz Frankowski, Andrzej Halicki, Danuta Hübner, Adam Jarubas, Jarosław Kalinowski, Ewa Kopacz, Janusz Lewandowski, Elżbieta Łukacijewska, Radosław Sikorski, Róża Thun und Hohenstein, Marek Belka, Robert Biedroń, Włodzimierz Cimoszewicz, Sylwia Spurek oraz Leszek Miller.

Ciekawe, czy Węgrzy pójdą naszym śladem?

CO ZOBOWIĄZUJE DO PAMIĘCI

Rocznica również mi bliska

Katarzyna Łaniewska

27 stycznia przypadła 75. rocznica wyzwolenia niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, który znajdował się na terenie okupowanej Polski w jej części zwanej Generalną Gubernią w Oświęcimiu.

Mnie sprawy związane z tym obozem są szczególnie bliskie, bo tam został zamordowany mój ojciec – Jan Józef Łaniewski, legionista, żołnierz Armii Polskiej i spółdzielca. Miał numer „bliski", więc na początku osadzani tam byli i unicestwiani również Polacy. Ojciec nosił numer 9776. Dożył tylko do 4 marca 1941 r. Zdjęcia z Auschwitz, które mnie najbardziej poruszają, to zdjęcia małych dzieci zrobione poprzez druty kolczaste, które podciągają rękaw swoich łachmanów i pokazują swój wytatuowany numer. To były dzieci polskie, żydowskie, romskie i innych narodów. Te, które przeżyły, świadczą o tym, jaki to był obóz. Obóz śmierci. Kto był mordercą, a kto mordowanym. Takie okrągłe uroczystości przypominają nam o wielkich tragediach. Zawsze myślę, jak ci ludzie, którzy przeżyli, umieli wrócić do tzw. normalnego życia. Poznałam niektórych. Starali się o tym nie mówić, ale nie wierzę, żeby o tym nie myśleli, żeby im się to nie śniło.

To niewyobrażalne, że ludzie ludziom zgotowali taki los. Nigdy nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że naród niemiecki zgodził się na takie barbarzyństwo. Mówiono, że to nie Niemcy, tylko naziści i hitlerowcy mordowali innych ludzi i narody. Trudno się pogodzić, że Niemcy, które przegrały wojnę, są dziś tym państwem, które chce dominować nad innymi państwami.

W tym roku na uroczystości zaproszono ok. 200 osób, które przeżyły, które mogą dać świadectwo, i one były głównymi uczestnikami tych smutnych obchodów. Jestem wdzięczna mojemu prezydentowi Andrzejowi Dudzie za nieobecność na konferencji w Yad Vashem w Jerozolimie, gdzie nie mógł mówić w imieniu Polaków. Dziękuję bardzo za uroczystość w Oświęcimiu wszystkim, którzy pracowali, by ona tak wyglądała. By wiadomo było, kto jest tu najważniejszy. Dziękuję za prawdziwe, rzetelne i jakże w swoim wyrazie tragiczne, znakomicie powiedziane wystąpienie prezydenta Andrzeja Dudy. Za zobowiązanie, że pamięć będzie towarzyszyła Polakom, którzy wiedzę o tych tragicznych czasach zechcą przechować dla następnych pokoleń. Oby nasze dzieci, wnuki i prawnuki nigdy czegoś takiego nie dożyły. Piszę to ze łzami w oczach, bo jestem dzieckiem, które tego piekła nie przeżyło, ale przeżyło wojnę w Warszawie.

eprasa.pl 05b6a45e9a

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Wyśmiać Koreańczyka

Tematy telewizji śniadaniowych czasem odbijają się aż do kolacji

W „Dzień dobry TVN" zaprezentowano ranking 100 najprzystojniejszych mężczyzn na świecie. Trzeba trafu, że na czele listy znalazł się piosenkarz z Korei Jungkook, członek siedmioosobowego boys bandu BTS.

Ryszard Makowski

Gospodarze poranka na widok eterycznej urody młodego artysty byli wyraźnie zdegustowani. Prowadząca: „Twarz, powiedziałbym, niespecjalnie bardzo męska". Prowadzący: „Chłopięca zdecydowanie, niemal dziecięca, taki Mały Książę. Kolczyki, grzywka nie robi go najbardziej przystojnym człowiekiem". Prowadząca: „Tym bardziej, zakładam się, że włosy farbowane". Tu prowadzący dostał ekstazy i rył ze śmiechu.

Żeby spotęgować wymowę materiału, reporter stacji złapał zdjęcie innego członka zespołu (co za różnica) i ruszył między stragany. Mógł wybrać takie, gdzie handlują Chińczycy albo Wietnamczycy, ale nie, znalazł naszych. Jazda była. „Moja krowa też ma kolczyki", „Facet musi być facet, a kobieta – Kobietą! A tutaj nie wiadomo, jak to jest". I bądź tu człowieku najprzystojniejszy na świecie.

TVN chce uchodzić za stację dla establishmentu. Dla osób tolerancyjnych, otwartych na inność, mówiącą o ubogaceniu przez przedstawicieli zamorskich kultur. I nagle takie zrzucenie maski poprawności. Posypały się gromy internautów, brak szacunku i rasizm. Wzburzenie było takie, że popis redaktorów TVN obleciał cały świat. Akurat teraz, gdy urządzana jest na Polskę wizerunkowa nagonka, tego typu „reklama" jest dla nas nie do przecenienia. Dziękujemy TVN!

eprasa.pl 05b6a45e9a

Zawistowski prezentuje: Brexit

Wycinki z przeszłości

Jedną z ciekawszych pamiątek związanych z powstaniem styczniowym, a precyzyjniej z okresem go poprzedzającym, jest znajdujący się na cmentarzu Powązkowskim grób Pięciu Poległych podczas manifestacji 27 lutego 1861 r. Józef Dąbrowski w swojej monumentalnej pracy „Rok 1863", wydanej pod pseudonimem J. Grabiec, tak opisywał to wydarzenie: „Po nabożeństwie [patriotycznym] publiczność z kościoła ruszyła na Krakowskie Przedmieście. Tłum doszedł do 3000 uczestników. Na placu Zamkowym sotnia czerkiesów rzuciła się z dzikim wrzaskiem na idących, bijąc ich batami i płazując pałaszami.

Trzeba wypadku, że w tym właśnie czasie z jednego z kościołów wyszedł kondukt pogrzebowy urzędnika Łempickiego. Stojący na ulicy kozacy, wziąwszy pochód za nową manifestację, z całą furią uderzyli na idących. Zakonnika, postępującego na czele z krzyżem, poturbowano, sam krzyż złamano i porąbano, idących zaś za trumną pobito.

Na to nadszedł generał Zabołockij z rotą piechoty. Kazał broń nabić ostremi ładunkami, kazał strzelać. Gdy dym opadł, na trotuarach wiło się w jękach kilkanaście osób rannych, kilka ciał martwych leżało między niemi. Okazało się, że polegli od kul: Marceli Karczewski, ziemianin z Sieradzkiego, Zdzisław Rutkowski, ziemianin z ziemi radomskiej, Karol Brendel, rzemieślnik, wyrobnik Adamkiewicz i uczeń Arcichiewicz. Wszystkie ciała zebrano razem i umieszczono w Sali Hotelu Europejskiego".

Pomnik widoczny na zdjęciu postawiony został dopiero w roku 1915, po ewakuacji Rosjan, w Warszawie. ***(mk)***

Śliczności do przypomnienia

Kazimiera Iłłakowiczówna (1892–1983)
„Matka Boża Gromniczna i lutowy wilk"

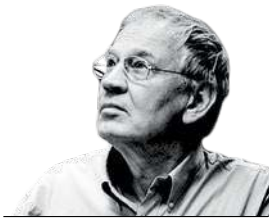

Leszek Długosz

Szła Najświętsza przez bór Panienka,
miała płaszcz błękitny,
białą sukienkę.
I szło wilczysko chytre,
przyczajone, przemarznięte,
za Panną Świętą.
Wilka szukali z kłonicami,
jak go znajdą, kości mu połamią:
zeżarł zeszłej zimy cielę białe,
prześliczne,
w samą Gromniczną!
Spotykają chłopi świętą Podróżną,
Pozdejmowali czapki, patrzą
– na próżno.
„Wybacz nam, Pani wspaniała,
czyś wilka gdzie nie widziała?"
„Anim go szukała, ani go wydam,
patrzcie lepiej po sercach,
to się wam przyda,
bo tam to właśnie,
a nie śród leśnych ścieżyn
wilk leży!"
Poszły rosłe chłopiska milcząc
do chałup.
ogląda się Panienka po śniegu białym,
ogląda się wszędzie,
aż spod płaszcza Jej milczkiem
wylazł łeb wilczy.

„A tuś mi, łowco jagniąt bezbronnych!
Katom cię wydać byłabym skłonna,
tylko że nad twą wilczą niedolą
serce mnie boli.
Skoroś sam znalazł moją opiekę,
zostań już przy mnie,
bo gdzie uciekniesz?
Będziesz mi za to roztropnie służył
zimą w podróży".
Odtąd chodzi wilk
Z Matką Najświętszą wiernie
przez śniegi puste,
zawiane ściernie,
pełniąc wśród nocy mrocznych
i długich
różne posługi.
A kiedy jasną gromnicą świeci
Panna Przeczysta
pośród zamieci,
tuż i Gromniczny Wilk
za swą Panią
jarzy ślepiami

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 05b6a45e9a

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Zła symbioza

Jedna z niedawnych analiz wykazała, że 2153 miliarderów posiada tyle majątku, ile 60 proc. mieszkańców Ziemi, czyli ok. 4,6 mld ludzi. Odmienne sposoby liczenia dają różniące się wyniki, ale trend jest jasny: coraz większa część majątku ludzkości jest we władaniu coraz mniejszej grupki ludzi.

Globalizacja ostatnich dekad z jednej strony wyprowadziła z głodu i skrajnej nędzy miliony ludzi, z drugiej przyniosła kumulację bogactwa, jakiej nigdy wcześniej w dziejach naszego gatunku nie było. Zwykle mówi się o tym trendzie pod kątem rosnących nierówności. Rzadziej ową kumulację bogactwa wiąże się z trendem innym – z indywidualizacją.

HIPERSAMODZIELNI

Indywidualizacja osłabia różne wymiary wspólnotowości. Najpierw jednostki ludzkie żyją w poczuciu samodzielnej podmiotowości, a później kulturowo i fizycznie od wspólnoty są odsuwane.

Dawniej w razie pożaru pomagała wspólnota sąsiedzka, teraz wyspecjalizowana instytucja. Kiedyś to wielopokoleniowa rodzina zapewniała jednostkom wsparcie w sytuacjach kryzysów oraz na starość. Teraz jednostka może przetrwać (niekoniecznie duchowo, ale z pewnością fizycznie i społecznie) dzięki rozwinięciu całej sieci publicznych oraz komercyjnych instytucji wsparcia – np. publicznej i prywatnej służby zdrowia, opieki społecznej etc.

Wiele milionów osób żyje w świecie, w którym jednostka ma zdolność do względnie efektywnego – głównie pewnie zawodowego – funkcjonowania bez oparcia w rodzinie, tradycji, religii, narodzie, a nawet w traktowanym jako swoje państwie. Jest w stanie odnosić sukcesy życiowe w warunkach wysokiej mobilności społecznej i geograficznej, w oderwaniu od etosu narodowego, religijnego oraz państwowego, często niemal wyłącznie bazując na lojalności korporacyjnej.

A możliwość wybrania sobie dowolnej genderowej tożsamości to już hiperindywidualizacja.

STEROWALNI

Indywidualizacja nie byłaby możliwa, gdyby nie wielki przyrost społecznego bogactwa i dobrobytu przyniesiony przez kapitalizm. To on, potrzebując mobilności siły roboczej – ze wsi do miast, a potem między miastami i krajami – przyniósł rozwój usług publicznych.

Hiperindywidualizacja wiąże się z cyfrowym etapem kapitalistycznej globalizacji, trwającym od wynalezienia internetu. To gospodarka cyfrowa umożliwiła przejście kapitalizmu od produktów dla wszystkich (Henry Ford mawiał, że klient może kupić od jego firmy auto w dowolnym kolorze, pod warunkiem że będzie to kolor czarny), do cyfrowo zindywidualizowanych. Teraz każdy może mieć *niepowtarzalną* kombinację tapet, apek i ikonek na swoim spersonalizowanym smartfonie.

Ten proces hiperindywidualizacji jest funkcjonalny wobec interesów wielkich korporacji, strategii marketingowych, wielu środowisk władzy i nieformalnych grup interesów. Jest tak, gdyż naprzeciw garstki dobrze zorganizowanych ustawia stada jednostek zamienionych w gorliwych konsumentów. Całe gromady egocentrycznie nastawionych ludzi, zupełnie niepojmujących współczesnej gospodarki ani polityki, pozbawionych zaplecza we wspólnocie.

UBEZWŁASNOWOLNIENI

Kumulacja bogactwa i wpływów, jaką przyniosła cyfrowa faza globalizacji, stworzyła jeszcze większe asymetrie w polu społecznego panowania. Po jednej stronie stoją bogaci i potężni, po drugiej żyjące w dostatku, ale coraz bardziej zdezorientowane jednostki. Im większa indywidualizacja, czyli atomizacja społeczna, tym mniejsze szanse skutecznego *społecznego*, oddolnego przeciwstawiania się bogatym i potężnym.

Pora dostrzec, jak bardzo ideologie światów postnarodowych, postwspólnotowych, postreligijnych, ba, postpłciowych – niezależnie od ich intelektualnych i etycznych korzeni – są symbiotyczne z oligarchicznym kapitalizmem. Niczego bardziej bogaci i potężni nie potrzebują jak demontażu tkanki społecznej umożliwiającej oddolną mobilizację sił, ruchów i grup społecznych, mogących wyłaniać nowe elity.

Jeśli hiperindywidulizacji nie powstrzymamy, to niebawem naprzeciw nielicznych bogatych i potężnych będzie tylko bezradna masa ludzi kompletnie „wolnych”.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama 64/0120/F | Reklama 59/0120/F

eprasa.pl 05b6a45e9a

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

„Niedziela” na 9 lutego

ZE SPECJALNYM DODATKIEM

Znajdziesz w nim m.in.:

MODLITWY:

- **o odwagę miłości**
- **o odrodzenie małżeństwa**
- **św. Matki Teresy z Kalkuty**

oraz

LITANIĘ do świętych małżonków Ludwika i Zelii Martin

W PREZENCIE DO KAŻDEGO EGZEMPLARZA

eprasa.pl 05b6a45e9a

Wygraj i odbieraj
600 zł co tydzień przez cały rok

Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl 05b6a45e9a